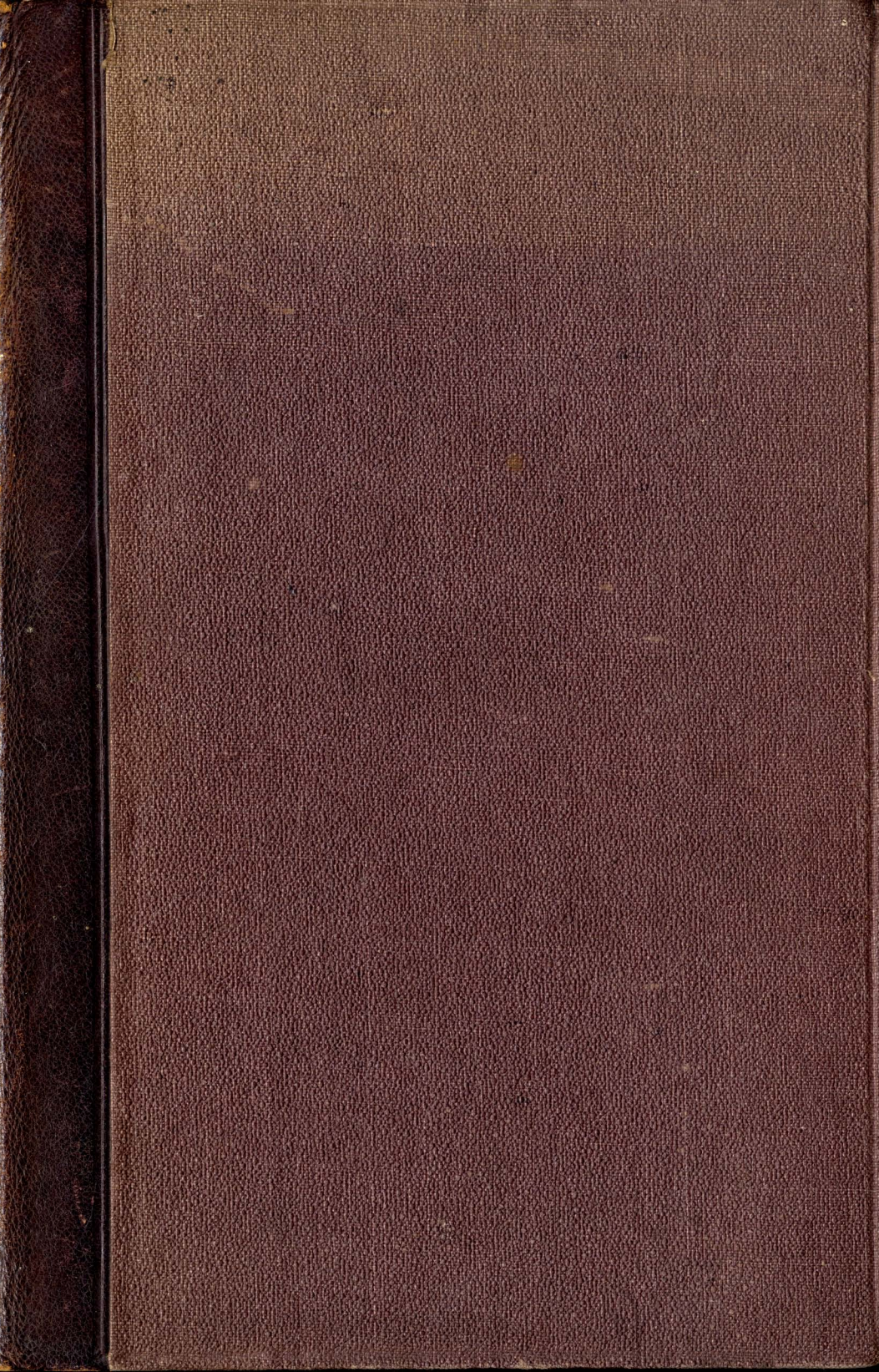




DOBRA GRABOWO.
WAGA.

331.

OSTATNI KLASSYK.

OSTATNI KLASSYK.

WSPOMNIENIE

Z PIÉRSZÉJ POŁOWY NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. WŁ. WÓJCICKIEGO.

Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

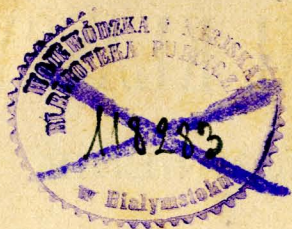
DOBRA GRABOWO.
WAGA.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA i WOLFFA.

1872.

224(09)



Дозволено Цензурою

Варшава 8 (20) Июня 1872 года.

Druk J. Bergera, w Warszawie
ul. Daniłowiczowska Nr 619.

I.

„Cudze rzeczy wiedzieć ciekawość
jest, a swoje potrzeba.”

A. W. Fredro (przysłowie).

W dziejach literatury naszej, najważniejsze mamy zjawisko w naszym wieku, a szczególnie też w pierwszej jego połowie. Wyobrażenia o poezji, jak i w innych gałęziach literatury, zupełnej uległy zmianie, i prawdziwy w nich, a lotny jak błyskawica widzimy postęp, przewrót dawnych przekonań, i zdeptanie hołdownictwa przyjętym za nietykalne przepisom, które na mocy długich lat istnienia, nabrały powagi prawa.

Mamy mówić o człowieku, który pomimo woli i z przypadku stał się typową postacią, wśród gorącej walki klasyków i romantyków; uważany jako przywódca pierwszych, a zacięty wróg drugich. Dziś czytając co piszą ci, którzy w owej walce żadnego udziału nie mieli, a po zerwaniu złotej przędzy *tradycji*, tylko z podsłuchu najfałszywszych wieści o niej rozprawiają: zdawałoby się, że *Ludwik Osipiński* należał do wodzów starej klasycyzacji, podnosił jej sztandar wysoko, i jako najwaleczniejszy z bojujących, na ostatnim wyłomie walczył jeszcze zacięcie w imię jej idei. Zanim damy jego wierny wizerunek i stanowisko właściwe jakie zajmował, musimy przedewszystkiem skreślić kronikę literacką owych czasów, a najprzód przypomnieć, co w tę dobę rozumiano przez wyraz *klasycyzacja*!

Klasyccznością w prawdziwym znaczeniu, były dzieła starożytnych Greków i Rzymian, zdaniem powszechnym za najlepsze uznane, i które za wzór wskazywano. Wyobrażenie to, następnie u nas się zmieniło, i w tym właśnie okresie o którym mówimy, pod to zaszczytne znaczenie podciągnięto prawie wszystko co nie uchybiało przepisom sztuki, co gustem zbliżało się do złotego wieku Rzymian, a głównie do smaku Francyi, szczególnie pod Ludwikiem XIV.

Wpływ i przewaga literatury francuzkiej, ślepe jęj naśladownictwo, to pojęcie ugruntowało. Zapomniano o arcydziełach starożytnej Hellady; Wirgili i Horacy stanęli na szczycie ówczesnego parnasu, ale i ci zwolna spychani w otchłań zapomnienia, których miejsce liczny tłum pisarzy francuzkich zajmował od Kornela, Rasy, Moliera, do Woltera patrzącego na nas z szyderskim zawsze a wychudzonem obliczem.

Szkolne wychowanie podtrzymywało wprowadzić pamięć tak dziejów światowładnej Romy, jak i jęj znakomitych pisarzy. Poeci tacy, jak: Wirgili, Horacy, Owidiusz; historycy, jak: Liwiusz i Salustiusz; mówcy, jak Cyncero, byli znajomi młodzieży, dopóki na ławach studenckich siedzieli: ale gdy wyszli z murów szkolnych na świat szeroki, gwar jego i towarzyskie stosunki, zacierają wprędce ich pamięć. Tylko jakiś uczony z powołania, albo zapalony łacinnik, czy na roli, czy przy stoliku urzędnika, przypominał sobie ustępy Enejdy, Bukolik, albo ziemianstwa Wirgilego, lub dla pociechy dusznej jaki fragment z pieśni Horacyusza.

Tak było na początku naszego stulecia nie całe ćwierć wieku obejmując, bo coraz silniej francuzczyzna przygniatała i te wspomnienia. A wpływ jęj ciągnął się oddawna, i uwieńczony też został niezachwianą przewagą, i powagą Stanisława Augusta.

On to, zaszczytną nazwę dawną *sarmatyzmu*, okrył śmiesznością, a dla wywołania pogardy większej wymógł na Franciszku Zabłockim, jedynym w owe czasy, najdoskonalszym komedyo-pisarzu, do napisania komedij p. n. *Sarmatyzm*, którą odczytywał z poklaskiem obecnych na uczonych czwartkowych obiadach, w zamku królewskim.

Smutek i boleść przejmują czytając ten utwór, z dążnością z góry poleconą, żal tych pięknych wierszy, tego języka

bijącego życiem, użytych do skreślenia scen brudnych i ohydnych.

Stanisław August chorował na naśladownictwo Ludwika XIV, i temu to zawdzięczamy przynajmniej zaprowadzenie stałego teatru w Warszawie.

Stary zwyczaj i obyczaj domowych naszych ognisk, jako *sarmatyzm* poszły w pośmiewisko! język sam w poniewierkę, i to trwało długo a tak szeroko, nietylko w pańskich domach, które oddawna zczudzoziemszczały, ale i w średniej klasie stanowiącej właśnie obywatelstwo tak wiejskie jak i miejskie, że Kazimierz Brodziński napisał pełną rzewności elegię „za polskim językiem” a Klementyna Tańska (późniejsza Hofmanowa) naznaczyła karę pieniężną, na zebraniach swoich, za kaleczenie frazesami francuzkimi macierzystej mowy. Wyraz *klasycczności* nie schodził z pola, ale teraz wyłącznie obejmował utwory literatury nadsekwańskiej.

Wypadki jakie zaszły od bitwy pod Jena 1806 r., i utworzenie Księstwa Warszawskiego, musiało umacniać ciągle tak język jak i literaturę francuzką. Wszystko więc co czuło jakiś talent i pociąg do pióra, brało się do tłumaczeń. Tak Henryady Woltera mamy kilka przekładów; toż mówić o tłumaczeniach tragedji Kornela, Rasy i poematów *Deli-la*, nielicząc mnóstwa powieści zaczawszy od *Floryana* i *pani Genlis* jak i drobniejszych utworów poetycznych.

Zaslepienie z uwielbieniem dla literatury francuzkiej, tak było przeważne, że liche powiastki z tego języka, przerabiano w poemata, i te zyskiwały szeroki rozgłos. Tak było z drobną powiastką *Montesquieu*ego „*Świątynia Wenery w Knidos*”, którą Józef Szymanowski, w ostatnich latach zeszłego wieku przetworzył na poemat. Sam, zacny życiem i usługami dla kraju obywatel, w wolnych chwilach od prac ważniejszych, zajął się tą przeróbką prozy francuzkiej na wiersz polski, jako miłą dla siebie rozrywkę, ani myśląc, że z tej drobnostki, ktoś zechce zrobić jakieś ważne literackie dzieło. Umięra w r. 1801, i w tymże samym Stanisław Potocki wystąpiwszy w zgromadzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ogłasza z niezwykłym zapałem i wymową *Świątynię Wenery w Knidos*, jako „arcydzieło stanowiące epokę w literaturze polskiej.” Powaga jakiej używał Potocki, sprawiła, że Jan Feliks Tarnowski, tego arcydzieła, nowe wspaniałe

wydanie w Parmie, w drukarni J.B. Bodoni'ego ogłosił (w 4-ce str. 63). Niezręczna pochwała przyjaciela stała się następnie powodem szyderstwa, na które nie zasłużył Szymanowski.

Upadek Napoleona I'ego przyniósł pożądany pokój, a z nim zaczęło się nowe życie literackie przygłuszone przez lat wiele wojenną wrzawą.

Powoli, od roku 1815 potrzeby umysłowe i myśl społeczności naszej oderwane w inne strony, teraz zaczęły zwracać się ku duchowej. I znaleźli się zaraz ludzie, którzy pojmując te potrzeby, starali się je zaspokoić.

Feliks Bentkowski obejmuje redakcyę *Pamiętnika Warszawskiego*, i kreśli przedwstępne słowo w Boże Narodzenie 1814r. a następnego roku w styczniu, wychodzi piérwszy zeszyt tego naukowego organu nakładem księgarza Józefa Zawadzkiego. Tytułem swoim przypominał on wydawnictwa tego rodzaju Franciszka Dmochowskiego tłumacza *Iliady* i *Enejdy*, a w czasach Księstwa Warszawskiego *Pamiętnik* podobny redakcyi Ludwika Osińskiego,

Pismo to jeżeli z jednej strony zaspokajało w części ówczesne pragnienia, nie odpowiadało wszelako życzeniu w zupełności ogółu, wychodziło bowiem raz na miesiąc i więcej poważne podawało artykuły, jakkolwiek nie brakło i lżejszych utworów, szczególnież prawdziwej wartości, poetycznych.

W obudzeniu prawdziwego życia w prassie peryodycznej główna należy zasługa Brunonowi hr. Kicińskiemu. Młody, pełen zapału, wysoko wykształcony i talentu niepośledniego, znający gruntownie języki: grecki, łaciński jak i nowożytny, zakłada własną drukarnię i w r. 1818 występuje z nowym organem literackim: „*Tygodnik Polski i Zagraniczny*.”

Nie możemy pominąć *Odezwy* tego *Tygodnika do swoich starszych braci, innych pism peryodycznych*” gdyż w nim znajdujemy zarazem program tego pisarza.

„Słaby jeszcze i wahający się, stoję przed wami starsi bracia moi, może godny tak szanownego grona, może zbyt śmiały, że się do niego natrętnie wdzieram. Wady i przymioty moje, byt mój nawet, gruba jeszcze przyszłości okrywa zasłona. Czyli jest przeznaczeniem mojem półki księgarni, czy sklepów korzennych zajmować, czy z wielką częścią społecznych kolegów, jak niegdyś Karol V pogrzebowi memu żywcem mam assistować, czy ze ś. p. *Pamiętnikami Świt-*

kowskiego, Dmochowskiego, Osińskiego i *Zagranicznym*, co cyprysy swoje laurem uweselili, miłą pamiątkę i żal współziomków poniosę do grobu, wszystko to na łonie *jutra* głęboko jest zakryte. Szanujmy tę noc niewiadomości, która skrzydły swemi kolébkę moją osłania, bo jest pogodna, bo gwiazda nadziei choć zdaleka, choć słabo, ale mile błyska, a kto wie czy jutrenka równie będzie przyjemną. Nie jeden z was zazdrości mi pewnie stanu, w którym o losie swoim jeszcze wątpić wolno. Ale cóż czynić! Trzeba się raz odważyć: wie żołnierz że na polu walki grady śmierci biją, przecież na nią idzie śmiało.

„Musieliscie słyszyć, panowie moi, o pewnym roztroprnym człowieku, który wracając do domu, wystawiał sobie zawsze że go największe czekają nieszczęścia, ażeby się cieszyć nie tylko z pomyślnych wypadków, ale i z klęsk niedoświadczonych: tak i ja idąc przed sąd publiczności, widzę gotującą się nawałność, widzę ostrzące się na mnie w surową krytykę brzemienne recenzentów pióra. W tak drażliwém położeniu raczyło mi podszeptać doświadczenie:—„Patrz jakinni ludzie wychodzą, protekcyja daje miejsca, protekcyja daje talenta!”

„Uciekam się więc pod waszą protekcyę starsi bracia mo i, szczególnież pod twoją szanowna babko wszystkich pism peryodycznych *Gazeto Warszawska*! Długoletnie utrzymywanie się na teatrze świata, dało ci wielką powagę, Wyrocznio narodu! Ty, co jedném tchnieniem nadymasz tysiąc trąb sławy (1) przyjm mię za swego klienta: znajdziesz wdzięcznego. Niech sarka zawiść, że nieodstępne wieku przywary i ciebie zaraziły, że zamiast nowin, starodawne przetapiasz dzieje, że się kochasz w dykteryjkach i anegdotach; niech upatrują w tém śmieszność, że zbrzydziwszy sobie stan wdowy połączyłaś się z *Pustelnikiem*, którego plantacya nadsekwauńskich kwiatów, poprostu w grunt nasz wsadzonych nie najlepiej się przyjęła... Wszakże i w słońcu znaleziono plamy! (2) O wy! co wszystko odrazu doskonałym mieć

(1) Tysiąc egzemplarzy rozchodziło się wówczas *Gaz. Warszawskiej*.

(2) „*Pustelnikiem z Krakowskiego Przedmieścia*” który pojawiał się w *Gazecie Warszawskiej*, był Gerard Maurycy Witowski: on to, wzięwszy sobie za wzór wychodzące szkice w Paryżu p. n. „*L'Ermite de Chaussée d'Antin par Jais*” naśladować je stosował i nagiął do zwyczajów Warszawy

chcecie, odczytajcie dewizę jednego z naszych pism peryodycznych: „Nigdy ten nic nie robi, kto się zawsze boi źle zrobić!”

„I pod twoją możliwą opiekę udaję się *Pamiętniku Warszawski*! Ty, któremu zarzucają, że przy teraźniejszej naukowej temperaturze, często zapadasz na chorobę czczości, pozwól mi gdęrać, ja wszędzie ujmę się za tobą (w podobnym razie podobną pomoc zastrzegając sobie).

„A wy inni bracia! nie bójcie się, nowy przybysz nie pozabawi was chleba, nie walczy on z wami w jednymże zawodzie: ci tylko na niego prenumerować będą, którzy się zechcą zabawić!”

Publiczność rzeczywiście szukała w literaturze zabawy i rozrywki umysłowej: znalazł też *Tygodnik* świetne powodzenie. Wydanie było staranne i ozdobne, dodawano bowiem tak ryciny kolorowane, głównie przedstawiające znakomitszych naszych aktorów w rolach zarówno tragicznych jak komicznych, i nuty do pieśni, które tym sposobem prędko się rozpowszechniały.

Podparli dzielnie ten nowy organ, młodzi, pełni talentu pisarze. W *Tygodniku* pierwsze miejsce zajmował jako prawdziwy poeta, w całym słowa tego znaczeniu *Antoni Górecki*. Utwory jego odznaczały się wybitnie, niepospolitą treścią, formą artystyczną, siłą i pięknnością języka. Tu poraz pierwszy występują: *Franciszek Morawski* pod skromną cyfrą *F. M.* z bajeczkami i większymi lirycznymi fragmentami, nacechowane świeżością myśli i dźwięcznym wierszowaniem; *Ferdynand Chotomski*, wierszopis niepospolitego dowcipu z żartobliwymi poematami, w których nie brakło rzeczywistego humoru, zanim wykończył *przenicowaną Eneidę* Wirgiliusza, której wartość dziś jeszcze jest znaczącą pod względem przechowania tego języka, który zaleca wszystkie komedye Za-

i społeczności naszej. Ale jak każde naśladownictwo nie wiele ma wartości, lubo dla badacza tych czasów nie może być obojętnym. Zbiór tych artykułów drukowanych w *Gazecie Warszawskiej* wydał oddzielnie w dwóch tomach 1818 roku w Warszawie, w ozdobnej edycji z rycinami. W dziesięć lat później (1828—1829) ogłosił drugie wydanie znacznie pomnożone w 4ch tomach. Tłumaczył Moliera *Szkolę kobiet* i komedję z francuzkiego: „*Dwaj zięciowie*” obiedwie przedstawione na teatrze narodowym.

blockiego. *Brykczyński* zgasł w młodym wieku, nieodstępny towarzysz *Kicińskiego* wspierał ten organ, a główny redaktor oprócz drobniejszych wierszy, pokazał próby swego tłumaczenia *Przemian Owidiusza*.

Obok *mód paryżkich*, pojawiają się powieści i przekłady z niemieckiego, przeglądy literatur tak włoskiej jak germańskiej. Krytyka teatralna, i dobierane *rozmaitości* zajmujące, wypełniały każdy zeszyt *Tygodnika*, pojawiającego się co sobota.

Kiciński nie poprzestał na tym jednym literackim organie, we dwa lata później założył *Kuryera Warszawskiego*, który następnie odprzedał *L. A. Dmuszewskiemu*, i pisma polityczne obszerniejszych rozmiarów i wyższego znaczenia.

W roku 1821 za danym hasłem przez *Kicińskiego*, ożywia się coraz ruch prasy w rozmaitych gałęziach. Oprócz *Pamiętnika Warszawskiego* pojawiają się:

Izys Polska, czyli dziennik umiejętności, wynalazków, kunsztów i rękodzieł, poświęcony krajowemu przemysłowi, redagowany przez *Gracyana Korwiną*, w zeszytach miesięcznych.

Sylvan, dziennik leśny, co kwartał.

Tygodnik muzyczny, pod redakcją *Karola Kurpińskiego*.

Gazeta Literacka, organ wyłącznie poświęcony krytyce, (arkusz w 4ce co tydzień).

Sybilla Nadwiślańska, pamiętnik narodowy: literaturze, historii, polityce i rzeczom krajowym poświęcony, pod redakcją *Franciszka Grzymały*, w zeszytach miesięcznych.

Dekada Polska, pismo wyłącznie obszerniejszym wiadomościom treści politycznej poświęcone, pod redakcją *Wiktora Heltmana* (trzy razy na miesiąc).

Miejsce *Tygodnika Kicińskiego*, zajął *Tygodnik* pięknej literaturze i sztukom nadobnym poświęcony p. n. *Wanda*. Redakcję objęli dwaj młodzi literaci, *F. S. Dmochowski* i *Dominik Lisiecki*.

Przy *Wandzie* równocześnie pojawił się *Potpourri*, a po nim zaraz *Momus*, zawierający fraszki, żarty, ucinki, myśli satyryczne: pół arkusza na tydzień pod redakcją *Aloizego Żółkowskiego*, wybornego humorysty i pierwszego komika teatru narodowego.

Kiedy się tak ruch pism peryodycznych coraz zwiększał, na całym polu literackim panowały głęboki spokój i cisza.

Klasykizm duchem francuzka, przybrana w poważną tunikę grecką, stała w posagowej postaci, laurem uwieńczona, odbierając ciągle bałwochwalcze pokłony od rzeszy literackiej.

Katedrę *literatury porównawczej* zajmował słynny tłumacz Kornela *Ludwik Osiński*, pierwszy znany zwolennik takiej *klasykizacji*, professor i dziekan zarazem Uniwersytetu Warszawskiego, który potęgą cudnej deklamacyi, zgromadzał zawsze co sobota od czwartej do piątej godziny poobiedniej, tłumy gorliwych słuchaczy.

Fanatyk *klasykizmu*, *Kajetan Koźmian*, w arcydziele swoim: „*Ziemiaństwo Polskie*“, na które ciekawie *intelligencja* nasza długie lata daremnie oczekując, znała tylko w rękopiśmie niektóre ustępy, zapraszając w nim *Osińskiego* do swojej wiejskiej ustroni, taki zwrot mu poświęca:

„A ty! którego pióro wzniosłe rymy toczy,
I w cudze, brzęcącym głosem lejesz wdzięk uroczy,
Przybędziesz wraz z innymi a przyjazne dźwięki
Powitają cię palmą i bluszczem na skronie.”

Teatr narodowy pod dyktando najprzód *Wojciecha Bogusławskiego* twórcy i założyciela sceny naszej, a następnie jego zięcia, tegoż samego *Ludwika Osińskiego*, niezwykle obudzał zajęcie ogółu. Po tłumaczeniach *Osińskiego*: *Kornela* i *Woltera*, jak *Rasyna* przez innych pisarzy, pojawiać się zaczęły dramata oryginalne z dziejów krajowych.

Na czele tu postawić należy *Franciszka Wężyka*. Tragedye jego jak: *Gliniński*, *Bolesław Śmiały*, *Barbara Radziwiłłówna*, pojawiły się na scenie warszawskiej przed odżywieniem prasy peryodycznej; po nich ukazały się dramata *Ludwika Kropińskiego*: *Ludgarda*, i *Aloizego Felńskiego*: *Barbara Radziwiłłówna*.

Wężyk drukując swoje tragedye, dołącza do nich rozprawę: *O poezji dramatycznej*, w których gorliwie broni trzech jedności, owego dogmatu literackiego *klasyków* naszych, to jest: *jedności działania, jedności czasu i jedności miejsca*.

Oburza się na zdanie *Szlegla* w dziele: „*Über dramatische Kunst und Literatur*“ (1), który w utworach dramatycznych główne działanie przyrównywa do wielkiej rzeki, a ustępy do odnóg, co obiegłszy różne miejsca i kraje, łączą się na koniec z tą wodą, z której wzięły początek, i razem z nią wpadają do morza.

„Czyliż nie można — kończy *Szlegel* — do takiej wysokości podnieść słuchacza, ażeby z niej podobne działanie widzieć i ogarnąć potrafił.”

Wężyk pojąć tej myśli *estetyka* niemieckiego nie może, i stawia przeciw niemu *Arystotelesa*, ten ustęp, że:

„Wielka jest różnica pomiędzy wypadkami które następują jedno po drugim, a między temi, które jedno z drugich wypływać się zdają.”

Oczywiście, że w tak ciasnych ramach mieszcząc swoje utwory dramatyczne, pozbawił je właściwego życia i dziejowego kolorytu, pomimo niezaprzeczonego talentu.

Jak na polu dramatycznym, wszelką myśl twórczą, zabijały formułki *klasyczne*, tak widzimy to i w innych rodzajach poezji.

W owym arcydziele *Koźmiana*: „*Ziemiaństwo Polskie*“ pieśń pierwsza tak się zaczyna:

„Nie powstał nigdy we mnie zamiar tak zuchwały,
Bym chciał sięgać po wieniec *Wirgilego* chwały!
Żaden mu z śmiertelników nie wyrównał w rymie!
I dla świata on śpiewał, kiedy śpiewał w Rzymie!”

Ale najdoskonalszą jest jego spowiedź w przypiskach do tej pieśni. Posłuchajmy jej, bo nam wybornie maluje te czasy i pojęcia literackie.

„Nie zaślepia mnie tak daleko miłość własna, abym śmiał się mierzyć z najcelniejszym rymotwórcą rzymskim, nie taję jednak, iż w obecnym zawodzie był on moim mistrzem i wzorem. Z tego powodu poema niniejsze co do osnowy, kształtu i celu, może być uważane za naśladowanie *Georgików* *Wirgiliusza*; o tyle atoli różni się od pieśni *łacińskiego* wieszczu, o ile wieki, położenie kraju, płody ziemi,

obyczaje ludzi, potrzeby, wady i zalety gospodarstwa, odróżniają ziemię polską od dawniej i szczęśliwej Auzonii.

„Rodzaj ten sam, lecz pisarze nie ci sami, wykonanie więc nie może być porównanem. — Któż się do Wirgiliusza zbliży? Kto go naśladować potrafi? — Ale z drugiej strony, cóż czynić z przedmiotami, które w tego rodzaju dziele z natury rzeczy pod pióro się nawijają, których lepiej wystawić niepodobna, a gorzej przez uszanowanie publiczności nie godziło się. W takim położeniu wołałem powtórzyć co ten nieśmiertelny mistrz powiedział, i tak powiedzieć jak on powiedział, aniżeli pominąwszy jego wzory, błąkać się i tułać za radą i podszeptem zarozumiałości. Wyznam jednak, iż w niektórych miejscach, to naśladowanie mimowolnem się stało; po ukończeniu dopiero dzieła, odczytując mistrza mojego poematu, dostrzegłem, iż więcej mu dłużny jestem, aniżeli się spodziewałem. Widzę, iż tam gdzie myślałem, że umysł mój tworzy, pamięć się tylko moja ocknęła!”

Czyż potrzebujemy objaśniać tak naiwną otwartość człowieka zajmującego wysokie stanowisko społeczne, wierszopisarza, który miewał nawet prawdziwie poetyczne natchnienia; literata, który powszechniej używając powagi, stał niemal na czele klasyków. Dodamy tu jeszcze większą naiwność Koźmiana: takie swoje *Ziemiaństwo* przypisał na czele komu, oto *wieśniakom polskim*, i od tych biedaków co ani czytać ani pisać nie umieli żąda sądu.

„Wydacie wyrok — mówi do chłopków naszych — czyli byłem szczęśliwy dopiąć nie łatwego celu. A jeżeli rozrzucione tu przestrogi ulżą waszej pracy, opisy przyniosą w troskach pociechę, rady i wspomnienia natchną silniejszemu zamiłowaniu tej ziemi, którą waszemi rękami uprawiacie, i tego stanu niewinności i skromnej prostoty, przez który usunięci od skażenia, zachowujecie dotąd czerstwe i niezmiennione narodowe rysy. Jeżeli wasze dzieci czytają, lub młodzież za pługiem powtarzać je będzie, o jakże nagrodzonym zostanę za *kilkunastoletnią* pracę moją!”

Kilkanaście lat pracy kosztowało Koźmiana, napisanie 2800 wierszy *Ziemiaństwa*!

II.

Na ołowianem jednostajnie niebie klassyczności, niespodzianie zaczęły przeblyskiwać niewidziane dotąd gwiazdki.

Nie obudzało takie zjawisko najmniejszej uwagi ówczesnych powag literackich, ale młode pokolenie poczęło zwracać ku nim swe tęskne spojrzenia, rozglądając te cząstki krajobrazów duchowych, pobudzające do nowych wrażeń, które owe gwiazdki światłem swoim rozjaśniały.

Był to rok 1818.

Kiedy Bruno Kiciński swoim Tygodnikiem nie zwykłe obudza życie w prassie peryodycznej, a Ludwik Osiński zasada katedrę w Uniwersytecie Warszawskim, ukazuje się równocześnie prawie dwóch prawdziwych poetów, którzy z pośród wierszopisów wynoszą do razu głowy wysoko ponad ich licznem gronem.

W ostatnich latach zeszłego wieku przychodzi na świat Boży dwoje pacholąt: jedno urodzone 1791 roku u stóp *Tatrów*, drugie w ośm lat później u podnóża gór *Miodoborskich*.

Młodsze, w dziewiętnastym roku życia występuje z wielkim dziejowym poematem, z którego drukuje cztery tylko pieśni (*Cwiczenia naukowe*, 1818 r.): *Dobremir i Aniela*, *Aniela i Dymitr*, *Jamedyk Błud czarnoksiężnik* i *Chrobry pod Kijowem*.

Niezwykłe wrażenie wywołały te pieśni! Młode pokolenie wychowane i karmione utworami klassycznymi z czasów Stanisława Augusta i późniejszych, uderzone zostało tak samym wzniosłym pomysłem, jak formą, która niezwykłą świeżością i samodzielnością, przy języku pełnym życia, prostoty i prawdy, oddychała.

Ale nieszczęsna atmosfera klassyczności, pozbawiła go oddechu swobodnego. Jak orzeł w klatce stęskniony do polotu, aby pobujać bliżej słońca, połamiał sobie skrzydła o żelazne pręty kodeksu klassycznego, którego nie śmiał przestąpić. Na tych pieśniach skruszył pióro wielkiego *eposu*, przeszedł na pole dramatyczne, a w lirycznym natchnieniu wyśpiewał śliczne swe *Dumy Podolskie*.

Otoczony cudnym krajobrazem, który przykraszały góry *Miodoboru*, najszlachetniejsze wyśpiewując uczucia i wspomnienia przywiązane do tych okolic, zwraca myśl i ku miłości. Ale nie masz tu ani Amorków, ani Wenery, z prostotą a jak poetycznie, zwraca się do swój wybranej.

„Spojrzyj Heleno! ranna płonie zorza,
I nowe słońce się rodzi:
Anioł to życia, wśród błękitów morza,
Na złotój żegluję łodzi.

„Chodźmy Heleno, kędy gór tych czoło,
Wspaniałym las wieńcem szczyci;
Raj samotności ujrzymy w około,
Przed obcym wzrokiem ukryci.

„W miejscu tam wiecznie drży krynica żywa,
Jak w sercu miłości drżenie,
I od spokojnej skały nie odpływa,
Jak od pamiątek wspomnienie.

„Tam jak ty świeża, jak ty, czystą wodą,
Ziemia się przy niej napawa:
Tam jak ty, piękną, jak ty, zawsze młodą
Oddycha wiosną murawą!” (1).

Kiedy po tych próbach, wielbiciel poezji zaczęli w nim witać prawdziwego jęj kapłana, twórca *Dum Podolskich*, trawiony melancholią, w nurtach Dniestru znalazł spokój, którego nie miał na ziemi. Zakończył życie w samym kwiecie wieku, bo zaczynając rok 29 dopiero.

Znakomity nasz pieśniarz Stanisław Doliwa Starzyński, w pięknym a pełnym rzewnego uczucia i prawdy wierszu uczył pamięć zgasłego poety.

„Nie żyje! właśnie anioł z promienistym czołem
Chwilowy gość na ziemi, uleciał aniołem!

(1) Karol Sieńkiewicz przyjaciel zmarłego poety, wydał w Puławach te *Dumy podolskie* w r. 1830. W Bibliotece tamecznej, rodzice Tymona złożyli jego własnoręczne poezye. Pomiędzy temi wymienia: *Bohdana Chmielnickiego* i *Tajemnicę* czyli *Borys i Milwiana* dwie tragedye i *Umwidą*, poema dramatyczne z czasów Mieczysława. Gdzie się zachowują te utwory obecnie — niewiadomo.

Właśnie gwiazda śmiertelnych ukazana oku,
Nagłym błysła przelotem w krainie pomroku!
Właśnie dźwięk melodyjny złotój niebian lutni,
Zachwycił nas — i zniknął!”

Był to *Tymon Zaborowski*, którego wspomnienie obudzać zawsze musi żal szczery i serdeczny: — onto na tém ołowianém klassyczności niebie, zajaśniał blaskiem prawdziwej poezji, jakby poprzednik świetnej późniejszej plejady śpiewaków.

Starsze od *Tymona* pacholę, przyszło na świat wątłe i słabe, po urodzinach zaraz skazane na śmierć przez domowego doktora; przeżyło jednakże swego proroka, i wytrzymało trudy życiowe tak wielkie, że kruszyły się nawet pod niemi żelazne innych organizmy.

Pierwszém wspomnieniem, jakie pamięć jego zachowała, był katafalk, a na nim martwe zwłoki matki, otoczone jarzącym światłem i kwiatami.

Sierotkę, wiejskie niewiasty przytuliły i wychodowały: zasypiał kołysany pieśnią ludową, lub pobożną, a jak się zbudził, napawał się podaniami i baśniami ludowemi.

W szkole wyuczył się po niemiecku i po łacinie, i w dziecinnych jeszcze latach poszedł na trudy obozowe. W nich zahartował wątłe siły, i jak *Tymon* namaszczone bożym palcem na poetę, zajął w obecnej dobie podniosłe stanowisko, przygotował myśl ogółu do nowych zmian w pojęciach nie tylko poezji, ale wszelkich gałęzi literatury, i stał się prawdziwym reprezentantem ostatniego, a dotąd rozwijającego się okresu duchowego.

Mówimy o *Kazimierzu Brodzińskim*; on to w tym właśnie roku 1818, kiedy jeszcze nie zajmował katedry literatury polskiej obok Osińskiego, ogłosił znakomitą swoją rozprawę o *Romantyczności* i *Klassyczności*, i pierwszy wymówił ów wyraz budzący nienawiść w klasykach, a będący hasłem nowej szkoły następnie.

Nie będziemy się zapuszczać w określenie ani pierwszej ani drugiej; pragnący gruntownie je poznać niech odczyta pomienioną przez nas Brodzińskiego rozprawę, który ze skromnością właściwą, ale jasno i dobitnie, główne cechy tak ro-

mantyczności jak i *klassyczności* wykazuje (1). Sam przekładami poetów niemieckich, słowiańskich dum i pieśni,—nową iść zaczął drogą;— aż we dwa lata później ogłosił drukiem *sielankę krakowską*: *Wiesław* (rok 1820).

Jestto zaprawdę jedyna, najprawdziwsza nasza sielanka, górująca po nad sielankopisarzami XVII stulecia, bo wolna od przystroju mitologicznego, wiernie i z całą poetyczną prostotą, maluje dziarski lud krakowski.

Józef Dyonizy Minasowicz, równocześnie z Brodzińskim tłumaczy Szyllera; teatr warszawski powoli przysposabia społeczność naszą do *romantyczności*, jakby przeczuwał jej przyjście.

Pod dyrekcyą Osieńskiego, na tej scenie ujrano dramata Szekspira: *Hamleta*, *Machbeta*, *Otella*, *Króla Lira*, Szyllera: *Fieska*, *Intrygę i miłość*; i *Dziewicę Orleańską* w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego, starszego brata Kazimierza. Z oryginalnych natchnionych wskrós duchem romantycznym, J. U. Niemcewicz tragedję: *Zbigniew*, i M. Fredry: *Haralda*. W owe czasy ukazał się także dramat liryczny niemieckiego poety P. A. Wolffa, z muzyką Webera, w mistrzowskim przekładzie J. D. Minasowicza p. n. *Precyoza*. Publiczność zachwycona siłą i potęgą języka, cudnym wierszem, który w tak poetycznej szacie pierwszy raz zabrzmiał ze sceny, tłumnie zbiegała się do teatru.

Improwizacyi *Precyozy*, jaką wypowiada w swym pierwszym wystąpieniu, uczono się na pamięć. Oto jej początek:

„Nachyliło słońce czoła,
Hoże pieśni brzmią dokoła,
Radość wieńczy każdą skroń.
A gdy syci już słodyczy,
Rodzic okiem swoich liczy,
A zwoływa matki dłoń!

Wszyscy zeszli się dokoła:
A sieroty nikt nie woła!
Tuła się od drzwi do drzwi.
W burze dnia, po cieniach nocy,
Błądzi biedna bez pomocy,
A ból srogi w sercu tkwi!”

(1) Pamiętnik Warszawski, tom X i XI z 1818 roku.

Kiedy tak teatr sam nieświadomie zapoznaje widzów swoich z utworami romantycznymi, pojawia się nagle i niespodziewanie w tymże roku 1818 i w témże samém piśmie co poemat Tymona Zaborowskiego, poemat prozą, i donioślejszego wpływu, *Zoryana Dołęgi Chodakowskiego*: „*O słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej*” (1).

Rozprawa to pozornie naukowa, a w rzeczywistości porywający poemat, rzucający światło na zamierzchłe wieki pogańskie. Nie pamiętamy w owej porze żadnego utworu, któryby tak zajął umysły młodego pokolenia. Chodakowski dał nim hasło do badań etnograficznych, i pobudził pierwszy gorętsze dusze do zbierania pieśni, podań i powieści ludowych, które wkrótce dla *szkoły* tak zwaną *romantyczną*, były prawdziwym skarbcem nieprzebranym.

Rzecz godna uwagi, że co w pomienionej swjej pracy, przeczuwał lub przewidywał Chodakowski, to późniejsi badacze, uczonemi studjami sprawdzili, i jako niezachwianą prawdę podali.

Upłynęło już z górą pół wieku od chwili pojawienia się Chodakowskiego, a dziś odczytując rozprawę ową, uderza i porywa poetycznością myśli, samodzielnością poglądów, dziarskością języka i wyrażen, i owego badawczego, genialnego wnikania w przeszłość tak daleką, którą dziesięć stuleci ciemną oponą pokryło.

Pomimo te objawy w różnych kierunkach wybitne; cisza i spokój panowały na polu literackim. Rozprawę Brodzińskiego wybrane kółko ochoczo czytało; młodzież unosiła się to nad przekładem jego *pieśni Madagaskaru*, tak świeże formą i treścią, to nad *Wiesławem*, zarówno jak utworami Tymona Zaborowskiego,—rozczytując się chciwie w rozprawie Chodakowskiego, ale żaden głos niechętny nie ozwał się przeciw *klassyczności* ani jej zwolennikom.

Z grona ich jednakże przyszła pierwsza zniewaga świętości *klassycznej*: *Ferdynand Chotomski* zaczął *nicować Eneidę* Wirgiliusza, i nie byłoto bez wpływu na młode umysły. Alojzy *Żółkowski*, jedyny na te czasy humorysta, oburzył wielbicieli tragedji *klassyczno-francuzkich*, podaniem *recepty* następnej na tragedję:

(1) Taki pseudonim wówczas przybrał Adam Czarnocki.

„Weź (pisze w swoim *Potpourri'm*) jednego bohatera i jednego złoczyńcę, tamtemu dodaj wszystkie cnoty, temu wszystkie zbrodnie, do jakich tylko człowiek jest zdolny; przemieszczaj ich z sobą, tak, żeby raz ten, drugi raz ów się pokazał; dodaj do tego parę tuzinów o! ach! i ha! kilka mdłości, tudzież morderstw jedną dozę, miłości *ad libitum*, gotuj to wszystko aż do piątego aktu, i nawet daj kilka razy wyszumieć; potem zlej, zatknij morałem, i niech tak przez parę dni stygnie: poczem możesz użyć jak ci się podoba.“

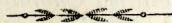
Wybornie w tej recepcie scharakteryzował tak treść jak i ramy w których się te utwory dramatyczne mieścić musiały, pilnując się przepisanych owych *trzech jedności*, o których wyżej wspomnieliśmy.

Było to na rok przed pojawieniem się *Mickiewicza*.

Szczególnym wypadkiem, pierwsze wydanie poezyj Mickiewicza, ogłoszone w malutkim formacie w dwóch tomikach w Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego 1822 roku, ukazało się na straganie przedkościelnym Pijarów, pomiędzy broszurkami rozmaitej treści i książkami nabożnemi. Było egzemplarz jedyny, który najpierw dostał się w ręce dojrzałszej młodzieży. Obiegł on wprędce szerokie ich koło, i przepisany wielokrotnie został.

Któż mógł wtedy przewidywać, że w tych dwóch drobnych tomikach, mieści się zaród tylu burz namiętnych, takiego przewrotu wyobrażeń literackich, i że mieściły w sobie stalowe ostrze toporu, który wiekowy posąg poważnej klasycyzności zwalić z piedestału wzniosłego potrafi, i skruszy go w kawały!

A jednak rok po roku, w lat kilka byliśmy świadkami tego widowiska.



III.

Na pustej i jałowej niwie poezji polskiej, na której gdzieniegdzie wątłe krzewy i blade sztuczne kwiaty z pod cudzego nieba przeniesione, zaledwie oznaki chorobliwego życia dawały; w tej właśnie dobie ciszy i spokoju przed pojawieniem się Grażyny, już ta niwa, ręką skromnego a umiętowanego oracza sprawiona, bujnie okryła się rodzinnym kwieciami, i przygotowaną została do posiewu i nowych nasion zapewniając im plon pewny. Woń rodzinnych fiołków, macierzanki i konwalii, przepachniała w całej atmosferze, napędzając balsamicznie oddech przechodnia, gdy stanął tu na chwilę; wciągał ją też całemi piersiami, które pierwszy raz odetchnęły z nieznaną swobodą.

Tym oraczem był śpiewak *Wiesława*, który mógł powtórzyć z *Gawińskim*:

„Już śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę,
Obudwu nas w robocie, dwoje widzi zorze.
Bóg pomóż skowroneczku dodawaj nadzieje,
I tobie z mojej pracy pożytek przyspieje.“

Dla skowronków orał pługiem, ale wkrótce, i króle ptaków spadły na to pole.

Na rok przedtem zanim nieznanie imię Mickiewicza, jak meteor zajaśniało olśniewającym światłem, wyszły dwa małe tomy poezyj pod napisem: „*Pisma Kazimierza Brodzińskiego*.“ (Warszawa, nakład Natana Glücksberga, 1821 roku w 12ce). Były to utwory znane już po części z pism peryodycznych, a głównie z *Pamiętnika Warszawskiego*, ale obok nich pokazały się i nieznanne.

Przekłady z *Getego*, *Szyllera*, *Herdera*, z greckiego, jak i łacińskiego; pieśni *Ossyana*, jak pieśni *trubadurów*, słowiańskie dумы, obok *Abufara* tragedji francuskiej *Ducisa*, pieśni *Madagaskaru* podług *Parnyego*, obok pieśni *Litewskich*, mamy tu razem w jeden wieniec zebrane.

Oryginalne poezye przeważają te tłumaczenia i naśladowania; na czele pierwszego tomu: rozmowa z Włochem i wiersz do duszy naszego poety.



Nic tak jednakże nie maluje nam wierniej jego charakteru, jak mały wierszyk:

DO KONIKA POLNEGO.

Zkądże to wiejski śpiewaku,
Pod mém oknem twoje głosy;
Jakże cię miły żebraku,
Aż tu zapędziły losy?

Wysieczono twoje łany,
Gdzieś swobodnie pieśni nucił;
Aż do miasta zabłąkany,
Jakżeś mnie bardzo zasmucił.

Nie tobie śpiewaku polny,
Miejskie przystało schronienie,
Ciche gaje, umysł wolny,
Natchnie tylko lube pienie.

I mnie dzisiaj miasto więzi,
Com lubił wiejskie zacisze;
Zawieszoną na gałęzi,
Wiatr moją fletnią kołysze.

Więc gościnę w równym stanie,
Przyjm żebraku w oknie mojem;
Z kwiatów ci zrobię posłanie,
Czystym uroszę je zdrojem.

Siądziesz czasem na méj lutni,
Tu samotni w wolnej chwili,
Oba tęskni, oba smutni,
Po wiejsku będziem nucili!“

To upodobanie ku wioskowemu życiu wyniósł Brodziński od lat swoich niemowlęcych, to też mu przez całe życie dźwięczy w duszy bezprzestannie melodya ludowej pieśni wraz z słowami namaszczonej prawdą i prostotą, i jak dzwonek skromnej dzwonnicy plebanii, wzywa gromadę sieliską do modlitwy, tak dźwięk ten najczęściej dawał mu natchnienie.

I owóż wyśpiewywa z duszy swego *Wiesława* w sielance krakowskiej, co to:

„Choć pracowity, choć pokorny w domu,
Bywał i Wiesław szpakiem pokryjomu:
Zajechać drogę choćby wojewodzie,
Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie.”

I daje nam drugie arcydzieło swego pióra: „*Pieśń rolników polskich.*“ Żaden z poetów nie umiał być wierniejszym malarzem naszego ludu, pochwycić jego najwznioślejsze uczucia i porywy, przy całej prostocie naiwnej formy jak Brodziński. Dziewięć tylko jest tych pieśni, które stanowią jakby łączny poemat, i one odzwierciedlają te postacie, które na tle wioskowém jaśnieją, w tych rysach i charakterystyce, która była ich własną, w owym okresie, gdy te pieśni powstały.

Prawda uczuć i prostota, to główna cecha pióra Brodzińskiego: tego żadna szkoła, żadna nauka nie da. Zdobył on ją mimowiednie, wychowaniem wioskowém, i potrafił w nieskażonej myśli i sercu przechować.

Któż z nas nie pamięta, owego wiersza: *Staś i Halina*, który przyrósł do pamięci ówczesnej młodzieży, co go chciwie się uczyła:

„Weselna była pora majowa,
Na odpust szedłem do Czerniakowa;
Szły obok matek strojne dziewoje,
Szły i za niemi młodzianów roje,
A ja sam byłem!...”

„Niech więc weseli idą szczęśliwie,
Ja szedłem miedzą po żytnej niwie,
I smutny byłem, bo szedłem prawie,
Jak ten robaczek błędząc po trawie.”

Gdzież możemy w poezji z tego okresu a nawet do roku 1830, znaleźć cudniejszy krajobraz wioskowy, jak w tej *przechadzce wieczornej*:

„Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy;

Po wsi ścigają się dziatki,
Niosąc jagody i kwiatki.

Tam dziewoja w głębi siola,
Błądną krówkę na noc woła;
Słońce za lasy uchodzi,
Bramy złożone odwodzi.

Koń opuszcza żółte łany,
Wraca miedzą popętany;
Grusze, co w polu się bielą,
Długi ku drodze cień ścielą.

Już zaporą skrzyła chatka,
Gdzie przy dziatwie sama matka;
Pastuch do stawu wesoły,
Krówki zagania i woły.

Ptaszek śpiewem utrudzony
Już się zniża na zagony;
Rolnik, co razem z nim nucił,
Pole z wołami porzucił.

Zebrak, który koło włości
Wołał we dnie do litości;
Już się w spoczynek udaje:
Śpiewa nabożnie przez gaje!

Na kościółku krzyż blaszany,
Błyszczący blaskiem zórz obłany;
Ptaszki ruszyły się z wieży,
Dzwonka wołanie się szerzy.

Z pola idąc z wiązką siana,
Pada matka na kolana,
Z dzwonkiem pod nieba sklepienie
Maryi szle pozdrowienie.

Wzniosła lipa przy kościele,
Długi cień na pola ścielę;
Jakoby łzami żałoby,
Rosa upada na groby.

Krzyż spróchniały, pochylony,
Nad mogiłą wyniesiony;
Wiatr chorągiewką kołysze,
Smutne przerywa zacisze.

Za parkanem między krzewy,
Zaczął słowik smutne śpiewy;
Kwiatkom drzemiącym na łące,
Świecą robaczki błyszczące.

Na pagórku po nad łany,
Stoi prosty słup drewniany;
Na nim w cierniowej koronie,
Zbawca świata schylił skronie.

Tam pobożnych ojców dziatki,
Postawiły w dzbankach kwiatki;
Pod nim okropna mogiła
Ciało nieszczęsne pokryła.

Od przechodnia w noc stroniona,
Hoinami przywalona:
Człowiek z nadzieją zwaśniony
Szukał u śmierci uchrony;

Nie chciał w smutku ufać Bogu,
Nie śpi przy kościółka progu;
W nocy, bez pieśni kapłana,
Jego mogiła sypana.

Wiatry tylko między skały,
Między bory zaszumiały;
Kiedy na trawę rzucona,
Smutna płakała go żona!"

Ileż tu szczegółów połączonych ze sobą dla utworzenia całości pejzażu, na którego tle odbija tak malowniczo dramat życiowy! Jak z drobnych kamyków, ręka biegłego artysty układa cudny obraz mozaikowy, tak Brodziński z pochwyconych maluczkich scen sielskich, ułożył obraz równie cudny, a tak poetyczny! Milkną głosy natury: a w tej ciszy wieczornej, słyszysz dzwonek kościelny wzywający do *Ave Maria*, i widzisz matkę jak padłszy na kolana odmawia *anielskie pozdrowienie*, gdy w pobliżu przy samotnej mogile samobójcy, na rosistej trawie, smutna wdowa jego zgon opłakuje. A tej modlitwie i żałobie, którą poeta wypatruje oczyma i sercem, wtóruje śpiew słowika, i przyświecają robaczki błyszczące!

Wspomnienia niedawnej przeszłości, w której sam brał czynny udział, są treścią wielu utworów poetycznych, przypominając wypadki dziejowe.

W lirycznych poezjach, zwrócić musimy uwagę na kantatę p. n. *Sztuki piękne*. W niej tak określa powołanie i znaczenie poezji:

„Tysiączne z méj krainy już skarby wynieśli,
Lecz nikt całej nie zwiedził, nikt jéj nie określi.
Dobroczyńcy na ziemi widzisz we mnie wzory,
Nieznana, niewidzialna, dzieł moje zbiory.
Kto powie, czemu piękność jego zmysły mami,
Czemu w dumaniu serce ludzi marzeniami,
Ten powie: istność moję — kto mnie w sercu mieści,
Zna mnie sam — innym tylko mą bytność obwieści.
Natchnienie duszą moją, sztuka jest méj ciałem,
Oboje równie Boskim otrzymuje działem,
Te razem tylko piękność dokładną wydadzą,
I prócz więzów wzajemnych, gardzą wszelką władzą.
Tworzyć w uczonym świecie czarodziejskie światy,
Rozliczne w zgodny wieniec wić natury kwiaty,
Unieść się w górę, godnie zniżyć do prostoty,
Wielbić czyny rycerskie i domowe cnoty,
Znać tajniki serc ludzkich, swe umieć otwierać,
Z dzieł przodków dla potomnych wzór i sławę zbierać,
To moje powołanie: prawda jest me znamię,
W dymie niknie mój ogień, gdy pochlebstwo kłamie;
Całym moim jest celem i jedyną chwałą,
Być jako kwiat kwitnąca, jak owoc dojrzająca.“

Widzimy więc w tym ustępie jasne pojęcie prawdziwej poezji, i ostateczny rozbrat z formami zapleśniałej klasycyzacji. Śpiewak *Wiesława* poezję mieści w sercu, natchnienie uważa za jéj duszę, jak formę za ciało: — Mickiewicz tych samych zasad się trzyma.

Zbiór pism swoich zamyka Brodziński wzniosłym hymnem do Boga, namaszczonej prawdziwą wiarą i pokorą chrześcijańską.

W prelekcyi swojej, mówiąc obszernie o znakomitym, XVII wieku poecie, *Samuelu* z *Skrzypnej Twardowskim*, wy-

kazując jego wady i zalety, jakby w widzeniu proroczym, wyrzekł te pamiętne słowa:

„Przeczuwam, iż doczekamy się poety, który pojawiwszy Twardowskiego, tam gdzie wspaniałość, obyczaje i czyny rycerskie z historyczną prawdą opisuje, będzie umiał z tych bogatych materyałów korzystać, że zachowa wiele bogactw języka, które tylko Twardowski umiał mu nadać.“

I doczekał się ziszczenia swojej wróżby, bo *Pan Tadeusz* wyszedł z pod prassy, gdy śpiewak *Wiesława* już zstępował na spoczynek do skromnej mogiły na cmentarzu w Dreźnie, ale nie poznał *Mohorta*, który więcej się zbliżył do Twardowskiego.

Byłaż więc oryginalna, narodowa poezja przed pojawieniem się Mickiewicza? Tak zaprawdę! I. Bogdan Zaleski słusznie wyrzekł to poważne zdanie: „że do 1830 roku, jedynym prawdziwym wieszczem narodowym był Kazimierz Brodziński;“ a J. I. Kraszewski zajmując się wydaniem pism jego wszystkich, jak pięknie wyraża o śpiewaku *Wiesława*: „Jako człowiek i jako pisarz zarówno, jest jedną z najsympatyczniejszych postaci nie tak dawnej przeszłości. Cześć innym; Brodzińskiemu z czcią miłość się należy, bo on tém uczuciem tchnął dla ludzkości, dla kraju, dla ludu, dla języka swojego. Spokojny i poważny cień jego, unosi się nad pierwszymi latami nowej epoki literatury, jak anioł zwiastowania.“

Nikt też Brodzińskiemu nie może odbierać prawa zasługi, że rzeczywistym jest reprezentantem ostatniej epoki naszej literatury, wraz z Mickiewiczem. On przygotował wszystko na téj niwie duchowej, ażeby do razu został pojęty i zrozumiany od ogółu twórcy *Dziadów*.

Równocześnie Brodziński wraz z poezjami swymi ogłasza drukiem przekład romansu Goetego: „*Cierpienia młodego Wertera*.“ Nie dziw, że po nich *Gustaw* obudził taki zapal w młodych umysłach!

Wraz z poezjami Brodzińskiego, a przed wydaniem w dwóch tomikach pierwszych utworów Mickiewicza, w Warszawie 1822 roku, wychodzi nakładem jednego z największych wówczas przedsiębiorczych księgarzy Natana Glücksberga,

poemat Walter-Skotta: „*Pani jeziora*,” w przekładzie z oryginału angielskiego *Karola z Kalinówki* (1).

Mistrzowskie to tłumaczenie w części wierszem, w części prozą dokonane, należy do arcydzieł w tym właśnie okresie. Przekład tak cudny, wywołał podziw i uwielbienie ogólne; całe wydanie wprędce rozchwytano. Wyprzedziło ono *Precyozę* J. D. Minasowicza, i w zachwyt porwało młode umysły. Dość nam tu będzie przytoczyć początek pierwszej pieśni:

„Arfo północna! długo wisząca w kurzawie
Na jaworze, co zdroje Filanu ocienia,
Tknięta wiatrem przelotnym brzmiałaś w cichej wrzawie,
Aż póki bluszcz twój zazdroścący pienia,
Nie ujął każdej struny do więzów milczenia.
Arfo! Minstrelów arfo! do którejże chwili
Spać będziesz w szumie liści, w mruczeniu strumienia;
Nigdyż się głos twój dawnym pieniem nie umili,
Ni meżów rozraduje, ni dziewic rozkwili?”

Nie tak za Kaledońskich dawnych dni bywało,
Kiedy głos twój biesiadam rycerskim przewodził;

(1) Pseudonim ten przybrał Jan Karol Sienkiewicz bibliograf, historyk i poeta, od miejsca swego urodzenia wioski *Kalinówka*, w Kijowskiem, powiecie Taraszczańskim. Przyszedł na świat w roku 1792, początkowe nauki pobierał w Humaniu i Winnicy, wyższe zaś kursa kończył w liceum Krzemienieckim. Po odbyciu przez lat kilka podróży po zachodniej Europie, bawiąc najdłużej w Anglii i Szkocyi, zapoznał się bliżej tak z tymi krajami jak językiem, i *Pani Jeziora* jest pierwszym tego owocem; powrócił do Warszawy, a następnie był bibliotekarzem w Puławach, kierował miejscową drukarnią, w której oprócz *Dum podolskich* Tymona Zaborowskiego, wiele szacownych dzieł drukował. Pomiedzy temi wspomnieć musimy o piątym tomie zbioru pamiątek J. U. Niemcewicza, i przedruku nadzwyczaj rzadkiego dzieła Dębołęzkiego o *Lisowczykach*. W następnym roku osiadł w Paryżu, i tu wyłącznie oddał się pracom historycznym i bibliograficznym. Pisma treści historycznej i politycznej już po jego śmierci wydano 1862 r. w jednym tomie, umarł bowiem dnia 7 lutego 1860 roku w Paryżu. Na polu literackim wystąpił jeszcze w roku 1816, i do końca życia wierny swemu zawodowi został. Przekłady jego wierszem, szczególnież niektórych pieśni, są małemi arcydziełami w swoim rodzaju tak co do języka jak i formy poetycznej; są też i jego utwory oryginalne. Mąż to wysokiej nauki, znakomity pisarz, — niezmqdowany badacz historyczny, dziś niesłusznie zapomniany, chociaż we właściwym okresie imię jego zajaśniać musi.

Gdy miłością nieszczęsną, lub zdobytą chwałą
Obudzał bojaźliwych lub dumę łagodził.
Za każdą chętną ciszą z wrzawą się rozchodził
Śpiew górny, harmonijną pałający zgodą:
On piękności upiekniął, bohaterów rodził.
Bo zawsze, zawsze lubił pieścić się nagrodą
Rycerzów pierwszych bojem, lub dziewic urodą!

O! obudź się raz jeszcze! lubo czuję trwogę
Puszczając drżącą rękę w ten labirynt brzmienia;
Obudź mi się raz jeszcze! lubo ledwie mogę
Słabe przypomnieć echo twego dawniej pienia,
Lubo głos mój niegodny twojego imienia.
Ni długiem życiem* jego dumy mojej pieścić;
Lecz gdy choć w jednym sercu świętsze zbudzi drżenia,
Już nie daremnie trączę struny twoje wieszczce,
Więc mi się obudź! obudź; czarodziejko jeszcze!”

Pierwszy to raz i ostatni przed rokiem 1830, tak wierny i artystyczny otrzymaliśmy przekład podług oryginału szkockiego poety i powieścio-pisarza, późniejsze bowiem tłumaczenia wykonywano z francuzkich przekładów (1). Tłumaczenie Sienkiewicza poprzedziło okres Mickiewiczowski i w większej części prozą dokonane było. Dla sprawdzenia słów naszych podamy tu początek téjże pieśni w przekładzie A. E. Odyńca:

Arfo północna! Długo w mroku zapomnienia
Nad źródłem San-Fillanu zwieszona z gałęzi,
Wiatr chyba z gór rodzinnych zbudzi twoje brzmienia,
Nim bluszcz zawistny pnąc się po strun twych nawiezi
Ujmie każdą i w pętach milczenia uwiezi!
Arfo bardów! czyż głos twój nie zasłynie szerzej,
Jak cichy szelest liści, albo szmer strumienia?
Nigdyż mistrz biegłą dłonią strun twych nie uderzy,
Budząc westchnienia dziewic i uśmiech rycerzy?

Nie tak było za dawnych czasów Kaledonu,
Gdy minstrel z torbą w ręku na ucztach przewodził:
Gdy nucąc bój lub miłość rycerskiemu gronu
Ośmielał bojaźliwych i dumnych łagodzik.

(1) W lat szesnaście później, poemat ten Walter Skotta, A. E. Odyńiec przełożył cały wierszem i wydał w Lipsku (u Breitkopfa i Haertela) 1838. Stanowi on tom pierwszy jego tłumaczeń, Sienkiewicz w swoim przekładzie utrzymał tytuł jaki poematowi sam autor nadał: *Pani Jeziora* (*Lady of the Lake*): Odyńiec zmienił go na *Dziewicę Jeziora* idąc w tém jak

Za każdą przerwą pieśni grzmiotem się rozchodził
Zmieszany z strun twych brzmieniem głośny poklask gości;
Wszystkie ich czucia tchnęły echem twego tonu,
Bo treścią każdej pieśni był smutek miłości,
Wielkie dzieła rycerzy, lub chwała piękności!

O! obudź się raz jeszcze! Lubo dłoń nie wprawna,
Którą cię z grobu mistrzów ima wieszcz zuchwały,
Obudź się! choć w niej może trwa potęga dawna,
Ozwie się ledwo echem swojej dawniej chwały!
Niech jedną pierś rycerskie przenikną zapaly,
Jedno serce poczuje wieszczych natchnień dreszcze,
Przed jednym okiem z grobu wstanie przeszłość sławna;
Nie daremnie już będą brzmieć twe struny wieszczce.
Sam tu więc czarodziejko! obudź się raz jeszcze!"

Jak w poezji zwolna i nieznacznie przeobrażały się pojęcia starzej szkoły, toż samo widzimy i w rozwoju pobratymczej jej gałęzi powieściowej. Chciwi tej strawy duchowej, tak przyjemnej dla tych od których nauka była daleką zaspakajali głód swój w pierwszej połowie naszego stulecia, tuzinkowemi tłumaczeniami utworów powieściowych, oczywiście chwytnych z Francji. Kraków głównie dostarczał tego rodzaju wyroby. *Floryan, Fani de Genlis, Pani Cottin* rozkwilały nasze niewiasty i niedorostków. Ale i w tej atmosferze pasterzy i pasterek, czułości i egzaltacji sfer wyższych, nagły przewrót nastąpił. I tu położył zasługę Bruno hr. Kiciński. Na pięć lat przed wydaniem poezji Brodzińskiego, bo w roku 1817, ogłosił przekład z niemieckiego powieści p. n.: *Rinaldo Rinaldini sławny bandyta włoski* w trzech tomikach. Niesłychanego powodzenia doznał ten utwór, pełen świeżości i życia dramatycznego, jak na owe czasy.

Dziś wspomnienie *Rinaldiniego*, litośny lub szyderczy uśmiech wywołuje; a jednakże w ową dobę, żadna książka z taką chciwością nie była rozchwytywana, jak ta powieść. Kilka wydań wprędce wyczerpano z handlu księgarskiego.

wyraża, za przykładem tłumaczy niemieckich i za późniejszym zdaniem samegoż Waltera Skotta, który go za właściwszy osądził. O wyższości przekładu A. E. Odyńca nad Karola z Kalinówki sprzeczki być niemoże, ale zważmy, iż pomimo wyższości A. E. Odyńca, przyznać bezstronnie musimy, że Sienkiewicz, dał na owe czasy najwyborniejsze tłumaczenie Waltera Skotta, i dał ogółowi wyobrażenie o wartości jego utworów.

I cóż jej dało tę popularność i tak ogromne powodzenie? Łatwo zrozumieć, że społeczność nasza przesycona ekliwemi bohaterkami i bohaterami, chciwie chwytała postaci wyraziste, jak obrazy dramatyczne, które się przewijały na tle uroczej Italii w pełnym ruchu i życiu bandytów włoskich.

Rinaldo, rozbójnik, wygnał precz rozczulonych pasterzy z umysłu młodego pokolenia, lubo nie zdołał wypłenić chorobliwego wyobrażenia miłości, tak dalekiego od prawdziwego uczucia i prawdy. Pokazał jednakże nowy kierunek w tego rodzaju utworach, w których dramat życiowy grał w całej pełni: był on zapowiedzią i poprzednikiem arcydzieł powieściowych Waltera-Scota, które się przejawiać po *Samotniku d'Arlinecourt'a* zaczęły. Zobaczmy dalej jaki one wpływ przeważny wywarły na nasze oryginalne powieście-pisarstwo.

IV.

Kiedy Brodziński wydrukował swoją rozprawę o *klasycyzmie i romantyzmie*, zwróciliśmy uwagę że praca ta, lubo chętnie czytana, nie zrobiła należytego wrażenia, ani wywarła przeważnego wpływu na umysły inteligencji. Cóż było tego powodem?

Oto wystąpienie olbrzymiej powagi naukowej Jana Śniadeckiego, który przedmiot ten, obcy dla siebie, pochwycił skwapliwie i z wysokości na jakiej stał zasłużenie, rzucił pioruny na *romantyzm*!

Zaledwie ukazała się Brodzińskiego rozprawa 1818 r., Śniadecki pochwycił pióro, i w tymże roku w samą wigilię *Bożego narodzenia*, mając czasu więcej wolnego swoją *replikę* ukończył, biorąc do niej to godło z *Horacyusza*:

„Wezmę na siebie własność oselki, która zaostrza do krajania żelazo, chociaż sama krajać niezdolna.”

Ciekawa ta praca znakomitego męża, zasługuje na bliższe poznanie, ona bowiem dała treść do sławnego wiersza Mickiewicza: „*Romantyzm*” oraz do kilku rozpraw Maurycego Mochnackiego, które cień rzuciły na naszą pamięć Śniadeckiego.

Owoż jój początek.

„W roku bieżącym (1818) w pięciu numerach Pamiętnika Warszawskiego od marca aż do lipca, znakomity w języku naszym pisarz Kazimierz Brodziński uczenie i przyjemnie, opisał własność pism klasycznych i romantycznych. Są tam zbawienne rady i rozsądne przestrogi dla poezji polskiej. Przyszły mi w czytaniu tego pisma niektóre myśli, które posłużą może do wyraźniejszego widoku rad podanych od autora, a silniej powściągną młodzież naszą od polubienia i naśladowania przywar sąsiednich.

„Że romantyczność jest oddzielnym i niby nowym rodzajem poezji, że się zajmuje i ożywia żalosnym wspomnieniem i tęsknotą do rzeczy przeszłych, albo wznowieniem zdarzeń, jakie bawiły ludzi w wiekach rycerskich, wcale to do mojej uwagi nie wchodzi. Uważam ją z jój niezaprzeczoną znamieniem i pod względem jedynie literatury i oświecenia prawdziwie szkodliwym: to jest, jako niesłuchającą prawideł sztuki, i w swobodnym bujaniu *imaginacji* szukającą zalet, i jakby nowych dróg bawienia i nauczania. Dlatego piękności greckie i rzymskie, jakoby foremne i postrzyżone ogrody, nie tak przypadają do jój smaku, jak bujne stepy i zarośle azyatyizmu: kocha się radziej w dzikiej, jak przyozdabianej sztuką naturze. W mojem więc rozumieniu, to wszystko jest *Klasycznym*, co jest godne z prawidłami poezji, jakie dla Francuzów *Boileau* (1), dla Polaków *Dmochowski* a dla wszystkich wypolerowanych narodów, przepisał *Horacy*: *romantycznym* zaś to co przeciwko tym prawidłom grzeszy i wykracza.”

(1) Pomylił się tu Śniadecki, albowiem *Boileau Despro*, był stawiony i dla nas jako główny nauczyciel. Tłumacz *Iliady*, Franciszek *Dmochowski*, w pierwszym wydaniu *Sztuki rymotwórczej* poematu w czterech pieśniach (Warszawa 1788 roku) który przypisał Stanisławowi Augustowi, we wstępie pisze: — „Co język łaciński między pierwszemi ozdobami swymi kładzie, co francuzi u siebie za cudo literatury poczytują, to ja teraz samo polskiemu językowi przywłaszczam.

„Między mnóstwem autorów którzy o sztuce rymotwórczej pisali, ci największą mają sławę: *Arystoteles*, *Horacy*, *Wida*, *Boalo Despro*, i *Pop* angielski poeta. *Arystoteles* filozof idzie porządnie; stanowi powszechne prawidła, a wniosków i stosunków z nich czynienie, każdemu rozmowi zostawia.

Horacy, człowiek wielkiego dowcipu, umyślnie zdaje się nieporządek udawać, a jako poeta, mówi do poetów. *Wida*, pisze podług prawideł sztuki

Owoż mamy krótko a węzłowato rozwiązane pytanie, co do klasyczności i romantyczności, i to ma być określenie które miało dać „wyraźniejszy widok” rozprawy *Brodzińskiego*.

Daléj uczony matematyk przechodzi na pole literatury dramatycznej.

„Romantyczność — pisze — nie lubi podziału sztuk teatralnych na akty, sceny i znosi je. Jestto prawda nowością ale bez żadnej zalety; bo zapewne mularza zacierającego dawne po murach napisy, nikt wynalazcą nie nazwie.

„Wzorem romantyków stał dziś *Szekspir*. Żył on w drugiej połowie XVI wieku, kiedy *Jan* i *Piotr Kochanowscy*, *Szymon Szymonowicz* postavili poezję naszą w wielkiej świetności.

„Niemasz w dziełach *Szekspera* żadnej prawdziwej tragedji, bo we wszystkich prawie wesołość, a często gruba i nieprzystojna żartobliwość, męsza się do rzeczy tkliwych i okropnych. Są to, jak dziś nazywają, *dramy*; rodzaj zły i zamiarom sceny przeciwny; gdzie jedno czucie osłabia

ki o sztuce, ale zdaje się bardziej *Wirgiliusza* niż natury trzymać. *Boalo Despro*, jest nauczycielem, który chce razem dać naukę i przykład uczniowi swemu. *Pop*, myśli oryginalnie, unosi się wysoko, ale nieporządkiem swych wyobrażeń, dużo czytelnika zatrudnia. Moje dzieło nie jest samem tłumaczeniem, ani téż sobie oryginalności nie przyznaję. Zagrzany czytaniem dzieł o sztuce rymotwórczej, osobliwie *Horacego* i *Despra*, chciałem podobnym język ojczysty zbogacić. Z obudwóch czerpałem myśli: do drugiego układu szczególniej się przywiązałem. Żem wiele winien, dwom tym wielkim nauczycielom, chętnie wyznaję: ale się téż i moich myśli nie zapieram.” Sztuka rymotwórcza *Dmochowskiego*, była książką elementarną: z niej uczono po szkołach, i młodzież z niej nabierała wyobrażenia o literaturze a zarazem o przepisach w sztuce pisania; *Boalo* przeto tak przebrany przez *Dmochowskiego* po polsku, był i naszym nauczycielem, gdyż w Sztuce rymotwórczej, jeżeli jest odrobina z *Horacego*, to całe garście z francuzkiego poety.

Książd *Jan Gorczyzewski* przekładał *Satyry* i listy *Boala*. Dziełko to (jak sam tłumacz wyraża) Dyrekcyja edukacyi naukowej polecila do zbioru książek szkolnych po kraju. Kiedy pierwsze wydanie rozkupiono, *Gorczyzewski* w tymże samym roku 1818, kiedy swą rozprawę pisał *Śniadecki*, wydał w Warszawie drugie wydanie swoich przekładów w dwóch tomach p. n. *Satyry Boala Despro*, z przystosowaniem, ich do rzeczy polskich, i w powtórnym wydaniu poprawione, tudzież dwanaście listów tegoż autora kilka innych innéj ręki wierszem polskim przełożone!. I to wydanie wprędce wyczerpaném zostało z obiegu księgarskiego. Że przekłady te nie były bez przeważnego wpływu na naszą intelligencyą owoczesną, przekonujemy się ze słów „Tłumacza do czytelnika” na czele tego dzieła pomieszczonych.

i zaciera drugie: żadne wrażenie ostać się długo niemoże i zdaje się że autor, co jedną ręką napisał, to drugą maże."

Po takiej ocenie Szekspira, Śniadecki przypomina pisarzom dramatycznym trzy zasadnicze jedności: *rzeczy, czasu i miejsca* i stawia za wzór po Grekach i Rzymianach, *Rasyna* i *Moliera*.

Musimy przywieść tu zakończenie téj rozprawy, gdyż na nią w pierwszym zaraz tomiku swoich poezyi odpowiada Mickiewicz:

„Romantyczność, radzi porzucić wszystkie prawidła sztuki, żeby nabyć znaczenia w niepodległości; my postanówmy sobie unikać bezprawia i rozwiozłości, bo te prowadzą nie do znaczenia, ale do nierządu i barbarzyństwa!

„Romantyczność mówi: durzmy ludzi, pokazujmy im *duby*, znieśmy prawa nauki i rozsądku, żeby nie było prawidła do sądzenia nas! My szanujmy od dwóch tysięcy lat przepisane prawo, które potwierdziła prawda i doświadczenie; bądźmy im posłuszni, bo one wydały tak wielkich ludzi jakich jeszcze nie urodziła i podobno nigdy nie urodzi romantyczność.

Romantyczność jeszcze odrzuca doświadczenie, burzy imaginację przeciwko rozumowi, i zapala jak wojnę domową między władzami człowieka. Nie słuchajmy tych poduszczeń spiskowych, bo najpiękniejsze twory ludzkiego umysłu, są to dzieci pokoju, zgody i harmonii między wszystkiemi siłami duszy, które się nawzajem w ich wydaniu łączą i posiłkują."

Cała rozprawa Śniadeckiego wymierzona była przeciwko Niemcom, bo u nas, słaby nawet i jedyny tylko odzew o romantyczności Brodzińskiego, zgnieciony i przygłuszony został okrzykiem rozgłośnym trwogi Śniadeckiego, który w niej wołał wielkim głosem:

„Uciekajmy od Romantyczności, jako od szkoły zdrady i zarazy." (1).

Głos ten poważny uczonego i zasłużonego dobrze męża silnie oddział na umysły naszej intelligencji. Nikt pisać przeciw niemu nieśmiało ani słówka: klassycy przyklasnęli radośnie, i dumnie podnieśli głowy: romantyczność jak

(1) Pisma rozmaite Jana Śniadeckiego. Tom IV. „O pismach klassycznych i romantycznych." str. 34.

drobna gwiazdka, zaledwie przeblyskująca na pochmurném niebie znikła bez śladu z horyzontu literackiego.

Któżby się spodziewał, że w tym samym starym grodzie i w tym samym roku, kiedy drukiem ogłaszał Jan Śniadecki, brzemioną piorunami rozprawę swoją przeciw romantyczności, pojawi się pierwszy jój apostoł, który gardząc gromami klątwy rzuconemi z wysoka, jednym wierszykiem zachwieje wszystkiemi jego rozumowaniami i w proch je rozprószy!

V.

Jak rok 1818 stanowił już ważny przełom w dziejach literatury naszej, tak teraz rok 1822 daje nam nowy okres.

W tymto bowiem roku ukazały się w pierwotném wydaniu dwa pierwsze tomiki *poezyi Adama Mickiewicza*.

Trudno opisać wrażenia, jakie to zjawisko wywołało w młodém pokoleniu. Wszystkie egzemplarze jakie się ukazały rozchwymano w okamgnieniu. Księgarnia Zawadzkiego i Węckiego w Warszawie, nastarczyć ich nie mogła, całe wydanie wyczerpaném zostało, i dziś ta edycja do *białych kruków* bibliograficznych należy.

Tomik pierwszy obejmował: *Ballady i Romanse*, kilka drobniejszych wierszy i jeden *Sonet*; tomik drugi: *Grażynę*, *Upiór* i *Dziady*, część drugą i czwartą.

Co tylko pisać umiało, co kleiło wierszyki, wszystko rzuciło się do bazgrania ballad i romansów. Przewrót w pojęciach poezyi z szybkością błyskawicy nastąpił, a hasłem wszystkich był wiersz Mickiewicza: „*Romantyczność*“ w pierwszym tomiku umieszczony. Głównie był on wymierzony przeciw rozprawie Jana Śniadeckiego. Zbyt przeważne wywołał on następstwa, i dlatego w całości go tu powtarzamy. Godło na nim położył Mickiewicz z *Szekspira*, tak lekko cennego przez Śniadeckiego:

ROMANTYCZNOŚĆ.

„Zdaje mi się że widzę... gdzie?
Przed oczyma duszy mojej."

Słuchaj dziewczeczko!
—Ona nie słucha—

To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie niema żywego ducha.
Co tam wkoło siebie chwytaś?
Kogo wołasz, z kim się witasz?
Ona nie słucha.

To jak martwa opoka,
Nie zwróci w stronę oka:
To strzela wkoło oczyma,
To się łzami zaleje;
Coś niba chwyta, coś niby trzyma:
Rozpłacze się i zaśmieje.

„Tyżeś to w nocy? to ty Jasieńku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku:
Czasem usłyszysz macocha!
Niech sobie słyszy, już niema ciebie!
Już po twoim pogrzebie.
Ty już umarłeś? Ach ja się boję!
Czego się boję, mego Jasieńka?
Ach! to on! lica twoje, oczki twoje!
Twoja biała sukienka!

I sam ty biały jak chusta,
Zimny, jakie zimne dłonie;
Tutaj połóż, tu na łonie,
Przyciśnij mi do ust usta!
Ach! jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!

Weź mnie, ja umrę przy tobie,
Nie lubię świata.
Źle mi w złych ludzi tłumie,
Płaczę, a oni szydzą:
Mówię, nikt nie rozumie,
Widzę, oni nie widzą!

Śród dnia przyjdź kiedy? To może we śnie?
Nie, nie... trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie mój Jasieńku?
Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!
Mój Boże! kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.
Gdzie znikłeś? ach! stój Jasieńku!
Ja nieszczęśliwa!“

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści:
Bieży za nim, krzyczy, pada.

Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludu gromada.

„Mówcie pacierze! krzyczy prostota,
„Tu jego dusza być musi;
„Jasio być musi, przy swój Karusi,
„On ją kochał za żywota!“

I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płaczę, i mówię pacierze.
„Słuchaj dziewczeczko! krzyknie wśród zgiełku
Starzec, i na lud zawoła:
„Ufajcie memu oku i szkiełku,
„Nic tu nie widzę dokoła.

„*Duchy karczemnej tworem gawiedzi,*
„*W głupstwa wywarzone kuzni,*
„*Dziewczyna duby smalone bredzi,*
„*A gmin rozumowi bluźni.*“

Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie,
A gawieź wierzy głęboko,
Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.
Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskerce,
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce, i patrzaj w serce.

Wiersze kursywą drukowane, są złożone z samych wyrazów i wyrażeń, jakich użył Śniadecki uderzając oburącz na romantyczność.

Wiersz ten wywołał stanowczy rozbrat z klasycyzmem starą: hasłem głów młodych była ostatnia w nim zwrotka; stała się ona odtąd jedynym kodeksem literackim.

W *przedmowie* Mickiewicz określił jasno klasycyzm i romantyczność, objaśnił ich nazwy, a zarazem ballad i romansów, które się poraz pierwszy pojawiają w naszej poezji.

Z ballad, do razu stały się najpopularniejszymi: *Powrót Taty* i *Pani Twardowska*, wszyscy umieli je na pamięć. Naśladowców éma powstała, pomiędzy tymi *Stefan Witwicki*, późniejszy znakomity poeta i powieściopisarz, odznaczył się tutaj. Wydał on bowiem dwa tomy *Ballad i Romansów* (Warszawa, 1824 roku), ale gdy ochłonął z pierwszego za-
pału, i poznał niedorzeczność swoją, a zarazem niezdarność

tych utworów, z równą skwapliwością jak je drukował, tak nie długo wykupywał, i całe wydanie zniszczył.

Jeżeli historyczna powieść *Grażyna*, uderzała każdego, to *Dziady* zachwyciły i porwały w niebiosa dusze młode, zarówno męskie jak dziewczęce! Ileż łez nie wycisnął Gustaw! Nie przesadzimy, gdy powiemy, że twórca *Dziadów* mógł mieć nie jedną kąpiel z tych strumieni sercowych. A grunt już dobrze był sprawiony po temu, przez *Cierpienia młodego Wertera*, Goetego.

Gdziekolwiek się zwrócił, zarzucano cię pytaniami: czytałeś Mickiewicza? A *Dziady*? W każdym domu kiedy brakło drukowanych egzemplarzy, przepisywane skwapliwie, obiegły z rąk do rąk, wszędy roznosząc zachwyt i wydobywały potoki łez rzewnych.

Scena dramatyczna nocna w kaplicy, której przewodzi *Guślarz*, ma na czele godło także z Szekspira:

„Są dziwy w niebie i na ziemi, o których się ani śniło naszym filozofom.“

Część *czwartą* *Dziadów*, w której odegrywa się dramat pomiędzy *Gustawem* a księdzem i jego rodziną, uczono się na pamięć, powtarzano całe ustępy, słowem, Mickiewicz opanował wszystkie umysły młode, nawet poważniejsze, ale mające więcej życia.

Kiedy przypomnę sobie owe chwile i pierwsze wrażenia otrzymane z poezji Mickiewicza, dusza młodnieje, i jakby w orle skrzydła uzbrojona, podrywa się z kału ziemskiego ulatując w eteryczne sfery, napawając oczy swoje widokiem rajskiej krainy, a pierś oddycha całą pełnią swobody, karmi się balsamiczną wonią najcudniejszych kwiatów, i pierwszy raz poczuwa: co to jest życie ducha w niebiesiech!

VI.

Piszemy, jak mówiliśmy wyżej, tylko kronikzkę literacką, z owych czasów, kiedy romantyczność, jak róża z pączka zaczęła się rozwijać, i wiernie zdajemy sprawę z ruchu i stanu duchowej strony społeczności naszej, ograniczając się jedynie co do Warszawy.

Był wtedy salon literacki Wincentego hr. Krasińskiego, ojca *Zygmunta*, w którym bywali: *Kajetan Koźmian*, *Ludwik Osiński*, *Franciszek Morawski*, pierwsze powagi klassycznosci, bywał i młodszy *F. S. Dmochowski*, i młodszy jeszcze: *Konstanty Gaszyński* i *Dominik Magnuszewski*, dwaj ostatni od serca przyjaciele *Zygmunta*; bywał zarazem i *A. E. Odyniec*, zapalony romantyk, a przyjaciel *Mickiewicza*.

Ci to jedynie, mogliby nam podać szczegóły ciekawe o tych zebraniach literackich, ale wszyscy już spoczęli w mogiłach, tylko jeden *Odyniec* żyje. My w nich nie mając żadnego udziału, spisujemy tylko kronikzkę naszego miasta, w którym właśnie przerabiał się wyobrażenia nowe literackie, i te miały główne znaczenie, bo wkrótce wzięły przewagę.

Rzadko z salonu hr. Krasińskiego dochodziły nas wieści, bo klassycy, kastę oddzielną stanowiąc, z paryasami literackimi wcale się nie wdawali, a za takich mieli młodzież chudoby i zwolenników romantyzmu.

Zjadłszy smaczny obiad, i pokosztowawszy win starych pobudzających humor, dowcipkowali pomiędzy sobą pocziwcę, żartowali i kpili tak z *Mickiewicza* jak jego zwolenników. Żadnemu nawet we śnie nie mogła przyjść ta myśl grzeszna, ażeby kiedykolwiek powaga *Arystotelesa*, *Horacego* i *Boala*, nie tylko upadła, ale chociażby chwilowo wzruszoną została.

A klassycy mieli dowcip swój właściwy, i ten dowcip jest typowym rysem każdego z nich. Jeden go miał mniej, drugi więcej; inni wysilali mózg swój, ażeby tylko, jeżeli nie dowcipem to dowcipkiem zabłysnąć. W ogóle można każdego klassyka scharakteryzować, że to były płytkie umysły, które żadnej nietylko literackiej kwestyi najżywotniejszej, poważnie rozbierać, ani się nad nią zastanawiać nie umiały. Najgorętszą rozprawę zaledwie rozpoczętą, gdy nieprzypadła któremu do myśli, zamykał jakimś wierszykiem, żarcikiem, lub dowcipkiem. Tymczasem młodsze pokolenie dojrzewając więcej, nie mogło pojąć tej lekkomyślności w ludziach starszych wiekiem i używających znaczenia, powagi i rozgłosu w całej społeczności. Ten płytki sąd, powierzchowne ślizganie się po przedmiocie do rozwagi danym, musiały się odbić i w ich utworach i pracach literackich; ztąd też nie dzi-

wota, że znalazł się krytyk z ich grona, który uznał: *Świątynie Wenerę w Knidos*, słabą przeróbkę prozy francuskiej na wiersz polski, za arcydzieło literatury, a raczej poezji naszej!

Od młodych uczestników obiadów u hr. Krasieńskiego, a głównie od Gaszyńskiego i Magnuszewskiego, wiemy, jak żywe były na nich rozprawy literackie: jakie wrażenie, jakby w ul dmuchnął, wywołały te dwa tomiki Mickiewicza. Szczegóły zajmujące tych zebrań dobrze pamięta A. E. Odyńca, powinien też wziąć do serca, ażeby nie zagięły w pamięci, jako drogocenny materiał do dziejów literatury naszej. Wtedy bowiem, zaczęliśmy witać *poczęcie* literatury samodzielnej, oryginalnej, która w następnych latach rozwinęła się we wszystkich gałęziach swoich, zrzucając starą pleśń troskliwie przez klasyków szanowaną, jak przez wytrawnych smakoszy pleśń piwniczną na butelce długoletniego węgryna. Ci się rozkoszowali złocistym węgrynem, który jaśniał trzema przymiotami, i tymi się odróżniał: *colorem, odorem et saporem*, a klasycy w utworach dramatycznych rozkoszowali się trzema *jednościami działania*, czyli jak wyrażali: *akcy, czasu i miejsca!*

Zamęt w wyobrazeniach w tej chwili był wielki: ani *romantycy* jasno ostatniego swego słowa nie wypowiedzieli, ani *klasycy* ich pojąć nie mogli czego pragną. Ale ci ostatni zaczęli coś złego przeczuwać, i przejęła ich trwoga. Nic lepiej nie maluje tego stanu klasyków naszych, jak ta ballada A. E. Odyńca p. n.:

ROMANTYCZNOŚĆ.

„Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą:
Czy to pies?
Czy to bies?

Rzecz jeden do drugiego,
Czy ty widzisz psa czarnego?
Żaden nic nie odpowiedział,
Żaden bowiem nic nie wiedział,
Czy to pies?
Czy to bies?

Lecz obadwa tak się zlekli,
Że weszli w rów i przyklekli,

Drżą, potnieją, włos się jeży,
A pies bieży... a pies bieży...
Bieży, bieży, już ich mija,
Podniósł ogon i wywija:
Czy to pies?
Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej,
Oni wstali i patrzali:
Czy to pies?
Czy to bies?

Wtém, o dziwy! w oddaleniu,
Na zakręcie znikł im w cieniu:
Czy to pies?
Czy to bies?

Długo stali i myśleli,
Lecz się nic nie dowiedzieli,
Czy to pies?
Czy to bies?“

Po długiej rozwadze i odzyskaniu zimnej krwi uznali jednoznacznie: że to *bies*, a nie *pies*, i postanowili obronę przeciw złemu duchowi.

VII.

Ażeby nadać naszej opowieści ciąg nie przerwany, już chronologicznego porządku trzymać się nie będziemy, ale obejmiemy ciąg lat ośmiu, to jest od 1822 do 1830, w nim bowiem *romantyczność* wzięła przewagę stanowczą nad *klasycznością*, która z upadku swego, nie mogąc się podnieść, skończyła jak starzec bez sił żywotnych, bez nadziei zmartwychwstania, przechodząc we wspomnienie jedynie!

Zwrot ten już widoczny od 1818 r. powoli się rozwijał, jak każdorocznie wiosna, po mrozach i wichurze marcowej, a chociaż słonko przygrzewało, śniegi roztajały, i matka ziemia zdaje się nowym życiem oddychać z pod lodowego pancerza, nie dorazu się rozmai i plonem okryje.

Nie daremnie też i Mickiewicz na czele pierwszego wydania swych poezyj pomieścił rozmowę swoją z *pierwioskiem* (*primula veris*).

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek,
Błysnął ze złotych obłonek.

— „Zawczasie kwiatku, zawczasie,
Jeszcze północ mrozem dmucha;
Z gór białe nie zeszyły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światka,
Ukryj się pod matki rąbek;
Nim cię zgubi szronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perełka.

KWIATEK.

Dni nasze jak dni motylka,
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.

Poezye Mickiewicza były prawdziwym *pierwiosnikiem* na wiosennym niebie 1822 roku, a chociaż *dmuchał* na nie mróz klasycyzmu, kwiatek zakwitł i rozbijał, bo *dąbrowa* była sucha i dobrze sprawiona przez śpiewaka Wiesława.

Nie pamiętamy dobrze czy wcześniej przed wydaniem tych dwóch tomików poezji Mickiewicza, czy równocześnie wyszedł z pod prassy wiersz jego: „*Do Joachima Lelewela z okoliczności rozpoczęcia kursu historii powszechnej w Uniwersytecie Wileńskim, dnia 6 stycznia 1822 roku* (Wilno w drukarni A. Marcinowskiego 1822 w 8ce, kart VI bez liczbowania). Klasycy przyjęli ten utwór przychylnie, bo najprzód zalecało go godło z Horacjusza po łacinie w nagłówku pomieszczone, a do tego był on bezimiennym. Wkrótce też w głowę zachodzili, że mógł jego autor (gdy się o nim dowiedzieli) takie *smalone duby* pisać jak ballady, romanse i owe *Dziady* bez sensu i składu!

W cztery lata w Moskwie wydrukował Mickiewicz swoje *Sonety* (Moskwa w drukarni Uniwersytetu, nakładem autora, roku 1826, w 4ce). Na czele jest umieszczony z *Sonetów Krymskich* piąty „*Widok Czatyrdachu ze stepów Kozłowa*”. który przełożył na wiersz perski Muza *Diafar Topczy-Ba-szy*, professor adjunkt w Uniwersytecie St. Petersburgskim,

tłumacz w Kollegium Azyatyckim, w podobiznie litografowanej.

We dwa lata ukazał się *Konrad Walenrod*, wydany w Petersburgu z rycinami Wincentego Smokowskiego (w 8ce, roku 1828) a w rok później wyszło nowe wydanie pomnożone zbiorem poezji we dwóch tomach, w Petersburgu (Nakładem autora, drukiem Karola Kraya 1829 r., w 16ce), które objęło oprócz utworów w pierwszej edycji wiersz do J. Lelewela, *Sonety*, Konrada Wallenroda i wiele nowych poezji, a na czele sławną po wszystkie czasy przemowę „*do Czytelnika, o krytykach i recenzentach Warszawskich*” z tym satyrycznym godłem, wziętym z komedji J. U. Niemcewicza: *Powrót pośta:*

„Krzyknęli: nie pozwalam! uciekli na Pragę!”

Teraz nietylko poeci klasycyści zadrżeli ale i całe grono uczonych i literatów zdumiało, nad zuchwałością młodzika, co się porwał, jak wyrażali „z motyką na słońce.” Wkrótce się jednakże przekonali, że to była potężna maczuga, której uderzenie wszystko druzgotało i miażdżyło.

Genialny poeta w tej rozprawie, występując w obronie swoich utworów, pokazał że nie umiał zataić gniewu swojego i rozdrażnienia, jakim był przejęty czytając recenzje ich w organach warszawskich. Dolewały zarzewia niemało listy jakie z tego miasta otrzymywał od swoich przyjaciół, troskliwie zbierających dowcipki i żarciki, wierszopisów klasycznych, pochwycone to na bruku ulicznym, to wyniesione z kółka zebrania literackich, a głównie też z obiadów hr. Kasińskiego.

Było w nich wiele prawdziwych, więcej przetworzonych lub umyślnie wytworzonych przez gorliwych romantyków, którzy nie żalowali i słowa i pióra stanawszy ostro przeciw zwolennikom klasycyzmu. Teraz dopiero nazwy te, rozróżniające dwa przeciwne obozy, stały się też hasłem obu stron bojujących. Romantyzm stanął od razu górą, mając już swego hetmana i to takiego, który jasny miał cel do którego dążył, z tym wewnętrznym przekonaniem i wiarą, że dojść do niego musi, wsparty największą potęgą, bo geniuszem.

Rzecz o „*krytykach i recenzentach warszawskich*” rozpowszechnioną została przez *Gazetę Polską*, organ wówczas niemało wzięty, gdy wszystkie egzemplarze tego wydania poe-

zyj Mickiewicza, jakie się tylko w Warszawie ukazały, skwapliwie wykupiono.

Nie wszystko jest prawdą co w niej napisał wielki poeta, ale pomimo usterków tyle jest tu prawdy, chociaż ostro i z goryczą wypowiedzianej; taka potężna erudycja, nauka i wysoki sąd krytyczny, że przeciwnicy zapomnieli, jak to mówią „języka w gębie.”

Najboleśniej razem zadany przez Mickiewicza w tej rozprawie były ustępy, w których mówiąc o smutnym stanie krytyki prawdziwej jaka od końca XVIII wieku ciągnęła się aż do tej chwili, pisze dalej:

„W takim stanie krytyki, godne uwagi i budujące jest dobre porozumienie sąsiedzkie, w jakim krytycy z sobą i z autorami żyli, uszanowanie z jakim zobopólnie wyroki przyjmowali, i skrupulatność jak ją dosłownie z ust do ust z pióra do pióra przelewali. Zdanie księdza Golańskiego przytacza Franciszek Dmochowski, Franciszka Dmochowskiego przytacza Ludwik Osiński, wszystkich przytacza Stanisław Potocki, wszyscy przytaczają Stanisława Potockiego. Zdania te koncentrują się na chwilę w historii literatury Bentkowskiego, z kądem w różnych przytaczaniach kanałem dzienników, przedmów i mów pochwalnych do swoich źródeł wracają. Utrzymuje się tym sposobem w Warszawie w ciągłym obiegu, pewna liczba zdań, niemających gdzieindziej żadnej wartości; jak na Żmudzi ciągle krążą stare holenderskie talary i orty.

„Tę krytyczną szkołę dotąd istnieją w Warszawie zwolennicy, coraz w przykrzejszym i zabawniejszym względem Europy położeniu. Wszystko się koło nich w literaturze od Gibraltaru do morza Białego zmienilo; oni na poetyce szkolnej, jak na kotwicy stoją nieporuszeni. Słabiejącą odwagę krzepią czytaniem broszurek i kilku dzienników francuzkich, najmniej we Francji czytanych. Można by ich porównać do owych prawodawców naszych, na mocy konstytucyi, której nie rozumieli, obstających za władzą hetmańską i *liberum veto* i mimo przyjętej w ościennych krajach nowej taktyki, sprzeciwiających się zagranicznemu autoramentowi i przekonanych, że oprócz kawalerji narodowej wszystko jest czcym niemieckim wymysłem. Daremnie do nich Krasicki, a my z Krasickim wołamy do tak nazwanych *klassyków*:

„Trzeba się uczyć, upłynął czas złoty!”

„Już krytyka historyczna w dziejach naszych zajaśniała, już w prawoznawstwie metoda historyczna wypędziła dawny dogmatyzm, krytyka literacka jeszcze zupełnie scholastyczną została.”

„Autor *Historji literatury* (F. Bentkowski) nie poważa się dzieł oceniać. — „Miałem — powiada — dla osób zwłaszcza żyjących o wszelkich zapomnieć względach? Przez słuszność i związki *towarzyskiego pożytku* uczynić tego nieśmiałem. Natomiast zdanie obce, zwłaszcza tak przyzwolonych sędziów jakimi są: Ludwik Osiński, Stanisław Potocki, Franciszek Dmochowski, wiernie przytaczam.”

„Wyberzmy losem niektóre. Stanisław Potocki o tłumaczeniu Iliady mówi: Dmochowski przelał *myśli autora* (Homera) z wielką gładkością na język ojczysty. Jeszcze mi się nie trafiło wciąż przeczytać dwie lub trzy pieśni z dawniejszych tłumaczeń bez jakiegóś tęsknoty; przeczytałem Dmochowskiego wciąż i z upodobaniem.” Czytałże kto podobne zdanie w jakiegóś historii literatury? Jestto właśnie jeden ze szczególnych charakterystycznych przymiotów Iliady, że w nich nigdzie autor nie wychodzi na scenę i myśli własnych nie objawia. Możnaż powiedzieć że pieśni tej cudownej epopei, są to *myśli autora* (Homera) o wojnie Trojańskiej. Książdz Baka pisał wierszem: *Uwagi o śmierci niechybnej*. Jego biograf twierdzi żartobliwie, że Milton pisał równie wierszem uwagi nad Rajem utraconym. Nie obrażę tą uwagą szanownych cieniów Stanisława Potockiego. Wielki mówca i zasłużony mąż ojczyźnie nie utraci przez to sławy, że niepotrzebnie się wdawał w retorykę i krytykę. Szanowalibyśmy słabość męża i pokrylibyśmy milczeniem jego uchybienia; ale mógłże professor literatury w Warszawie, Osiński, przytaczać owe zdanie jako nader *ważne* a professor historii powtarzać je jako nader *poważne*!

„Trębecki prawdziwy okazał talent rymotwórczy, łączy bowiem w poezjach swoich śmiałość Pindara z gustem Horacego a słodyczą Safony” (Hist. Lit. Pol. F. Bentkowskiego, str. 306.). Gdyby kto powiedział o kompozytorze muzycznym że jest razem: Mozartem, Rossynim, Humlem i Orfeuszem! albo o malarzu że ma styl Rafaela, Rembrandta, Dawida i Apellesa! O charakterze poezji Safony wiemy

tylko z podania, bo dzieł jég ledwo drobne zostały ułamki. Wyjaśniać zalety Trębeckiego, porównyując charakter jego poezyj do charakteru pieśni Safony, jest to objaśniać przez rzecz dość ciemną. Dodajmy że skodycz nie była szczególnym i głównym przymiotem dzieł Safony; przyznawano jég: *vim*, *gratiam* i na koniec *dulcedinem*. Zdanie o Trębeckim zasługuje na uwagę: trudno jest w mniejszej liczbie wyrazów zawrzeć więcej niedorzeczności!

„Kniaźnin w pieśnio-pisarstwie niepoślednie trzyma miejsce: imaginacya żywa, obrazy dowcipne i bardziej przez swą łachotliwość niż śmiałość wymuszające na czytelniku pewien rodzaj zdziwienia, tudzież drażliwe schlebienie zmyślności, znamionują poezye Kniaźnina.” Nie wymienił Bentkowski, któryto z *przyzwoitych* sędziów ferował tak głęboko pomyślany wyrok! O Józefie Lipińskim słowa Stanisława Potockiego: „Mało wierszy swoich powierzył publiczności, ale to co powierzył, jest tak dobrze *wyrobione*, że małem być przestaje.” Nie znamy dobrze języka matematycznego, ale zdaje się nam, że to co przestaje być małem, przechodzi w mniejszość lub nicość. Józef Lipiński nieszczęśliwie *wyrabiał* tłumaczenia Wirgiliusza i Tassa. Dawniej Szymonowicz naśladował i częściami tłumaczył Bukoliki, a Piotr Kochanowski Jerozolimę. Porównyując dawne tłumaczenia mniej poprawne, lecz pełne życia, śmiałe i bogate w wyrażenia, z Lipińskiego suchym i prozaicznym wierszem, najlepiej możnaby pokazać manierę nowég szkoły i dowieść jak wiele nasi tłumacze na francuzczyźnie tylko zaprawieni przynieśli szkody mowie ojczystej. Odarto ją rzeczywiście ze wszelkich ozdób stylu, zdjęto że tak powiem szatę i nawet ciało z myśli i uczuć, a wiersze zamieniono na ciąg syllogizmów. Inne zdania u Bentkowskiego są lakoniczniejsze, np: „Osiński Ludwik prawdziwym okazał się lirykiem.” „Kozmian okazał się prawdziwym poetą lirycznym.”

Było to uderzenie piorunu w najpierwsze powagi klasycyzmu; Kajetan Kozmian do końca życia, nie mógł Mickiewiczowi przebaczyć tego ciosu, i w swoim drobném kółku, gromił go zawsze: słowa jego czasem przez usta przyjaciół dobiegały dalej, ale nie zwracały na siebie żadnej uwagi. Puszczono wieść, że Towarzystwo przyjaciół nauk, wzięwszy pod rozwagę czy przyjąć Mickiewicza na członka, nie było

z sobą w zgodzie, albowiem lubo go wielu popierało, głos stanowczy Ludwika Osińskiego z protestacyą przeważył, aby ten wniosek odłożono na później. Szczególniej oburzenie twórca *Dziadów* wywołał na siebie, tém zakończeniem swojej rozprawy „O krytykach i recenzentach warszawskich”.

„Nasi uczeni (tak ją zamyka), oprócz literatury francuzkiej do połowy XVIII wieku, nic godnego uczenia się nie widzą. Rozumują z Kalifem Omarem, że albo wszystkie obce literatury zgodne są z poetyką Boala i wtenczas mniej potrzebne, albo niezgodne, a zatem szkodliwe. Obstają niby przy starożytności, przy klassyeczności; jakże nie sumiennie nadużywają tych wyrazów? Toż oni nieumiejąc łaciny, niemając pojęcia o greczyźnie, chcą uczyć Anglików i Niemców, jak starożytną sztukę cenić i czuć należy, o ile jég formy naśladować wolno. Dziś kiedy w tylu językach tyle arcydzieł tak różnych, zajmuje uwagę Europy, ażeby je sądzić, ażeby ogólne o sztuce czynić uwagi, trzeba talentów i różnorodnej nauki Szleglów, Tika, Simonego, Hazlita, Gizo, Wilmena i redaktorów *Globu*. Jakże ku temu dążą recenzenci ze szkoły księdza Golańskiego i Franciszka Dmochowskiego. Jedni śmieją się z Getego, którego dzieła na całym ucywilizowanym świecie aż do rogatek warszawskich tłumaczono, czytano i ceniono; drudzy cieszą się że *nie umieją po hollendersku i nie czytają Lessynga*: inni radzą nawet wyciągnąć kordon zdrowia, ażeby przypadkiem nauka nie wkradła się z zagranicy. Tég blokady rozumu, acz potrzebnej do utrzymania w cenie wyrobów wierszowych warszawskich, nie uznaje publiczność. Oświadczyli się przeciwko niég w samég Warszawie niektórzy poeci i teoretycy. Zaraza owych nauk szerzy się tak dalece, że nawet prawowierni klassycy, przytaczają imiona Getego, Mura, Byrona: imion tych wielkich nienależałoby wzywać nadaremnie, kiedy dzieła ich jeszcze tak mało znane, tak rzadko dostają się za kordon klassyczny. Rozprawiać zaś o tych dziełach, tudzież o sztukach i o poezyi w ogólności, z zapasem tylko szkolnych prawideł i z Laharpem, można za stołem lub w salonie, ale z piórem w gazecie literackiej już się nie godzi. Recenzenci klassyczni warszawscy stanowiący śmiało i zarozumiale o ważnych przedmiotach literatury, podobni są do miasteczkowych polityków, którzy

neczytając nawet gazet politycznych, wyrokuja o tajemnicach gabinetów i działaniach wodzów: szczęśliwi!”

Odrzuciwszy słowa pełne goryczy, zarzuty stawiane przez poetę, dziś po czterdziestu czterech latach, (albowiem pisał tę rozprawę w Petersburgu 1828 roku) najbezsronniej-sza krytyka uznać za pełne prawdy musi. Klassycy stali w niemém osłupieniu, bo nie mogli znaleźć słów do obrony, ani dowodów żadnych wyższości talentu i nauki złożyć. Franciszek Morawski. zachęcał Koźmiana, ażeby wydał z rękopis-mu swe arcydzieło *Ziemiaństwo polskie*, i niém zneutralizo-wał wpływ Mickiewicza. Próżne zachęty, starzec zawzięty, już o niczém słyszeć nie chciał, gdy wponiewierkę idą Wirgili, Boalo i Horacy! w cichości zaś zaczął pisać wielkie niby *epos*, *Stefan Czarniecki*, którym zamierzał, jakby zrzućeniem góry granitowej, zgnieść zacieklej romantyków, wraz z Mickie-wiczem zarazem.

Tymczasem walka gorąca na całej linii wrzała, prassa stanowczo stanęła do razu po stronie nowatorów. Sam Mic-kiewicz już rozbił główne zastępy klasyków, trzeba było ko-rzystając z zwycięstwa, zgnieść i ich resztki jeszcze poważne liczbą; ale zadanie coraz było łatwiejsze, gdy straciwszy ducha, niemogąc w popłochu zebrać myśli, i na stanowczy opór się zebrać, cofali się bezładnie, i gromadami przechodząc na stronę nieprzyjaciół. Wkrótce pozostała garść tylko maru-derów, z wielkiej armii klasyków, — którzy gdzieś gdzieś czasem się na harc wysuwali, ale gorącą otrzymawszy odpra-wę, zmykali do swoich kryjówek.

Zjawił się właśnie w tę dobę, znakomitego talentu pisarz i krytyk Maurycy Mochnacki, który najsilniejszą rękę przy-łożył do spiesniejszego upadku klassycyzmu. Jemu ta za-sługa należy bezsprzecznie. Onto założył jeden z najpoważ-niejszych ówczesnych organów prassy: „*Dziennik Warszawski*,” wraz z Michałem Podczaszyńskim; pismo to od 1-go czerwca 1825 r. w zeszytach miesięcznych zaczęło w Warszawie wy-chodzić. Najgłówniejszymi współpracownikami *Dziennika* byli dwaj redaktorowie pomienieni, Brodziński Kazimierz, Joachim Lelewel, Mickiewicz, J. B. Zaleski.

W następnym roku wydali dwa jeszcze tomy, ostatni wyłącznie pod redakcją samego Podczaszyńskiego, i na nim

zamknęli swoje wydawnictwo, zdawszy je J. K. Ordynicowi, który takowe do 18tu tomów doprowadził.

My zwracamy głównie uwagę na cztery pierwsze tomy *Dziennika Warszawskiego*, jako mające przeważny udział w walce romantyków z klassykami.

W pierwszym zaraz tomie Mochnacki w rozprawie swo-jój: „*O duchu i źródłach poezji w Polsce*,” rozjaśniając este-tycznie znaczenie *romantyczności*, tak ją zamyka:

„Brodziński pierwszy z Polaków zaczął rozumować nad poezją, pierwszy pojął jej znaczenie, i pierwszy zadał cios olbrzymiej u nas powadze wzorów francuzkich. Wszędzie gdzie mówi o potrzebie stworzenia narodowej literatury i o wstrzeźliwości w naśladowaniu, głos jego brzmi powa-gą niepłonną rady lub przestrogi, chociaż jest zbyt umiar-kowanym i zbyt ostrożnym w zachęcaniu młodzieży naszej do kształcenia się na drodze, którą tegocześni Niemiec i an-gielscy pisarze, ozdobili mnóstwem pomników ręką geniuszu wzniesionych. Dobro literatury ojczystej, nadzieja jej przy-szłego powodzenia, i przykład tych dwóch narodów upowa-żniają nas do postąpienia sobie z większą śmiałością w tej mierze i do wyznania następującej prawdy:

„Że dopóki pod imieniem stronników klassyczości, bę-dziemy tłumaczyć lub naśladować francuzkich mistrzów i nie uwolnimy się od szkodliwego wpływu ich języka i literatury. dopóki idąc za zdaniem mniemanych klasyków, to wszystko za niewczesny płód poczwarniej imaginacji poczytywać bę-dziemy, co nosi niezaprzeczone piętno geniuszu, dzikich lub przerażających piękności: dopóty nie będziemy mieli oryginalnej poezji i narodowej literatury. Jeżeli już powołaniem naszym jest we wszystkiem unikać oryginalności, dlaczegoż nie mamy raczej naśladować naszych sąsiadów Germanów w poezji romantycznej, która wzgardzona na dworze Fryde-ryka Wielkiego, wracając do mglistych dolin, połączyła swój głos z głosem wietrznej harmonii, z wiejskiego zacisza prze-biegła krainę pamiątek, a utworzywszy dla siebie ojczyznę w myśli, nakształt cieni Ossyana wzniosła się pod obłoki?”

Rada ta młodego krytyka, była wprost przeciwną prze-strodze Jana Śniadeckiego, więc zaraz wziął się do wytocze-nia sprawy w tej rzeczy w drugim tomie *Dziennika Warsza-wskiego*, pisząc:

„*Niektóre uwagi nad poezją romantyczną z powodu rozprawy Jana Śniadeckiego o pismach klasycznych i romantycznych.*“

„Nie możemy tego zamilcząć (pisze Mochnacki), że stając w obronie poezji romantycznej przeciwko największemu jej nieprzyjacielowi, z nieśmiałością wchodzimy w szranki polemiczne. Roztrząsać będziemy najważniejsze zagadnienie w teorii piękności, walczyć w sprawie czucia i imaginacji zagrożonej zbyt wczesnym może tryumfem zimnej rachuby, porównywać sztukę z naturą, natchnienie z rozumowaniem, rzeczywistość z ideą. Ponieważ zaś stronnicy klasyczności w rozprawie Jana Śniadeckiego, powabem stylu, jasnością i precyzją wyrażen, attyckim a częstokroć rubasznym ozdobionym dowcipem, upatrują okazałe *non plus ultra* nieustraszonych dowodów służących do wysmiania wszystkiego, co z mniemaną ich w poezji i literaturze prawowiernością nie jest zgodne, zamierzaliśmy więc z największą rozważą, o ile możności z zimną krwią odpowiadać na zarzuty autora, ocenić stanowisko z którego powstawał przeciwko pisarzom romantycznym, porównać zalety stylu z ogółem, cechą logiczną z porządkiem jego myśli, na koniec rozwiązać to nader ważne i ciekawe zapytanie: jak dalece rozprawa Jana Śniadeckiego uchodzić może za wyrocznię niecofnioną w sądzie o rzeczach dotyczących się poezji i literatury, czucia i imaginacji?“

Jakkolwiek Mochnacki podług pierwotnego planu, nie rozwinął wszystkich swoich myśli w rozprawach ogłoszonych w tym piśmie, zawsze było cios nowy a silny zadany klasykom, który milczeniem głębokiemi przyjęli.

W tym roku 1825 ukazały się dwa tomiki poezyj Antoniego Edwarda Odyńca. Michał Podczaszyński zdając o nich sprawę, kilka wydatniejszych rzuca myśli, które właśnie do pojęć tego okresu należą.

Wspominając Mickiewicza, J. B. Zaleskiego i Ant. Ed. Odyńca, wyraża, że „zjawienie się tych trzech młodych pisarzy będzie pamiętnem.“ O ostatnim mówi:

„Oryginalnym pismom jego nie zbywa na cechach prawdziwej poezji, nie są jednak jak Mickiewicza, Brodzińskiego i Zaleskiego, narodowe.“

Z tych napomnień widzimy, że najpoważniejszy ten literacki organ, nie lekceważył Brodzińskiego, a zasługi jego

należycie oceniał. Mickiewicz z niewiadomych nam powodów nigdy go nawet jednym słówkiem nie wspomniał, tylko w wiele lat później, znalazł dla niego przyczynę, na jego kierunku w poezji więcej sielankowy, poczerpnięty z wychowania pomiędzy ludem krakowskim; wprowadziwszy w *Dziadach* bowiem literata na scenę, te słowa kładzie w usta jego:

„Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;
Śpiewać naprzykład wiejskich chłopów zalecanki,
Trzody cienie— Sławianie, my lubim sielanki!“

Widzimy już w tych pierwszych sporach, że szło tu nie tylko o zrzuć jarzma francuszczyzny, które ochotnie z dziwnym zaślepieniem znoszono, ale zarazem o wyrobienie literatury oryginalnej, a głównie mającej cechy i piętna rodowe, czego klasycy zupełnie zrozumieć ani pojąć nie umieli i nie mogli.

Grono zwolenników nowej szkoły tymczasem coraz się powiększało, i rok po roku wzbogacało literaturę naszą utworami swego pióra.

Po Brodzińskim odznaczył się Józef Bohdan Zaleski. Obaj lata dzieciinne na łonie ludu spędzili, z tą różnicą, że pierwszy przy wybrzeżach Wisły, drugi wśród stepu nad Dnieprzańskiego. Brodziński wyśpiewał *Wielkawa* i *Pieśni rolników polskich*, Zaleski z wątku dum ludowych: *Dumy Ukraińskie* i *Rusalki*. Nietylko co do treści był wskrós narodowym piewą, ale w jakąż to brylantową szatę języka przystrajał swoje utwory. Żaden przed nim, ani po nim, tak po mistrzowsku, melodyjnym nie śpiewał tonem. Słowacki, w pierwszych utworach, w poemacie *Zmija* chciał go naśladować i naśladował, ale to naśladownictwo nazbyt wyraźnie bije w oczy.

W *Dzienniku Warszawskim* (tom I z r. 1825) czytamy pierwszy Bohdana utwór napisany w roku 1823 p. n.:

ŚPIEW POETY.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosą.

Lecę, gonię wspomnień marę,
 Z kwiatów życia wieniec plotę;
 Piękność, miłość, czucie, wiarę,
 Na ogniwa spajam złote.
 Świat odbija moja dusza,
 Jak zielony brzeg krynica,
 Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
 Wszystko tkliwe ją zachwycą.
 Łza na krótko oko ciemi,
 Częściej płoną w niem rozkosze,
 Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
 Co niebieskie w niebo wznoszę.
 Z niewcielonych gdzieś tam światów
 Garnę myśli, uczuć skarby,
 Z nowych dolin, z nowych kwiatów,
 Do obrazów zbieram farby.

* * *

Oto w słońcu płoną łany,
 Tchem wiośnianym pieści ranek;
 Czemuś tęsknie zadumany,
 Czegoś szukam jak kochanek.
 Wszystko kwitnie, wszystko woni,
 Sympatyczne czucia wznieca;
 Kwili słowik u jabłoni,
 Zapłoniony jak dziewica.
 Brzmia śpiewacy polni, leśni,
 Pierś podnosi rzewność błoga,
 I naturę wielbim w pieśni,
 A w naturze wielkość Boga.
 Brzmia śpiewacy... i na przemian
 To na dole, to na górze,
 To dla niebian, to dla ziemian,
 Wtórzą dla mnie— dla nich wtórzę.
 Tak przebiegam różne tony,
 Pierwój z sercem dźwięk pogodzę,
 I czystszy, upiękniony,
 Po samotnej puszczam drodze.
 Myśl mój pieśni nie przekwita,
 Jako niebo, serce wiosna,
 Wiecznie świeża, rozmaita,
 I dziewicza, i miłosna.

* * *

Coraz w gaju śpiew ucicha,
 Wolnie bujam kilka chwilek,

I z wonnego róż kielicha,
 Piję balsam jak motylek.
 Znowu lecę między ziółka,
 Między gaje, łąki, wody,
 Biorę miody, i jak pszczołka
 Nie dla siebie biorę miody.
 Gdy w polocie mym znienacka,
 Coś mnie draśnie, lub ukole,
 Widzę wkoło piękne cacka,
 I jak dziecię koję bole.
 Nie wyrzekam nigdy zbyt, nie,
 Błogo w lubym żyję błędzie,
 Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
 Lecz gdzieindziej znowu będzie!
 Czara życia nie wciąż miodna,
 Gdy cykutę spełnić trzeba,
 Chrześcianin spełnić do dna,
 I wesoło spojrzę w nieba.
 Duch nie zgaśnie przez skonanie...
 A dla ziemi u mogiły,
 Kilka piórek pozostanie,
 Co ku niebu mnie wznosiły!“

Przyznać potrzeba, że ten pierwszy występ J. B. Zaleskiego, był majestatycznym występem na polu poezji naszej. Co za mistrzostwo we władaniu języka, jakiemiż brylantami mowy macierzystej nie jaśnieje. Jeżeli Jan Kochanowski był twórcą poetycznego języka, to żaden bez wyjątku tak skarbnicą tą władać nie umie jak pierwszy Zaleski, a po nim Juliusz Słowacki. W tej rzeczy obaj są to mistrze nad mistrzami!

Stefan Witwicki, otrzeźwiawszy z pierwszego zapału do ballad i romansów Mickiewicza, teraz występuje już nie jako naśladowca, ale jako samodzielny poeta.

Poezje swoje *biblijne* przypisuje J. B. Zaleskiemu, jako swemu przyjacielowi w roku 1829, i rozwija w nich nietylko znakomity talent poetyczny, ale dorazu o władnął stary język pisarzy religijnych z okresu Wujka i Skargi. Dość nam tu przytoczyć początek wiersza „*pokutujący*“, z księgi Hioba:

„Człowiek zrodzony z niewiasty, żywiąc przez czas krótki,
 Krewkości, nędzy pełen, cierpi grzech i smutki.
 Urodził się na pracę, jak ptak na latanie,
 Jak kwiat wschodzi, i nie trwa jako dzień w swym stanie.
 Uleciały dni moje jak prędcy orłowie,
 Jako obłok przelotny znikło moje zdrowie.

Życie moje wiatr próżny; kto dziś przy mnie siedzie,
Przyjdzie jutro, i miejsca po mnie szukać będzie.
Przeto mądrością Pana niech się duch poruszy,
Abym zdołał zfolgować gorzkościom mej duszy,
Bo którzy się poniżą, przyjdą do niebiosów,
A pyszni starci będą jako wierzchy kłosów!“

Równocześnie wydał *Piosnki sielskie*, w których prostotę ludową umiał szczęśliwie pochwycić, obok szczególnie powabnej formy poetycznej. Dwie najgłówniej pieśni z tego zbioru, do których podłożył muzykę odpowiednią *Fryderyk Szopen*, wprędce się zpopularyzowały i obieżyły kraj cały. Pierwsza: *Hulanka*, z której bije humor i młodzieńczy zapach, druga p. n.: *Życzenia*, tęskna i łzawa, znalazły w melodyi Szopena, myśl swą uwytatnioną. Już blisko pół wieku, bo czterdzieści trzy lat upłynęło od owjej doby, kiedy te piosnki poraz pierwszy zabrzmiały, a dziś jeszcze serca umiejące czuć, na ich odzew uderzą radośnie, albo westchną smutnie, przypominając poetę i muzyka, którzy oddawna spoczęli w mogiłach na obcej ziemi (1).

Pomiędzy pierwszym występem J. B. Zaleskiego, a Witwickiego *poezyami biblijnymi* i *piosnkami sielskimi*, przyby-

(1) Zapomniano tych pieśni Witwickiego, dlatego przywodziemy je w przypisku, gdyż ściśle do okresu, o którym mówimy, należą.

I.

HULANKA.

Szynkareczko!
Szafareczko,
Bój się Boga, stój!
Tu się śmiesz,
Tu miód lejesz,
Wprost na kaftan mój!

Nie daruję,
Wycaluję...
Jakie oczko, brew!
Jaka biała,
Szyjka cała...
Hej! spali mnie krew!

Cóż tak bracie,
Wciąż dumacie?
Bierz tam smutek czart!

wa do Warszawy *Maurycy Gosławski*, i w tém mieście w roku 1828 ogłasza tom pierwszy swoich *poezyj* (1). Przypisał go Wincentemu hr. Krasińskiemu, u którego znalazł gościnne przyjęcie, i gdzie poznał ówczesne znakomitości litera-

Pełno nędzy,
Ot pij przedź...
Świat ten diabła wart!

Pjane nogi,
Zbłądzą z drogi,
Co za wielki srom!
Krzykiem żony,
Rozbudzony,
Trafiśz gdzie twój dom!

Pij! lub kijem
Się pobijem...
Biegnij dziewczę wczas!
By pogodzić,
Nie zaszkodzić,
Oblej miodem nas!

II.

ŻYCZENIE.

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Nie świeciłabym jak tylko dla ciebie:
Ani na wody, ani na lasy:
Ale przez wszystkie czasy,
Pod twém okienkiem, i tylko dla ciebie,
Gdybym w słoneczko mogła zmienić siebie.

Gdybym ja była ptaszkiem z tego gaju,
Nigdziebym w żadnym nie śpiewała kraju:
Ani na wody, ani na lasy:
Ale przez wszystkie czasy,
Pod twém okienkiem, i tylko dla ciebie...
Czemuż nie mogę w ptaszka zmienić siebie!

Witwicki w późniejszych latach mniej pisał poezyi, a więcej prozą; wszystko wszelako co wyszło z pod jego pióra, odznacza się zarówno wysokim talentem, jak najzaczniejszą dążnością. Złamany ciężką chorobą, po dziesięciu latach cierpienia umarł w Rzymie w m. kwietniu 1847 r.

(1) Poezye Maurycyego Gosławskiego, tom I, w Warszawie, drukiem N. Glücksberga, w 18ce, str. 143. Z godłem na czele następującóm:

„A w dowód mej miłości, bracia moi! teraz
Czczę was posługą wzajemną:
Spałem ja nad wami nieraz,
Zaśnijcież i wy nademną!“

ckie. We wstępie zaraz gorąco zabiera się do rozprawy z klasykami:

„Ponieważ (pisze M. Gosławski) Homer śpiewał tak, nie inaczej, ponieważ w ślady jego z uszanowaniem wstępował Wirgiliusz, że Rzymianie i Grecy wołali na pomoc *Muz*, jako bogiń swojej religii, dlatego dzisiaj Anglik, Szwed lub Kirgiz ma powtarzać te same modlitwy? *Cui bono?* Kiedy bóstw tych nie czcił, żadnych więc łask prawnie domagać się od nich nie może. Śmieszną jest zaiste rzeczą, aby my pod innymi wpływami kształceni i wzrosli, mogący sami przez się czuć, myśleć i działać, abyśmy mówię niewolniczo krążyli ciągle po tym obwodzie, po którym talenta naśladowców wiecznie idą *gesiego*, i jak wyuczone szpaki to tylko wymawiać umieli, czego nas mistrz dawny nauczył. Nie! tak być nie powinno i tak być nie może! Usposobienie wieków objawiając się coraz wyraźniej dało uczuć całą niedorzeczność naśladownictwa tego rodzaju. Zwolna tedy zaczęto otrząsać się z uprzedzeń zastarzałych, że to tylko jest piękne, co przekopowane od Greków i Rzymian, z uprzedzeń krepujących wolny lot imaginacji, ścieśniających wolne działanie uczucia, a następnie trzymających poezję w stanie odrętwienia.

„Zaczęły wyższe talenta puszczać się drogą nową, odrębną od klasycznego *chaussé*, i pierwsze usiłowania dość szczęśliwie się powiodły. Schiller, Goethe, dalej Byron, Walter-Scott i inni, pod nowym zupełnie względem okazali nowożytnym poezję. Pierwsi oni, że pominę *Szekspira*, zwrócili poezję na prawdziwy jej kierunek, pierwsi wykazali źródła, z których skarby jej czerpać należy. Otóż mamy i nową poezję, nazwano ją romantycznością: niech i tak będzie. Na ten podział wszakże nie zgadzam się: romantyczność dzisiejsza jest to ta sama piękność, tylko w innej sukni, cała różnica, że zmieniła cisnącą rogówkę i robrony na wygodniejsze stroje, które bardziej jej do twarzy. Niech na balu zajaśnieje nowa piękność, czy ujdzie zawiści i szyderstw? Niech wyceluje nad innych strojem, czyż nie będzie naganiona od wszystkich jupek, czépków, toczków i t. d. dawniejszej mody? Ludzie nie radzi przyznają drugim wyższość, nawet przekonani o niej: to jest w ich naturze. Tak się rzecz ma i w poezji. Ileżto *madrygałów*, *szarad* i *logogryfów* stanęło pod bronią na odparcie tej romantyczności! pośpie-

szyły ku odsiecz i czułe *Idylki*, i gospodarne *Ziemianstwa* (1) i poważne tragedye, że nie wspomnę licznych pułków sprzymierzonych krytyków i gazetnych gabinetów, co niewychodząc w otwarte pole, ubocznymi wpływami starają się wroga pognębić. Oczerniono romantyczność, że ona wiedzie do mistycyzmu i ciemnoty, że cel jej główny zasadza się na wprowadzeniu upiorów i dyabłów, że ona jest znamię psującego się smaku.“

Z tego ustępu widzimy jak chciano pojmować romantyczność. M. Gosławski w tym tomiku, dał poemat w czterech częściach: *Podole*. W pierwszej opisuje *piękności* tej części ziemi; w drugiej: *wesele gminne podolskie*, w którym mamy wierny obraz tego obrzędu, najważniejszego w życiu wieśniaka, wraz z wielą ludowymi pieśniami; w trzeciej: *kłęski Podola*; a w czwartej: pożegnanie tej okolicy. Nie brak w tym utworze i natchnienia poetycznego i obrazków szczególnie pochwycionych z natury; ale obok tego nieraz wybija zbyt usilna staranność o oryginalność w wysłowieniach. Nie masz tej swobody płynącej jak strumień żywej wody, którą w późniejszych utworach tego poety spotykamy; głównie też w pieśniach jego, które szczególnie w Galicyi stały się tak popularnymi jak dawniej pieśni Franciszka Karpińskiego. Z mniejszych poezyj w tym tomiku zamieszczonych zwraca uwagę *Duma o Nyczażu*, osnuta na tle pieśni ludowej: naśladownictwo *dumek* J. B. Zaleskiego; ale jakże dalekie od wartości tego prawdziwego gęślarza z nad Dniepru!

W tym właśnie czasie, bo po Gosławskim, ukazała się broszura wierszem p. n.: „*Klasycy i Romantycy polscy w dwóch listach*,“ (Warszawa, 1829 r. w 8ce). Utwór ten wyszedł z pod pióra Franciszka Morawskiego, ale bezimienne; obudził najprzód nie małą ciekawość, a następnie gniew i niezadowolenie stron obu. Morawski listy te przypisał J. U. Niemcewiczowi, który stał na neutralnym literackim polu, a pracami poetycznymi zarówno należał do klasyków jak i romantyków.

Pierwszych oburzył następny ustęp z *Listu pierwszego do klasyków*:

„Wchodzę ja wprawdzie w gniewu waszego przyczynę,
Ze śmiano tak zaburzyć Apolla krainę,

(1) Przymówka do *Ziemianstwa* K. Koźmiana.

Ten Parnas starożytny, gdzie aż wspomnieć miło,
 Wszystko już tak spokojném i tak cichém było,
 Że nikt mu już słodkiego snu myśli nie kłócił,
 A *Feb*, co się zaledwie raz na wiek przecucił,
 Skarciwszy Ossyana i Szekspira zbrodnie,
 Chrapiąc klasycyzm zarządzał swobodnie.
 Minął już ten wiek złoty i nie prędko wróci,
 Cały świat się zakłócił, więc i Parnas kłóci;
 Rośnie burza powszechna, i pędząc od Szkotów
 Z całą wrzawą bretońskich piorunów i grzmotów,
 Nietylko prawowierne Franki wam zabiera,
 Lecz nawet do pocziwych już się Lechów wdziera,
 I tak szybko po całej Polsce się pomyka,
 Że raz poraz jakiegoś urwie wam klasyka.

Stary Koźmian po przeczytaniu ostatniego wiersza, już przepowiedział proroczo że Morawski zdradzi klasycyzm i że przejdzie do obozu nieprzyjaciół (1). Wróżba nie była daremną, sprawdziła się prędko co do słowa; bo Morawski w niedługim lat przeciągu, zwinawszy chorągiewkę klasycyzmu, jawnie przeszedł na stronę romantyków, ową doskonałą *Wizytę w sąsiedztwo*, mistrzowskim przekładem poematów Byrona i zakończył swój zawód poetyczny arcydziełem: „*Dworzec mego dziadka*” który śmiało może stanowić prolog do *Pana Tadeusza* Mickiewicza.

Drugi ustęp do klasyków, brzmiał także wcale niepo-
 chlebnie:

„Bo któżby wam w krytyce mógł zrównać na świecie,
 Wy tylko, wy to sami tak trafnie umiecie,

(1) Od roku 1818 kiedy zaczął Bruno Kiciński wydawać swój *Tygodnik*, Franciszek Morawski pomiędzy klasykami pozyskał sobie znakomite miejsce, a w dalszych latach stał się ich chlubą. W salonach pańskich powtarzano sobie długo następny czworowiersz. Morawski zimową porą jechał sankami z jedną z zawołanych naówczas piękności, śnieg pruszyć zaczął; poeta ujrawszy gdzie padał i tajał, w natchnieniu zaimprovizował:

„Na pierś twą białą, padł śnieżek mały
 I bielszym od niej się mienił;
 Lecz wkrótce poznał błąd swój zuchwały,
 I z żalu w lę się zamienił!”

Owóz ten czworo-wiersz był stawiany jako wzór smaku i delikatności klasycznego poety.

We wszystkiém co jest piękne klasycyzm ocenić,
 A każdą śmieszną brednię romantyzmem mienić!
 Złapać tam jakieś słówko, dziwaczne, przesadne
 I już wiedzieć że wszystko głupie i szkaradne!
 Tak się wreszcie przecuciem i instynktem rządzić,
 Że nawet bez czytania potraficie sądzić!”

Tu okazał całą nicość krytyków starzej szkoły! Tak rozprawiwszy się z klasykami pisze list drugi do romantyków, a jak na czele pierwszego położył godło po łacinie z listów Horacego, tak tu w tekście angielskim z Szekspira. Morawski ślad w ślad co do pojęcia romantyczności idzie za Janem Śniadeckim! I on widzi w niej tylko grzebanie po cmentarzyskach, wywoływanie strzyg i upiórów z mogił:”

„Przebóg! pókiż nam będą wasze głosić dźwięki,
 I czuć się tylu zbójców i wisielców wdzięki;
 Kiedy już wszystkie wasze zliczycie bożyszcza,
 Mogiły, mogilniki, kurhanki i zgłiszczą?” (1).

Jedyny ustęp prawdziwy znajdujemy w tym liście, to jest wskazanie palcem na ślamazarny bajronizm, który poruszył ómę wierszokletów romantycznych, na których nie zbywało pod owe czasy.

„Ledwie że się z *infimy*, a nawet z pieluszek
 Jakiś tam romantyczny wyrwie jeniusek,
 Juźci się do nieszczęścia powołanym sądzi,
 Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi;
 Z jakiejś tam urojonéj tęsknoty usycha,
 Jé dobrze, pije dobrze, a do grobu wdycha!” (2).

W zakończeniu, serdeczném słowem chciał nakłonić obie wojujące strony do zgody; ale obraziwszy i jedną i drugą, głos jego przewiał z wiatrem, a nawet, gdy ten ustęp powtórzony został na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, przez sędziwego J. U. Niemcewicza, wywołał cichy gwar niechęci w licznych tłumach, którzy tylko przez poszanowanie dla siwowłosego starca i autora *Powrotu pośła*

(1) Przytyk do ballady Mickiewicza; „*Powrót Taty*” i do *Zamku Kaniowskiego*, który na rok przedtém wyszedł z druku w Warszawie.

(2) Komedyo-pisarz Stanisław Bogusławski przedstawił nam tego rodzaju typową postać w komedyi „*Stara Romantyczka*.”

i *Śpiewów*, nie zawrzał silniejszym głosem, głosem oburzenia ogólnego!

W tym okresie pomiędzy wyjściem pierwszego wydania dwóch tomików poezji Mickiewicza, a temi listami Morawskiego, ukazała się w roku 1825 powieść ukraińska *Maryja*, Antoniego Malczeskiego (1). Mało kto zwrócił na ten utwór uwagę; raz format nie był modny, bo wszystkie romantyków poezye w 16ce lub 18ce wychodziły, a *Maryja* wydrukowana w 8ce została; powtóre: autor zupełnie był nieznany; po trzecie: poemat pisany trzynasto-zgłoskowym wierszem: naostatek spotkany został przy samém wejściu na świat literacki krytyką chłodną, nie mogącą ocenić nawet prawdziwej wartości tak genialnego zjawiska, w stylu klasycznym w *Bibliotece polskiej* (Tom IV., 1825 roku).

„Powieść ta (mówi recenzent) wierszem napisana z wielu względów zasługuje na uwagę, już to jako utwór oryginalny i pierwsze dzieło autora, któremu talentu odmówić nie można, już to że zdaje się należeć do *szkoły romantycznej*, już nareszcie dla samychże błędów, których wykazanie i zastanowienie się nad ich przyczyną, posłuży nam na poparcie zasad (??), jakich zawsze, w obecnej że tak powiem walce, między klasykami a romantykami, trzymać się będziemy.”

Jakie są te *zasady*, z całego ciągu dalszego dopatrzeć się nie możemy, bo krytyk wedle stariej metody, podawszy treściwy zarys tego poematu i kilka drobnych ustępów dowolnie wyrwanych, uderza na niejasność układu i zadaje mnóstwo sobie pytań, które jednakże bez pomocy autora sam rozwiązuje!

„Autor (pisze dalej recenzent) oczywiście chciał naśladować Byrona; którego bohaterowie, jako to: *Korsarz*, *Lara* i t. d. niewiedzieć co są za jedni, gdzie się podziwiają. Widzimy obraz kilku chwil ich życia, a z resztą zostajemy w niepewności. Lecz nie łatwo jest naśladować utwory, którym wielki pisarz nadaje piętno swego geniuszu i pojmowania rzeczy; powiem więc, że takie naśladownictwo jest niepodobnem, a nawet szkodliwem.” Dalej wyraża: „że w ogóle stylu *Maryi* pochwalić niepodobna” i przytacza wiersze całe lub wyrażenia, które mu do smaku nie przypa-

dły, lub których dobrze nie rozumiał. Kończy zaś swoją krytykę temi słowy:

„Zadziwi zapewne czytelnika taka nierówność stylu, że obok myśli pięknym wierszem oddanych, podobne uchybienia miejsce mieć mogą. Pierwsze są oznaką talentu, drugie lub niewykształconego smaku, lub téż może są skutkiem i źle zrozumianego wyobrażenia o rodzaju romantycznej poezji. Albowiem unika ona wykwintności, lubi nawet pewien rodzaj prostoty, lecz nie przypuszcza gminności i ciągłego zaniedbania; lubi swoje utwory tajemniczą osłoną okrywać, lecz nie idzie ztąd aby całe poema było ciągłą i mordującą zagadką.

„Tak więc *Maryja* pomimo wszystkich błędów swoich, wykazuje nam że jej autor *może* powiększyć szczupłe grono naszych oryginalnych pisarzy, jeżeli przy zdolnościach jakie posiada, ukształci swój gust i sprostuje pojęcie swoje o poezji, z którego jak nam się zdaje, wyniknęły po większej części wady jego utworu.”

Niestety! autor nie mógł korzystać z tych uwag recenzenta, czasu mu zbrakło do *kształcenia swego gustu i sprostowania mylnych pojęć* jakiemiał o poezji, albowiem wkrótce po wydaniu poematu zakończył życie dnia 2 maja 1826 roku w Warszawie. Złoty Malczeskiego pogrzebano na cmentarzu *powązkowskim* pod Warszawą, ale pomimo najusilniejszych starań, miejsca mogiły jego nie odnaleziono, ażeby uczcić prochy zgasłego pomnikiem grobowym.

Pomścił zapomnienie wielkiego poety niedługo Maurycy Mochacki, oddzielną rozprawą wykazującą całą wartość *Maryi* i znaczenie Malczeskiego w plejadzie poetów naszych: rzucono się w też pędy i rozchwymano wszystkie pozostałe egzemplarze téj powieści, która od owéj doby liczy już kilkadziesiąt rozmaitych wydań. Czytelnik może się uśmiechnąć na nasz poczet wyliczonych powodów, które się złożyły na niepowodzenie wydrukowanego poematu Malczeskiego, i zatruły ostatnie chwile życia poety, ale powody te były rzeczywiste, znane nam zblizka i należą do cech wybitnych tego okresu, którego kronikę spisujemy.

J. B. Zaleski w napisie grobowym dla autora *Maryi*, najlepiej poświadcza, jak niepoznano się na wartości tego arcydzieła.

(1) *Maryja*, powieść ukraińska, przez Antoniego Malczeskiego, w Warszawie, w drukarni J. N. Glücksberga 1825 roku w 8ce.

VIII.

Wcześniej o całe półrocze 1825 roku, ukazała się przed *Dziennikiem warszawskim* „Biblioteka Polska. Pamiętnik umiejętnościom, historii, literaturze i rzeczom krajowym poświęcony” z następnym godłem na czele:

„W każdejśmy porze wieku, w każdój życia chwili,
Dobroczynnego nauk wpływu doświadczyli:
W młodości od gwałtownych wstrzymują uniesień,
Świećtnymi skarby naszą wzbogacają jesień;
A nawet i w starości, wiernie nam do końca,
Ostatnim naszą zimę zdobią blaskiem słońca.”

Wydawcą i redaktorem tego poważnego organu, był *Franciszek Salezy Dmochowski*, zdolny pisarz, a syn tłumacza *Iliady i Enejdy*, męża wysokich zasług położonych dla kraju.

Pismo to wzięło przeważny udział w walce klasyków z romantykami, a koloryt w tej rzeczy nadawał sam główny redaktor. Ztąd też stanowisko i zapatrywanie jego, przeważało się raczej ku pierwszemu, jakkolwiek uznawał talenta młodych poetów pojawiających się z nowej szkoły. Sam wszelako z wychowania i tradycji klasyk, nie potrafił się z rutyny stariej otrząsnąć, i przyjść do jasnego pojęcia nowego okresu literatury naszej, który już się na dobre zosnował.

Weźmiemy tylko z *Biblioteki polskiej* dział literatury, jako mający ścisły związek z naszym przedmiotem.

W pierwszym zaraz tomie „w *Liście do wydawcy*” wyczytujemy sprawiedliwe skargi na brak krytyki.

„Upodobanie w rzeczach lekkich (pisze autor bezimien-ny) zupełnie odwróciło czytelników od przedmiotów ważnych i użytecznych. *Samotnika* np. już wyszła trzecia edycja, gdy dzieła *Skarbka o Ekonomii politycznej*, tłumaczenie *Seja*, *Dzieje Władysława IV*, i inne leżą jeszcze po magazynach księgarskich a dzieło *O kredycie publicznym*, o przedmiocie tak ważnym, tak nowym dla nas, ledwie jest w rękę kilkunastu osób.

„Żeby skłonić opinią do rzeczy istotnie pięknych istotnie użytecznych, krytyka nieodbita jest potrzebną.” Było żądanie rozumne, ale niewykonalne, bo nie było ani jednego

krytyka godnego tego nazwiska: pojawił się dopiero *Maurycy Mochnacki* wraz z *Dziennikiem Warszawskim*.

Zwrócone wszystkie teraz były umysły wyłącznie do objawów nowej poezji, ztąd wypływało, że najgorętsza polemika, tylko wokoło niej krążyła.

Biblioteka Polska, nie dała się w tej rzeczy innym organom wyprzedzić. F. S. Dmochowski w obszerniej rozprawie: „*Uwagi nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością poezji polskiej*” na czele jej przemawia:

„Na samym wstępie, pisze, postrzegam stojące na przeciw siebie, dwie klasyków i romantyków rotę. Zawzięci przeciwnicy niechcą w żadną wchodzić umowę, *wszystko lub nic*, to jest ich hasłem, a może jak jedni tak drudzy zwrócają swoje pociski na tego, który zoliwną gałązką w rękę, ich pojednawcą, chce zostać.”

I był dobrym prorokiem dla siebie, bo romantyków oburzył zarówno jak i klasyków. Ci ostatni wyrzucali mu że uznaje talenta nowatorów. F. S. Dmochowski dowcipnie dał im odprawę. Jedną z poezji Mickiewicza poważniejszych, przerobił w ten sposób, że na kilkanaście jego wierszy, powsuwał z ręcznie po dwa lub cztery czysto klasyczne z bogami mitologicznymi i używanymi zwrotami przez klasyków; i taki przetwór odczytał na obiedzie u Wincentego hr. Krasińskiego, jako pracę nieznanego a młodego poety, wychowanego w prawdziwej *szkole smaku*. Byli wtedy *Kajetan Koźmian*, *Osiński*, *Franciszek Morawski* i wielu innych klasyków. Wszyscy przyklasnęli jednomyślnie tej poezji. Stary *Koźmian* przyznał autorowi jej talent, i byle tylko dalej zgłębiał *Wirgiliusza* i *Horacego*, będzie mógł być użytecznym dla literatury.

Kiedy Dmochowski jednakże (jak mi sam mówił) wysłuchawszy tych zdań pochlebnych, zwrócił się do słuchających i oświadczył że to poezja Mickiewicza, w którą tylko fragmenta klasycznego kroju wtłoczył, *Koźmian* do żywego obruszony, rzekł mu wtedy:

— Niegodziło się mój panie, zadrwić sobie ze starego poety!

I od tej chwili już go uważał za renegata czystej klasycyzacji.

W dalszym ciągu pomienionej rozprawy, F. S. Dmochowski po przedstawieniu rozwoju poezji polskiej od XVI wieku do tego okresu właśnie o którym mówimy, przystępuje do oceny dwóch tomików Mickiewicza pierwotnego wydania 1822 roku.

„Mickiewicz (pisze F. S. Dmochowski) w poezjach swoich okazał wszystkie przymioty, które są udziałem znakomitego poety. Dar wynalezienia i opisywania, głębokie czucie, śmiałość i wzniosłość myśli, świetność i piękność stylu, chociaż *nie zawsze jest poprawnym i wolnym od zarzutu*, przyznało mu jednogłośnie zdanie powszechne. Poezje jego lubo w szczupłej liczbie, tak są rozmaite, i pod tak różnemi względami w korzystnym świetle okazują jego talent, iż zdaje się, że niema rodzaju w którymby Mickiewicz nie mógł celować.

„Tom pierwszy dzieł jego tak jawne, tak uderzające ma zalety, że nawet najzaciętsi przeciwnicy romantyczności zamilknąć musieli i rzekli tylko: „Przyznajemy że Mickiewicz ma wielkie zdolności, lecz dlaczegoż ich na złe używa? Dlaczegoż nie idzie tą samą drogą, którą postępowało tylu znakomitych poetów? Dlaczegoż wyszukuje dziwacznych podań i powieści gminnych, i zamiast wznosić poezję, zniża ją do gminu? Jak łatwą jest odpowiedź na podobne zarzuty! To jest cechą prawdziwego talentu i geniuszu, że nie chce iść drogą naśladowania, że sam dla siebie tworzy nowy rodzaj; a z dzieł jego krytycy i naśladowcy wyprowadzają nowe prawidła.”

Widzimy z tego ustępu że F. S. Dmochowski głośno i szczerze uznawał geniusz młodego poety, zarazem mamy podane, owe klasyków ciasne o poezji pojęcie, które nie dozwalało im poniżyć jej do gminu, chociaż z niego tylko powstała.

Cóż więc zwróciło niechęć romantyków przeciw redaktorowi *Biblioteki polskiej*: oto w tejże rozprawie zarzuty drobnostek, co do zdrobniałych wyrazów i nawet myśli, których naiwność przedstawiał jako śmieszność; rozbiór poezji A. E. Odyńca w tym samym tomie pisaniej, a szczególnież też niefortunna krytyka *Sonetów* Mickiewicza w ostatnim tomie *Biblioteki polskiej* pomieszczona. Niemało się też przyłożyły i spory z *Dziennikiem warszawskim*, który wytrwa-

le a wyłącznie stał po stronie romantyczności. F. S. Dmochowski przy całym zdrowym sądzie o literaturze, nie był estetykiem, ani studjom się głębszym nie oddawał: nawyknienie od lat młodych do powierzchownego poglądu, do wyobrażeń klasyków, nie dozwoliło mu się z nich do końca życia otrząsnąć; w krytyce jeżeli rzucił kilka zdrowych, wyższych myśli, równocześnie przechodził do rzeczy nie zasługujących nawet na uwagę myślącego krytyka. Zwolennicy też wielkiego poety, po rozbiore *Sonetów*, wzniesli przeciw niemu okrzyk oburzenia, a sam ich twórca rozdrażniony do żywego w owej rozprawie „*O krytykach i recenzentach warszawskich*,” redaktora *Biblioteki Polskiej*, pod cięższe swoje ciosy wyciągnął, na ówczesne szranki literackie.

F. S. Dmochowski po wydaniu siedmiu tomów tego pisma, zamknął je w roku 1827, ale gdy we dwa lata został tak ostro przez Mickiewicza naciśnięty, wydrukował w oddzielnej książce „*Odpowiedź na pismo p. Mickiewicza, o krytykach i recenzentach warszawskich*.” W niej pomieściwszy w całości twórcy *Dziadów*, ową rozprawę, odpowiada na główne zarzuty. Że F. S. Dmochowskiego głos miał jeszcze znaczenie i powagę, najlepiej dowodzi szybki pokup tej jego pracy. W ciągu paru miesięcy rozbitych 1500 egzemplarzy nakładu, w roku przeto 1830 ogłosił swę odpowiedź *edycję drugą*, w której dołączył dwie swoje rozprawy drukowane w *Bibliotece polskiej*: „*Uwagi nad terazniejszym stanem, duchem i dążnością poezji polskiej*” i „*Uwagi nad Sonetami pana Mickiewicza*.”

Książka ta, dla badacza tego właśnie okresu literatury naszej ma wysoką wartość, bo skrytalizowała na swoich kartach ową walkę duchową, jaka się toczyła przez cały prawie lat dziesiątek, wyjawia pojęcia obu stronnictw, nietylko o poezji, i podaje wiele zajmujących szczegółów w tym procesie literackim, którego ostatecznym sędzią była publiczność.

Młode pokolenie nieświadome przeszłości, zerwawszy złotą przedzę *tradycji* domowej, obwołało F. S. Dmochowskiego, jako najzaciętszego wroga nowszej poezji naszej! Tak nie było, jak widzimy. To też gdy sędziwy ten, a pełen zasług pisarz w roku zeszłym zakończył życie, Antoni Edw. Odyniec (*Kronika Rodzinna* w Nrze 12 z r. 1871) nad świe-

zą mogiłą zgasłego, w pośmiertnym wspomnieniu, ze szlachetnym oburzeniem na te zarzuty wyrzekł:

„Jestto fałsz! i niech mi wolno będzie słowem szczerę a bezstronną prawdę, zdjąć zeń tę plamę krzywdzącej potwarzy. A sądzę, że mam prawo do tego, nie tylko jako ostatni świadek i uczestnik polemicznych owego czasu zapasów, ale i jako stojący w nich zwykle pod sztandarem przeciwnego obozu.“

Dziennik Warszawski, którego redakcyę objął Jan Kazimierz Ordyniec, przetrwał dłużej niż *Biblioteka polska*. Wychodził bez przerwy w zeszytach miesięcznych, zasilany głównie pracami Joachima Lelewela i K. Wł. Wójcickiego. Co do poezyi, w harmonijnej zgodzie obok sonetu: *Do Niemna* Mickiewicza, i utworów Maurycego Gosławskiego, Alexandra Chodźki, Juliana Korsaka, Padurry, i *Melodyj ukraińskich* Michała Grabowskiego, drukowano tchnące duchem klasycznym wiersze rozmaite. Gdy *Hulak Artemowski* po małorossyjsku naśladuje balladę Mickiewicza: „Pani Twardowska“, *Ferdynand Chotomski* daje ustępy z *Eneidy* Wirgiliusza, trawestowanęj. Nie mogło być inaczej, bo żaden redaktor nie był w możności płacenia jakiegokolwiek *honorarium* autorowi, każdy z piszących oddawał chętnie darmo swoje prace.

Nie zapomnę nigdy słów J. K. Ordynca, które wyrzekł do mnie, ukazując obszerny rękopism drobnym maczkowym pismem Lelewela: *O Bibliotekach*:

—„Patrzcie, co za skarby wiedzy i nauk!.. przyszedł sam do mnie i prosił, ażeby tę pracę co najprędzej drukować. Daje to darmo, kiedy za granicą kupionoby rzecz taką na wagę złota!“

Wydawnictwo *Dziennika Warszawskiego* doprowadził do końca 1829 roku, i na 18tym tomie go zamknął, mając prenumeratorów stu sześćdziesięciu trzech.

W walce toczonej, dopiero w 12tym tomie (z r. 1828) dał znakomitą rozprawę Michała Grabowskiego p. n. „*Myśli o literaturze polskiej*.“ Jestto ten sam słynny estetyk i krytyk, autor *Koliszczyzny i stepów*, *Stannicy Hulajpolskiej*, *Literatury i krytyki*, oprócz wielu innych, któremi wzbogacał w kilkanaście lat późniejszą literaturę naszą.

W tém piśmie wystąpił pierwszy raz jako poeta: z „*Melodyami Ukraińskimi*“, które wysokie są wartości, i naznaczone prawdziwem natchnieniem poetycznym, a zarazem jako estetyk z pomienioną rozprawą.

Młody, pełen zapału zwolennik nowej szkoły, wstępuje w otwarte szranki, i śmiało rzucając rękawicę już wystraszonemu klasykom, piórem jak maczugą *Wyrwi-dębu* wywija na wszystkie strony, i bije na wszystkie strony.

Wyrywano sobie z rąk do rąk te zeszyty *Dziennika Warszawskiego*, w których była ta rozprawa, zarówno jak *Melodye* Grabowskiego. On pierwszy *Maryę* Malczeskiego postawił obok *Grażyny*, za nim szczegółowo piękności tego poematu rozwinął i uwydatnił Maurycy Mochnacki. F. S. Dmochowskiemu słuszuie policzył do *umiarkowanych*: „którzy chcieli obiedwie szkoły pogodzić, i wyszukawszy jak im się zdawało, punkt średni, ztąd już ogłaszali swe zdania, prawdziwie nacechowane niepewnością, tego chwiejącego się i na niczem nie opartego stanowiska.“

Wstęp swój do téj rozprawy w tych słowach zaczyna:

„Niemasz nikogo, kogoby nie zastanawiał dziwny fenomen: że u nas krytyka literacka nie zdążyła za postępem literatury, i w czasie kiedy wszędzie w innych literaturach wyraźnie widać, jak teorye i mniemania literackie wpływają, prawie kierują pracami poetów u nas, przeciwnie, geniusz poezyi ciągle się wznosi i rozwija, nie dając się nawet doścignąć krytyce z poziomego stanowiska, którego się ta uparcie trzyma. W przeciągu ostatnich lat kilku, widzieliśmy wychodzące następnie na widok publiczny: *Grażynę* i *Dziady* Mickiewicza, *Maryę* Malczeskiego, *Sonety Krymskie*, ślady coraz piękniejszego rozwijania się talentu naszych pisarzy, bogactw naszego języka i literatury; tymczasem krytyka (*patrz czasowe pisma peryodyczne*) została zawsze ta sama, mierna i bezuślowna, niedbała w naglądaniu za chodem sztuki; a jeżeli kiedy i zwróciła na nią uwagę, to zamiast wznowienia się razem z pracami poetów, częściej starała się ją sprowadzać w swoją niską sferę i według swojej niedostatecznej skali rozmiarzać.“

Po tym wstępie rozwija z niezwykłą erudycją i znajomością rzeczy obraz literatury, a głównie poezyi w całej Europie. Drwi i słuszuie z owych *sztuk rymotwórczych*, któ-

re klassycy przyjęli za swój *Koran* literacki, ale umie oddać cześć prawdziwej zasłudze. Tak podnosi prace estetyczne Kazimierza Brodzińskiego:

„Kursa literatury krajowej przez tego profesora słyszane na prelekcjach Uniwersytetu Warszawskiego, obiecują nam dzieło pełne równie wdzięku jak uczoności, interesu jak wagi, systematyczne i wypracowane, jakim się mało który naród pochlubić może. Słyszeliśmy już rozbiory wielu naszych pisarzy, wszędzie uważanych ze strony nowej i charakterystycznej; słyszeliśmy głębokie i prawdziwe uwagi nad chodem naszej literatury, a imię autora które się spotyka wszędzie, gdzie u nas w tym zawodzie co użytecznego zrobiono, jest nam rękojmią, że szczęśliwie zaczęta praca, wytrwale dokonana będzie.“

Otwarcie uderza na ballady Mickiewicza, zarzucając im, że zbyt trącą cudzoziemszczyzną, i dodaje: „Mickiewicz to uczuł, i porzucił swoje ballady.“ Szuka M. Grabowski dla poezyi narodowej żywiołu w poezyi ludowej, ale sam jeszcze niema jasnego w tej rzeczy widzenia; zarazem zwraca się z całym oburzeniem przeciw dwom powagom klasyków, a głównie przeciw Ludwikowi Osińskiemu, i Kajetanowi Koźmianowi.

„Jeden z naszych klasyków (mówi Grabowski) nie wahał się powiedzieć na publicznej prelekcji, że takie tragedye jak Szyllera, może każdy student napisać! na to nie potrzeba komentarza. Jest między śmiesznościami natury ludzkiej, że o niczem tak chętnie nie mówimy z pogardą, jak o tém, czego nie rozumiemy. Drugi znowu z tych wielkich (swojem własnem zdaniem) pisarzy, oświadczył jeszcze wyraźniej swój wstręt ku wszelkim postępom wieku i sztuki. Mówią, iż on się przechwalał, że od czasu kiedy w szkołach uczuł się zdolnym rozumieć Horacyusza, już nie otwiera żadnego społecznego obcego ani narodowego poety, bojąc się, żeby sobie nie popsuł i nie skaził smaku. To zdanie byłoby tylko zabawne, gdyby nie ukazywało zdala ułożonego, całego systemu przesądów literackich. Jakto? Dzisiaj kiedy ktokolwiek raz tylko z oka spuścił chód i postęp wyobrażeń, już zaraz po kilku latach, mógł się zobaczyć bardzo w tyle stanowiska wieku; dzisiaj ten klasyk chce nam narzucać swoje pomysły, które nie dojrzały od czasu szkół? Jakto? z temiżto opó-

źnionemi, innego świata wyobrażeniami, on myśli osiągnąć wpływ, który w rzeczy samej, powinien mieć poeta nad swymi współczesnymi. Na szczęście, wiek nie daje się zatrzymać złowróżbami klasyków z takowego chodu prognostykami, i może się zabawnie zdziwić, że kiedy właśnie ukończą doskonalic i oczyszczać smak, gładzić i poprawiać, przez trzy razy dziewięć lat, swoje klasyczne utwory, wtedy wiek już będzie tak daleko, że im nie zostanie ani jednego czytelnika, dla tych arcydzieł smaku. My notujemy takowe zdania jako ciekawe pomniki obłędu, w jaki fanatyzm systemu może wprowadzić.“

Grabowski pierwszą część tylko tej rozprawy ogłosił drukiem, którą uważał sam jako przedwstępne uwagi do skreślenia historii naszej literatury; w niej miał rozważyć wiek Zygmuntów, Stanisława Augusta, i nową literaturę, ale opuściwszy Warszawę już tego zamiaru nie spełnił, i umilknął przed rokiem 1830.

IX.

W nowym kierunku coraz się więcej pojawiało młodych poetów i pisarzy. W roku 1828 wychodzi w Warszawie powieść poetyczna Seweryna Goszczyńskiego: „*Zamek Kaniowski*“ która wywołała nowy zachwyt romantyków — a niesłychane oburzenie klasyków.

Utwór ten, tak różny od wszystkich jakie się dotąd pokazały po poezyach Mickiewicza, wyczerpał tych ostatnich resztki cierpliwości. Zaczęli więc chórem przypominać rozprawę Jana Śniadeckiego o *klasycyzmie i romantyzmie*, a z niej o owych *dubach smalonych*, uwiecznionych w wierszu Mickiewicza „*Romantyczność*.“

Sceny krwawe *Zamku Kaniowskiego*, wstrząsające nerwowo do głębi najzapaleńszych romantyków, dzikie i ponure postacie hajdamaków, i straszny obraz *Koliszczyzny* odmalowany z całą prawdą, którą jeszcze roziskrzyły barwy poe-

tyczne, obudzały podziwienie w obu szeregach przeciwników. Klassycy za cel szyderstwa i dowcipkowania, brali *rozmowę puszczaków*, to pieśń wabiącą *Latawca* „*Wyplłyn, wypłyn z za obłoku!*“ niezwracając bynajmniej uwagi na mnóstwo ustępów zachwycających, które mniej uprzedzonych zajmowały. Franciszek Morawski, jedyny z klassyków, który pojmował toczącą się walki ważne następstwa dla rozwoju literackiego, nietylko w poezji, ale i innych gałęziach, szczególnie był zachwycony owym rzeczywiście najwznioślejszym ustępem, gdy *Nebaba*, z wierzchołka starego dęba, rozpatruje krajobraz, i przywodzi sobie na pamięć chwile lat dziecinnych, przy ogniskach *Kupały* (Sobotki).

Z prawdziwym zapalem, rad w kółku poufniejszych, deklamował część z tego wspaniałego obrazu, gdy poeta mówi:

„Kogóż ten widok, kogo nie zachwyci?
Kiedy, nad otchłań pogńębienia wzbici,
Krażymy po niej wspomnieniem współ-bożem,
A, bliżsi nieba, czuć wyraźniej możemy,
Ześmy na samém dwóch sfer pograniczu,
W swojej kolebki, w ojczyzny obliczu.
Weselsza dusza żywił tu promieni,
Jaśniej tu czyta w literach z płomieni,
Któremi wieczny, w tle chaosu cieni,
Do swój potęgi dziedzictwa ją wpisał:
Z przed tronu Boga głośnieć tu dolata
Śpiew, co ją w łonie wieczności kołysał:
Głuszej tu jęczy płacz nizkiego świata!
Na dół, do ziemi, smutku kwef ponury,
Na dół westchnienie co zawichrza duszą,
Łzy, sercu ciężkie, na dół tu ciec muszą,
Jak nawałnice, i deszcze i chmury,
Płyną do ziemi, od niebieskiej góry!”

A deklamacją swoją kończył temi słowami:

— Daje wam słowo honoru, że to prawdziwie klassyczny utwór, chociaż romantyk pisał, ale nasi klassycy ani tak wysoko wzniesić myśli, ani tak pisać nie umieją.

Jak Goszczyński wprowadził nowy żywioł nad-Dnieprzański, w żelaznych postaciach swoich bohaterów, krwią

i dymem pożogi dyszących, stawając w przeciwieństwie z melodyjnie śpiewnym J. Bohdanem Zaleskim, tak w dwóch następnych latach pojawiają się poeci szkoły romantycznej, w innych zupełnie sferach szukających treści i natchnienia do swoich utworów.

Pierwszym *Alexander Chodźko*, któremu dał chlubny rozgłos Mickiewicz, *improvizacją* swoją w 1825 roku wypowiedzianą, w której świetną mu przyszłość przepowiadając, a sobie zgon rychły, wyrzekł te słowa:

... ty latać będziesz,
Adam gdy ginie, ty żyjesz:
Na jego tronie ty kiedyś siedziesz,
Jego się blaskiem okryjesz!

Takie polecenie twórcy *Dziadów*, wpłynęło na uprzejme przyjęcie młodego poety.

W Petersburgu wydał on swoje *poezyje*, (drukem Karola Kraya 1829 r.). Mieści się tu zbiór pieśni *nowogreckich* które przypisał Mickiewiczowi: *Derar* powieść wschodnia w dwóch *kasydach*, i drobniejsze utwory, jak elegije, ballady, piosnki, już oryginalne już tłumaczone.

Jakkolwiek Mickiewicza przepowiedni nie uiszczał Chodźko, a po twórcy *Grażyny*, J. B. Zaleskim i Goszczyńskim stał o wiele niżej, i pod żadnym względem nietylko porównania, ale nawet zbliżenia nie było, pomnożył on szereg zawsze, coraz liczniejszych poetów romantycznych.

W następnym roku, w Petersburgu także, wyszły *poezyje Juliana Korsaka*, przypisane A. Edwardowi Odyńcowi przyjacielowi lat młodych. W zbiorze tym, więcej znajdujemy utworów oryginalnych jak w poprzednim. Są tu elegie, liryki, listy i drobne wiersze, ale obok tego, przekłady z Lorda Bajrona, z Horacyusza, ułamki z poetyki *Widy*, w końcu tłumaczenie ody *Pindara*.

Jeżeli klassycy niechętném okiem spoglądali na poezye Chodźki, teraz zgodnym hymnem chwalili Korsaka, tak ich ujął za serce przekładem ubóstwionego Horacyusza, i odą greckiego pieśniarza.

— Romantycy (mówili z radością między sobą) już powoli zwiijają chorągiewkę: — w miejsce głupich ballad i romansów, wracają do naszego Horacyusza: poczekajmy, a śladu po tej wichurze nie będzie, i ci sami zapaleńcy uderzą czołem przed powagą *naszej* klassyczności!

Równocześnie, bo w tym samym roku kiedy w Warszawie pojawił się *Zamek Kaniowski* Goszczyńskiego, w Wilnie ukazały się dwa drobne tomiki, poezji *Jozefa Massalskiego* (w druk. A. Marcinowskiego 1828 r. w 18-ce). Młody ten poeta, lubo nie należał wcale do romantyków, a treścią swoich utworów, jak i ich formą był czystym klassykiem, i u jednych i u drugich znalazł serdeczne przyjęcie. Z pierwszymi łączyły go ściśle stosunki przyjaźni i koleżeństwa, u drugich miał mir do razu, że ich *kodeksu* pilnował. Massalski, z poetyczną duszą, odmalował się najlepiej w *obrazku czerwonym*: a niewdając się w spory literackie, pisał jak umiał, i to comu natchnienie kazało. A miał wielką łatwość w wierszowaniu, i oddaniu myśli pełnych prostoty a z serca płynących. Kilka jego pieśni były wielce popularne, i śpiewano je wszędzie (1).

W dwóch pomienionych tomikach najwięcej jest bajek, z których wiele przypomina Krasickiego; po nich powieści, listy i drobne wiersze. W młodocianych latach, walczył jako żołnierz na Kaukazie i tu zakończył życie. W wierszu pełnym rzewności „*poranek w obozie*” maluje swoje marzenia i uczucia duszy. Budzi go ze świtem, nie głos słowika,

„Nie roje wdzięcznie w wonnych dolinach dzwoniące;
Nie wietrzyk, co na miękkiej wypieszczony łące,
Zapłochło igra z rąbkiem złotowłosej Zosi,

(1) Szczególniej upowszechnioną była piosnka z odpowiednią melodyą, pełna naiwności; której początek:

Dalibóg że powiem mamie,
On coś złego zrobić gotów:
Jęczy, wzdycha, ręce łamie,
Klnie potęgę mych przymiotów!
Nazwał serce moje lodem,
Wzrok sztyletem! jeszcze kłamie,
Że ja jego łez powodem:
Dalibóg że powiem mamie!

Szepcząc liściom o wiosnie, szum w gajach roznosi,
Lub hula w chłodnych falach i świeżością dmucha:
Lecz tu, gromem, co z paszczy ognistej wybucha,
Siarczystym émiąc wyziewem zorzy twarz nieśmiałą,
Ogłosiło dnia powrót, obudzone działo”.

Przyjaciele i koledzy, rozrzucone utwory w wiosnie życia zgasłego Massalskiego zebrali razem i po jego zgonie te dwa tomiki wydali.

X.

Jeżeli przewrót zupełny już nastąpił w pojęciach o poezji, i przewagę stanowczą wziął romantyzm, pobratymcza jęj gałąź i tak ściśle z nią złączona *powieść*, w dwóch swych rodzajach wydatnych, jako powieść *obyczajowa* i *historyczna*, zaczyna nabierać życia, rozwoju coraz większego, aż dochodzi do tego znaczenia, że staje się jednym z najgłówniejszych żywiołów duchowego pokarmu.

Weźmiemy najprzód pod uwagę powieść obyczajową, a mówiąc o niej musimy spojrzeć na ustrój *naszej* społeczności, do której myśli i potrzeb stosowała się ta gałąź literatury; napomknęliśmy już lekko powyżej o powieści: tu szerzej należy nam się zastanowić, nad drogą którą przebiegała, zanim stanęła na dzisiejszym stanowisku.

Koniec wieku XVIII odcisnął właściwe sobie piętna, jeżeli nie na całej społeczności, to przynajmniej na najważniejszej jęj części, bo na niewiastach polskich.

Chociaż po dworach wiejskich, przy braku dróg dobrych i trudniejszej komunikacji, przy zamykowaniu do życia ziemiańskiego, i przez silną jeszcze tradycję, utrzymywał się jeszcze stary zwyczaj i obyczaj, młode pokolenie kobiet naszych, pomimo czulej troskliwości matek, już wybiegało myślą poza szranki dotąd nieprzebyte. Mówimy tu najprzód o kobietach, które właśnie wywołały powieści w *naszej* literaturze, mężkie bowiem pokolenie gdzieindziej zwracało myśl swoją.

W drugiej połowie XVIII stulecia, nowe idee zrobiwszy wyłom w pojęciach dawniej uświęconych, nowe wyprowadzają

postacie kobiet polskich. Lekkomysłność, wzajemna zdrada po ślubie, upędzanie się młodych mężatek z najwyższych sfer, za własną niesławą, współzawodnictwo zapalczywe w odbijaniu sobie kochanków, byle wysoko stojących na szczyblu społecznym, to rzeczy zwyczajne tego okresu. Ginie w takim natłoku burzliwych namiętności czyste uczucie, prawdziwa miłość odbiera pociski szyderstwa: pałały głowy przy ostygniętych sercach. W takim położeniu moralnym, wyrabia się *egzaltacja*, niemająca żadnego związku z sercem, *egzaltacja* rozbujaną wyobraźni, i prosta gra krwi gorącej.

Ze zdrowego pokolenia zdrowa dziatwa nie znająca nerwowego rozstroju, zaczyna wynajdywać sztuczną chorobę *spazmów*. Zaledwie się w jednym i drugim pałacu w Warszawie pokazała, przechodzi w epidemię. Do spazmów, czy je poprzedzały czy były ich następstwem, łączyły się *migrena*, *wapory* i drzenie serca; a rzecz to godna uwagi, że ta choroba pojawiała się wtedy, kiedy jej było potrzeba. Każde niezadowolenie młodej piękności, każdy opór jej woli i zachciankom, sprowadzały ją natychmiast, i nie ustawała prędkiej, aż póki, jak pogańskie bożyszcze, drogą jaką ofiarą przebłaganą nie była. Doktorzy ówczesni zbierali obfite teraz żniwo: spieszyli gorliwie z troskliwą pomocą, a posiadając zaufanie licznych pacjentek, umieli doświadczeniemi lekarstwami przynosić im ulgę.

Jeżeli mąż czynił żonie jakie wyrzuty, mając mocne podejrzenia, lub też dowody w rękę; jeżeli żona szukała powodów, ażeby męża pobudzić do większego uniesienia, lub rozczulić *amanita*, albo dać mu odprawę; jeżeli zapragnęła nowego pojazdu, salonowych brylantów i zbytkowego stroju, spazmy były jedynym na to wszystko środkiem. Straszna to była chwila i zamieszanie w całym *pańskim* domu, gdy pani dotknięta została przerażającymi spazmami. Służba biegała po wszystkich pokojach, niosąc rozmaite przybory ratunku, karetą galopem przywoziła doktora, mąż z załamanemi rękoma w rozpacz, spoglądał z załzawionemi oczyma na umierającą swoją piękność!

Wojciech Bogusławski, pierwszy twórca teatru polskiego, świadek tego objawu choroby, która coraz szersze przybierała rozmiary, pragnął bronią satyry ze sceny powstrzymać jej rozwój, ale długo się wahał wyjawić na deskach

teatralnych tajemnicę spazmów, wiadomą dotąd tylko samą płci pięknej i uprzywilejowanym jej lekarzom. Wypadek następny przyspieszył wykonanie tego zamiaru, jak sam Bogusławski opowiada.

„W grono artystów dramatycznych (pisze w *Dzielałach dramatycznych* T. 2. r. 1820), niedawno policzona panienska, przy pięknej postaci, powabnej twarzy, i świeżych młodości wdziękach, tak niezgrabną, nieczułą i niezdatną do sztuki scenicznej okazała się przy początkowych rolach, że cała publiczność żałując mocno uprzyjemniających ją natury darów, jednomyślny wydała wyrok, iż nigdy i do żadnej roli nie będzie zdatną. Chociaż nie pierwszy już raz udało mi się było, z nieczyniących żadnej nadziei, wystawić później ulubionych publiczności artystów, wyznać wszelako muszę, że i sam o ulepszeniu wspomnioną młodą aktorkę, wątpić zaczynałem, kiedy wchodząc raz do jej pomieszkania, zastałem u nóg jej kochanka w rozpacz pogrążonego, onę zaś najstraszliwsze drzenie serca tak przewybornie udającą, że zdawała się być w ostatnich konwulsjach śmierci! Spojrzawszy na mnie wzrokiem który w uśmiechu twarzy, udanie choroby potwierdził, dała mi sposobność poznania jak wybornie i naturalnie podobne spazmy wystawiłaby na scenie. Siadłem nieodwłocznie do pióra, a w skończonej w przeciągu dwóch miesięcy komedyi: *Spazmy modne*, umyślnie dla niej napisaną rolę *Starosciny*, doskonale wprzód wypróbawszy jako aktorkę, w pierwszych rolach grać zaczynającą, wystawiłem na scenę. Nie potrafię opisać zadziwienia i zadowolenia patrzących, równie jak doskonałego przez tę młodą osobę wystawienia rozlicznych sposobów uczuć, jęków, wzdychań i konwulsyj, które zdawały się wyrzucać serce z jej piersi. Tysiącami uwielbiona oklaskami, lepsze sama o sobie powziawszy rozumienie, występowała później w głównych rolach.“

Komedya *Spazmy modne*, napisana i w Warszawie przedstawiona w roku 1797, z zapalem przyjęta przez publiczność, wszędzie gdziekolwiek się ukazała, ściągnawszy na autora wiele zagniewanych spojrzeń i dotkliwych przycinków; przetrwała nakoniec burze, a jak wszystkie rzetelne prawdy, rzuciwszy światło na tajemnicę modnej choroby, ośmieszywszy ją, powstrzymywała od jej zaraźliwości. Ta jednak przesadna społeczność niewieścia, wraz z modną Francją

wzdychała do klassycznej *Sielanki*! Była w powietrzu jakaś wilgoć łązawa, która rozwadniała wszystko. Uległo jęj wpływowi i męzkie pokolenie, głównie téż poeci. Dusze ich otwierały się do jakiejś nieokreślonej nadziei: snom pasterskim, dziecinnyim rojeniom, dekoracya sielska zakrywała wszystko, gdy na Bożym świecie odgrywał się krwawy dramat i huk dział zwyciężkich Napoleona I-go, zwiastował dla jego chorągwi zwycięstwa coraz świetniejsze. Na takięto dekoracyi przesuwaly się postacie słodziuchnego *Floryana*, którego dobrze nazywał *Diderot: Floryanetkiem*. *Gesner* roztkliwiał Niemców swymi sielankami; romanse *Floryana* uważane u nas były jako arcydzieła. Na czele ich stała *Galatea* tłumaczona na język polski: poważny *Staszic* zajął się przekładem *Numy Pompiliusza*. *Galatea* czy w oryginalnie spoczywając na buduarze damy wyższej, czy w tłumaczeniu skrycie przechodząc przez ręce pensyonarek i panien *respektowych*, po dworach pańskich, czy wpadła pod strzechę skomianą ziemianina, wyciskała wszędzie potoki łez rzewnych, rozbudzając zarówno silnie uczucia serca jak w późniejszych latach *Gustaw Mickiewicza*. Romanse *Pani de Genlis*, nie skromne powieści *Pani Cottin*, z miłośkami *Napoleona*, tłumaczone skwapliwie, rozpięrały się w tysiącach egzemplarzy i to nie tyle z księgarń naszych, jak głównie ze straganów przykościelnych, gdzie leżały zgodnie obok *Gorzkich żalów*, pieśni pobożnych i ksiązek do nabożeństwa, wraz z paciorkami i krzyżykami poświęcanými.

Potrzeba czytania wzrastała coraz więcej, ale przy upowszechnionęj znajomości języka francuzkiego w wyższej warstwie społecznej, zaspakajano ją sprowadzaniem romansów z Paryża. Ci, dla których ten język był nieprzystępnym, karmili się przekładami.

W braku powieści oryginalnych, powoli wyrabiało się przekonanie, popiérane przez zwolenników klassyczności francuzkiej, że nasza mowa niezdolną jest do wydania uczuć miłości i delikatnych odcieni w grze tego uczucia.

Liczba romansów tłumaczonych nie małą była do 1806 r. Wyszedł zbiór ich obejmujący kilkanaście tomów, i wtedy pojawiła się pierwsza oryginalna powieść Cypryana Godebskiego p. n.: „*Grenadyer-filozof*“. Ale pomimo tego, że sam autor nazwał ten utwór *powieścią*, jestto raczej ustęp z pa-

miętników lub wspomnień, bo główną myślą jest przedstawienie ponurego grenadyera francuzkiego, z pozoru zimnego i mało okrzesanego jako człowieka, który pod tą grubą i chropawą zewnętrzną powłoką, ukrywał serce pełne uczuć szlachetnych i łatwo dostępne miłości.

Nastąpiła długa przerwa, bo dziesięciu całych lat, w których znowu od czasu do czasu, lecz rzadziej pojawiają się powieści tłumaczone, a wychodzące głównie w Krakowie. Czasy wojenne nie sprzyjały rozwojowi literatury. W przekładach ta uderza wybitna różnica, że sielanka pasterska blednieje i znika, a jęj miejsce zajmują powieści więcej dramatyczne, nieraz przeładowane niesłychanými okropnościami.

Pierwszą prawdziwie oryginalną polską powieścią jest *Malwina* czyli *domysłność serca*: wyszła z pod prassy w roku 1816, a jak chlubnego doznała przyjęcia najlepiej dowodzi, że w te czasy, kiedy handel księgarski był u nas w powijkach dziecięcych, Natan Glücksberg nakładca, musiał powtarzać jęj edycye w latach 1817, 1821 i 1828 (1).

Autorka w przypisaniu na czele umieszczoném *do brata*, z całą skromnością tak pisze o swęj *Malwinie*:

„Niema ona innęj zalety nad tę, że w ojczystym języku pierwszym jest w tym rodzaju romansem; gdyż romanse *Krasickiego*, *Jezierskiego* i wielu innych opisują zwyczaje naszych ojców i dziadów, lecz bynajmniej nie malują obrazu teraźniejszego społeczeństwa. Ten obraz w *Malwinie* nie jest ani doskonałym, ani dokończonym; lecz będąc pierwszym wzbudzi może ciekawość, przebiegającym te kart kilka przypomni, że niema tego rodzaju pisma, do którego język polski nie byłby zdolnym, i wtedyto, co moja dobra chęć nastreścić chciała, wyższa czyja umiejętność dokona.”

W tym wstępie uderzy każdego ta wątpliwość, o której jużemy wyżej napomknęli: czy język ojczysty zdolnym jest do wszystkich potrzeb duchowych, czy może być odpowiednim organem dla rozwoju narodowęj literatury? Takie

(1) Zaledwie ukazała się *Malwina*, w roku następnym wyszedł jęj przekład francuzki. W roku 1822 *Anna z Krajewskich Nakwaska* ogłosiła nowe jęj tłumaczenie francuzkie w Paryżu. Przekład rossyjski ukazał się w Moskwie 1834 roku.

to zapomnienie odkryło arcydzieło XVI stulecia, takie pojęcie miała owoczesna społeczność nasza!

Autorka w dalszym ciągu przemowy tłumaczy się, że powodem do ujęcia pióra i skreślenia romansu, był brak w naszym języku tego rodzaju utworów, i jakby proroczym duchem przepowiada wysokie znaczenie w przyszłości powieści.

„Zdaje mi się (mówi dalej), że przepisy prawdy i nauk, które pod pokrywką zabawy, w dobrym romansie znaleźć można, więcej nieraz przekonywają, aniżeli suche morały obnażone z ponęt ciekawość wzbudzających, a do czytania których, mało kto się nawet porywa. W romansach zaś, w tych szczerych obrazach społeczeństwa, każdy niemal znajdując zdarzenia podobne tym, których doświadczał, uczucia sercu znajome, błędy w które wpadał, namietności jakie nieraz w pożyciu spotykał; mimowolnie zajmuje się tém opisaniem: porównywa, rozważa i częstokroć skutkiem tych rozważ czynionych bez uprzedzenia, staje się to w głębi serca przekonanie, że w jakiegokolwiek doli, w jakimkolwiek wypadku, *działać dla cnoty, jestto pewniejszym nad wszelkie inne sposoby, działać dla szczęścia*.”

Owóż tu mamy wyraźnie cel powieści określony i jej wpływ przeważny, jeżeli umie godnie odpowiedzieć swemu zadaniu.

Malwina, nie tylko jako pierwsza powieść oryginalna zasługuje na uwagę, ale jako utwór artystyczny, postawiony we właściwych ramach swego okresu, wysoką ma wartość, maluje nam albowiem wiernie kółko społeczności arystokratycznej, do którego sama autorka należała (1).

W cztery lata po pojawieniu się *Malwiny* wyszła powieść p. n.: *Nierozsądne śluby, listy dwojga kochanków, na brzegach Wisły mieszkających, przez F. B. zebrane*. (Warszawa 1820 roku. Nakładem Zawadzkiego i Węckiego w dwóch tomach z dwoma stalorytami). Jestto pierwszy utwór głośnego później autora *Pojaty*, *Feliksa Bernatowicza*. Autor powieść swoją przenosi do czasów Henryka Wale-

(1) Marya z Czarteryskich księżna Wirtembergaska, w rok po *Malwinie* wydała *Pielgrzyma w Dobromilu* (1817 r.). Urodzona 1768 roku, zmarła 1854 licząc osiemdziesiąt sześć lat życia.

zyusza; ale tło historyczne jest tak blade, jak i wszystkie postacie, w niczem nie przypominające tak odległe wieki. Są to raczej figury z początków naszego stulecia i to z okresu podniesionego uczucia do egzaltacyi, którego ostatnim wyrazem była powieść Stefana Witwickiego *Edmund*, łącząca w sobie stare czułości z Floryańskiej doby, z naśladownictwem niektórych postaci Byrona.

Po czternastoletnim spoczynku w rękopiśmie, autor *Ludgardy*, tragedyi z wielkiem powodzeniem przedstawionej na scenie teatru narodowego w Warszawie, wydał swój romans: „*Julia i Adolf czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru*.” (Warszawa. Nakład N. Glücksberga 1824 r., dwa tomy). Zaczyna myśl obywatelska kierowała piórem zasłużonego autora; widzimy to z przemowy do czytelnika.

„Romans ten napisałem w roku 1810, do czego wiele miałem powodów, a między innemi i ten, że powszechne wówczas było uprzedzenie pici pięknej, iż nasz język nie jest zdolnym wydać tkliwych uczuć delikatnej miłości, dla których język francuzki, zwłaszcza w *Nowej Heloizie* zdaje się być stworzonym. Dzięki autorce *Malwiny* i innym mówą ojczyzną piszącym polkom, że tak szkodliwy narodowości przesąd, znikać u nas zaczyna” (1).

Położywszy za godło na czele ten dwu-wiersz Stanisława Trembeckiego (z *Syna marnotrawnego*):

„*Ten kto jest zdolnym uczuć najczystsze kochanie,
Albo już jest pocziwy, albo nim się stanie.*”

W dalszym ciągu swój przemowy, dla zjednania sobie przychylności czytelników, tak mówi o swoim utworze:

(1) Kropiński w końcu tej przemowy pisze: „Abym nie był posądzony o przywłaszczanie sobie myśli cudzych, winienem ostrzedz czytelnika, iż rękopism tego romansu, wkrótce po napisaniu, znajdował się w ręku autora pisma pod tytułem: „*Nierozsądne śluby*”. Porównywając te dwie powieści, przyznajemy że tak być musiało, bo widocznie Bernatowicz naśladował romans Kropińskiego, mimoto, więcej życia, więcej ciepła, więcej prawdy w *Nierozsądnych ślubach* widzimy. Różnicę tę wytłumaczyć możemy głównie tém, że Kropiński pisał swą powieść, zaczynając piąty krzyżyk wieku, gdy Bernatowicz, *Nierozsądne śluby*, należał do utworów lat jego młodych.

„Biada każdemu romansowi, a tém bardziej mojemu, jeżeli przyjdzie pod sąd samego tylko rozumu i zimnej rozrągi. O pismach serca powinno wyrokować serce, kierowane dokładną znajomością serc ludzkich.”

Odwołanie się do tkliwości czytelników nie było daremne. Romans ten niesłychane znalazł powodzenie, najpród w salonach pań naszych, a następnie w całym grodzie wykształconej społeczności. Całe wydanie w ciągu kilku miesięcy wyczerpano z handlu księgarskiego.

Dla dzisiejszych krytyków tak świetne powodzenie tego utworu Kropińskiego jest podziwem i niezrozumiałym zjawiskiem, ale my świadkowie owych czasów i nastroju społeczności naszej, pojmujemy dobrze tak zadziwiające teraz przyjęcie romansu: *Julii i Adolfa*. Stanowił on bowiem przejście od ckiej francuskiej sielanki, do prawdziwych, lubo wyegzaltowanych uczuć, wielu nawet upatrywało pewne jego zbliżenie do *Nowej Heloizy* J. J. Rousseau.

Gdziekolwiek się obrócił slyszales tylko najwyższe pochwały *Julii i Adolfa*: sami byliśmy świadkami scen rzewnych, jak przy czytaniu tych listów kochanków wlewano potoki łez, jakie łkania rozlegały się nietylko pomiędzy piękną, ale rozczulało niemniej i męskie pleię.

Ale prędko to zachwycenie przeminęło wśród walki klasyków z romantykami, społeczność nasza zaczęła uczuć prawdę w życiu i słowie, i nabierać poznania do prawdziwego piękna artystycznego. Mgłość sielankowa, a po niej chorobliwość uczucia, wraz z filozofią Woltera i ateizmem, które w wielkiej części głów panowały, powoli ulatniały się, jak mgła gęsta przed promieniami słońca.

Na czele nowego zwrotu powieści oryginalnych, po autorce *Malwiny*, stoją dwaj dobrze zasłużeni literaturze krajowej mężowie, *Julian Ursyn Niemcewicz* i *Fryderyk hrabia Skarbek*. Pierwszy utworami jak: *Dwaj panowie Sieciechowie* (1825 roku), „*Lejbe i Sióra*“ (1821 roku), a w końcu *Janem z Tęczyna*; drugi powieściami humorystycznymi jak *Pan Antoni* (1821 r.), „*Podróż bez celu*“ (1821 r.). Szczególniej téż najznakomitszą ze wszystkich w tym rodzaju „*Pan Starosta*“ (Warszawa 1826 roku, dwa

tomy) ubogacili tę niwę. Pomimo to, przyznać z całą bezstronnością należy, że prawdziwemi, że się tak wyrażę, *fundatorkami* powieści obyczajowej są nasze niewiasty. Po księżnie Wirtembergskiej, która swoją *Malwiną* wyprzedziła wszystkich, staje *Elżbieta z hr. Krasinśkich Jarczewska*, która trzema powieściami znakomitej wartości i najszlachetniejszych dążeń: *Zofia i Emilia* (1827 roku, dwa tomy) „*Wieczór adwentowy*“ (1828 roku, dwa tomy) i *Pierwsza miłość, pierwsze uczucie* (1829 roku, cztery tomy) jedno z najwybitniejszych stanowisk jako powieściopisarka zajęła. Prawdą uczucia i zdrowej myśli, jak postaciami wziętymi ze swęj społeczności, wiernie odmalowanymi, stała się wzorem w tym rodzaju dla następnych pisarzy i zatarła pamięć *Adolfa i Julii* jak i *Nierozsądnych ślubów*. Zakończy ten okres powieściopisarstwa, który się zamyka z 1830 rokiem, *Klementyna Tańska*, późniejsza *Hoffmanowa*, redaktorka „*Rozrywek dla dzieci*“ i autorka „*Pamiętki po dobrej matce*“ W pierwszych, do powieści należą: „*Listy Rzeczyckiej*“ i *Dziennik Franciszki Krasinśkiej*. Główną postacią w tym *dzienniku*, jest Franciszka Krasinśka córka Stanisława, starosty nowomiejskiego, tajemnie poślubiona dnia 4 listopada 1760 roku Karolowi księciu kurlandzkiemu, synowi Augusta III (1). Autorka opisuje przygody téj młodej piękności, i zarazem stawia nam obraz tamtych czasów, tak cudownie ubarwiony kolorytem właściwym, że zdaje się każdemu z czytelników iż żyje w téj dobie, widzi wszystkie wruch wprowadzone osoby, rozmawia z niemi i spolem bawi. Przez zamęczenie swoje, zdawało się że piękna Krasinśka los świetny zrobiła; tymczasem życie jęj dalsze, było pełne trosk i umartwień, i ono jest treścią tego *dziennika*. Tańska swęj cudny, a tak prawdą tchnący właściwych czasów koloryt, to malowidło wierne, tak jak Skarbek i późniejszy Rzewuski (*Soplica, Listopad*), zawdzięcza tradycji żywego słowa. Szczęśliwym trafem poznała wiele osób w sędziwych już latach, które znały zbliżka bohaterkę téj po-

(1) Franciszka Krasinśka, w której się kochał Kazimierz Pułaski i wiernym jęj do zgonu pozostał, zmarła w Dreźnie dnia 30 kwietnia 1796 r. Małżonek jęj, który zatrwał życie całe nieszczęśliwej Krasinśkiej, w kilka miesięcy w tymże roku umarł, i osierocił jedynaczkę, która w rok po śmierci rodziców poślubioną została księciu Sabaudzkiemu Karolowi de Carignan.

wieści, w opowiedzianym dramacie same miały udział i wypadki ważniejsze, jak i drobne szczegóły w świeżej zachowały pamięci. Tak bogaty materiał mając autorka pod ręką, umiała z niego korzystać i z wielkim talentem pisarskim ułożyła całość, która pomiędzy jej pracami małe arcydzieło stanowi.

XI.

Druga gałąź powieści historycznej, pojawia się równocześnie w tym okresie walki romantyków z klasykami, a nie spodziewanie, i coraz większego nabiera znaczenia. Zapal ku niej co chwila się potęguje i występują zaraz liczni pracownicy. Ten rodzaj tak zajmujących utworów, zawdzięczamy jedynie i wyłącznie *Walterskottowi*, który na początku naszego stulecia, po zbiorze ludowych ballad szkockich (1802 r.) a następnie ogłoszonych poematach, wystąpił w roku 1814 jako romansopisarz z *Waverlejem*, biorąc osnowę do historycznych powieści z dziejów swjej ojczyzny Szkocji. Z poematem jego *Pani Jeziora*, pierwszy nas zapoznał Karol Sieńkiewicz, jak już mówiliśmy: z przekładem dwóch innych (*Pin dwóchset wysep* — i *Matylda Rokeby*) Wanda Malecka 1826, jakkolwiek tłumaczenia jej prozą, zaledwie tylko były w stanie treść ich tylko oddać.

Powieści historyczne *Walterskotta*, w staranniejszym przekładzie dał Fr. S. Dmochowski. Najprzód wydał w trzech tomach *Ryszarda Lwie serce* (1826 r.), a gdy ujrzał jak skwapliwie utwor ten rozchwytno, postanowił ogłosić prenumeratę na tłumaczenie romansów *Walterskotta*, i znalazł jak na owe czasy niesłychaną liczbę prenumeratorów, bo do 3000 dochodzącą. Od roku 1827 do 1830 wydał następne: *Więzienie w Edyμβurgu*, *Purytanie Szkoccy*, *Narzęczona Lamermoru*, *Iwanhoe czyli powrót krzyżowca*, *Hetman z Chester*, *Waverlej* czyli lat temu sześćdziesiąt: wogóle wydał tych przekładów tomów dwadzieścia dziewięć. Rodzaj zachwyty porwał młode umysły; zawiązała się spółka pomiędzy trzema przyjaciółmi: *Zygmuntem Krasieńskim*, *Dominikiem Magnuszewskim* i *Konstantym Gaszyńskim*, którzy po wspólnym planie w ułożeniu wielkiej historycznej powieści, zaczęli

nad nią pracować. Owocem tych usiłowań był: *Władysław Herman i dwór jego*, w 3 tomach, ogłoszony drukiem w roku 1829.

Miałem niemałą rozrywkę patrząc na *Magnuszewskiego* i *Gaszyńskiego* skurczonych, i ślęczących nad starymi kronikami, gdy *Krasieński* z rozognionem obliczem, rzucał im rozdziały napisane przez siebie. I w tym utworze składkowym, ustępy porywające zapalem poetycznym, odbijające wśród innych, są pióra *Krasieńskiego* i *Magnuszewskiego*. *Gaszyński* samodzielnie napisał powieść historyczną „*Dwaj Szreniawici*” (3 tomy), *Krasieński*: „*Zawiszę Czarnego*”. *Szreniawici* wyszli z pod prasy nakładem autora (przy pomocy F. S. Dmochowskiego który je w swjej drukarni odbił), rękopism zaś *Zawiszy*, bezpowrotnie zaginął. *Magnuszewski* wziął się do historycznego dramatu po studiach nad *Wiktorem Hugo*, którego całęm sercem ukochał.

Tłumaczenia te romansów historycznych *Walterskotta*, wyprzedził *Julian Ursyn Niemcewicz*, powieścią historyczną *Jan z Tęczyna* (Warszawa 1825 r., trzy tomy). *Natan Glücksberg* wydał ją swoim nakładem, zapłaciwszy autorowi ogromną sumę i niepraktykowaną dotąd, bo 500 dukatów złotem obrączkowym. Ale hojność ta sownie mu się opłaciła, bo zaledwie wiadomość rozbiegła się po Warszawie że powieść ta już jest do nabycia, w ciągu niespełna sześciu godzin we własnej księgarni sprzedał jej 500 egzemplarzy każdy po 24 złp. ówczesnej monety. *Niemcewicz* pojmował dobrze znaczenie i wartość historycznej powieści, a zarazem z jakim zasobem wiadomości dziejowych, dopiero do jej pisanja przystępować należy. Wzór najlepszy i przykład miał w twórcy genialnym tego rodzaju utworów w *Walterskocie*. W latach młodości zbierał on pieśni ludowe i stare podania, zwiedzał rozmaite swjej ojczyzny miejscowości, rozpatrywał je, ażeby cudnem piórem czarowne ich widoki i pejzaże odmalować. Obok tego oznajmiał się z dziejami przeszłości, z życiem domowem, starożytnościami krajowemi. Z tak ogromną dopiero wiedzą, zabrał się do pisanja romansów historycznych, a przy wrodzonym geniuszu, nie dziwno, że do razu znalazł poklask całego świata i wywołał mnóstwo we wszystkich krajach naśladowców. *Niemcewicz* lubo bez talentu wielkiego *Szkocji* pisarza, ale w równą niemal zaso-

bny wiedzę co do dziejów i tradycji swego kraju, w sędziwych dopiero latach wziął się do pisania romansu historycznego.

„Zważywszy (pisze w swój przemowie), jak od lat kilkunastu, we wszystkich krajach dzieła rodzaju tego chciwie są czytane, podobnież ziomkom moim przysłużyć się umyśliłem. Jakoż wielu zgodzi się ze mną, że rodzaj ten z pożytkiem, przyjemnością i zabawę łączy. Jest on, iż tak rzekę, uzupełnieniem objaśniającem surowe i poważne dzieje.

„Historia wystawia nam ważniejsze Królestw wypadki, zapisuje rozkazy monarchów, czyny przedniejszych podwładzów i wodzów, poruszenia na dworach monarchów: zawsze na szczycie wysokości; nie zniża się ona do prywatnych towarzystw, nie wchodzi nigdy do poziomych ludu lepiank.

„Romans historyczny bierze za cel obraz towarzystwa narodu jakiego, w wybranej przez autora epoce. Pisarz wchodząc w nim w szczegóły zbyt drobne dla dziejopisa, wystawia nam ludzi wszelkiego rzędu i stanu. Wszystkie osoby tego dramatu, nie tylko czynami, mową nawet, powinny nam dać poznać, jakimi było towarzystwo, polityczne kraju położenie, jego oświata, opinie, namiętności, przesady nawet: powinny nas przenieść w owe czasy, pomiędzy siebie, słowem dać nam żyć i obcować z sobą.

„Obrałem czasy Zygmunta Augusta w połowie XVI-go wieku, jako jedną z najświetniejszych epok naszych.“

Okres ten rzeczywiście podaje się zarówno dobrze pod pióro romansopisarza jak i poety. Nie brak bowiem już bogatych materyałów, rozjaśniających nie tylko same dzieje, ale życie wewnętrzne narodu, zwyczaj i obyczaj. Rej, Jan Kochanowski, Górnicki, współcześni, rzucają nam całemi garściami drogocenne szczegóły życia domowego, malują z wiernością fotograficzną postacie rozgłośnie działające w tych czasach. Niemcewicz, cały romans osnawał na tle ściśle historycznym — w zakończeniu tylko nie był jej wiernym. Jan z Tęczyna podług dziejów schwyty na morzu Bałtyckim, przez okręta Duńskie, umarł w więzieniu w Kopenhadze: w powieści spada ze skały na samotnej wyspie i kończy życie.

Jeden z przyjaciół zaufanych Niemcewicza objaśnił mnie, że wbrew historii dla tego poszedł, iż chciał w postaci swe-

go bohatera, i ostatniej jego chwili przedstawić los kraju za Napoleona I-go, ale tej myśli autora, ogół bynajmniej nie zrozumiał.

Powieść ta, nie tylko jako pierwsza historyczna, ale jako dająca wierny obraz czasów, które przedstawia rzeczywistością swoją, stać będzie zawsze na czele w tej gałęzi utworów.

W rok później, bo w 1826 ukazał się romans historyczny Feliksa Bernatowicza: „*Pojata córka Lezdejki, albo Litwini w XIV wieku*“ w 4ch tomach. Godło na czele położone:

„*Po jednej stronie błyszczą świątyni szczyty,
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiej stronie na pagórku wbitą
Krzyż.*“

zwiastuje, że treścią tego romansu są obrazy dwóch plemion, dwóch społeczności: chrześcijańskiej i pogańskiej. Młody autor „*Nierozsądnych ślubów*“ wszedł teraz na poważniejsze pole i z całą sumiennością zabrał się do nowego zawodu. Jakoż *Pojata* okazuje staranne studia jakimi zbadał gruntownie stan Litwy bałwochwalczej i stosunki jej ówczesne, a lubo główna bohaterka przypomina wiele *Rebekę z Iwanhoe* Walterskotta, nie ujmuje to wartości tego utworu. Romans ten znalazł do razu niemały rozgłos, całe pierwsze wydanie rozchwytało w ciągu kilku miesięcy, a choćód czysty jaki autor zebrał, wynosił do tysiąca dukatów (1).

Właśnie pod owe czasy zjawia się nowy pisarz historycznych romansów, oficer wojsk polskich *Aleksander Bronikowski*, ale piszący po niemiecku. Pierwszymi zaraz utwo-

(1) *Pojata* miała kilka wydań. Ostatnie za życia autora wyszło w Puławach w drukarni bibliotecznej 1829 r., w czterech tomach. W roku 1828 wydał romans z dziejów Polski: *Nałęcz* w 2-ch tomach, ale ten nie dorównywa w wartości *Pojacie*. Z małych powiastek tego autora zasługuje na wspomnienie, pełen artystycznej wartości obrazek p. n.: *Powódź* wydany w ogólnym zbiorze: „*Powieści z podań i obyczajów krajowych*.“ Nieszczęśliwa miłość do słynnej i pełnej talentu piękności w Warszawie, była powodem obłąkania umysłu: zakończył życie mając rok 49 wieku, w samej sile dojrzałości talentu, zwiastującego znakomitego autora romansów historycznych. Umarł w roku 1836, pochowany w Łomży na cmentarzu miejskim, pod skromnym nagrobkiem z napisem: „*Tu leży Feliks Bernatowicz, autor Pojaty.*“

rami pozyskał sobie głośne imie, zarówno w całych Niemczech jak i w kraju, albowiem bezwzględnie zaczęto wszystkie jego romanse tłumaczyć. Od roku 1827, a zatem zaraz w rok jak po niemiecku drukował, do roku 1830, wyszły przekłady romansów historycznych Bronikowskiego: *Mysza wieża na jeziorze Gople* (tłumaczenie Fr. Królikowskiego, autora *Prozodyi polskiej*); *Hipolit Boratyński i Zawieprzycze*, w przekładzie J. K. Ordyńca, redaktora Dziennika Warszawskiego; *Jana Kazimierza Wazy więzienie we Francyi* (tłumaczenie Adryana Krzyżanowskiego); *Elekcyja, Olgert i Olga czyli Polska w XI wieku*; *Pretendenci*, powieść z początku XVIII wieku, i *Jan III i dwór jego, czyli Polska w XVIII wieku*.

Widzimy z tego jak *romans historyczny* zaledwie się ukazał, rozrasta się w niezwykłych rozmiarach i jak przychylne znalazł przyjęcie. Nietylko on zapalił młode wyobraźnię, ale porwał za sobą i najpoważniejszych klasyków. *Franciszek Wężyk*, autor tragedji oryginalnych po kroju klasycznie-francuzkim, pierwszy z niewykłm zapaletem rzucił się do pisania romansów historycznych, i w roku 1828 wydał ich dwa: *Władysław Łokietek czyli Polska w XIII wieku* i „*Zygmunt z Szamotuł, powieść z XIV wieku*” każdy we trzech tomach. W jego ślady poszedł i Fryderyk hr. Skarbek, ale te powieści nie wytrzymają porównania z *Janem z Tęczyna* i *Pojatą*, tak są pozbawione właściwej barwy historycznej swoich czasów, jak i wyprowadzonych postaci na scenę działania. Pomnożyły one ilość nie jakoś oryginalnych historycznych romansów. I nie mogło być inaczej, gdy *nauka starożytności*, wyjaśniająca szczegóły domowego życia, zupełnie nie była znana. A jakże się powieść historyczna bez nich obyć mogła. Brak było tego, że tak nazwę historycznego *inwentarza*, który drobnostkowo opisuje dom i ognisko domowe, sposób życia, zastawę, potrawy i napoje, ubiór, konie z *rzędami* pod jeźdźcą i do zaprzęgu pojazdów; ubiory i zbroje, jak kształt i przystroj komnat, tak szlacheckiego dworu jak pałacu magnata, lub warownego zamku można-władcy, czyli *Panoszy*, jak dobrze panów w dawnych wiekach, nazywa heraldyk *Paprocki*.

Brakowało objaśniających i wyczerpujących monografij, czy do wydatnych postaci dziejowych, czy miejscowości, które wspomina historia.

Pisarze tego rodzaju powieści, znajdowali maluczkie tylko pomoce w coraz rozwijającej się literaturze krajowej. *Tomasz Święcki* dał *Opis Starożytnej Polski*, *Franciszek Wężyk*, ogłasza swój poemat: *Okolice Krakowa*; *Ambroży Grabowski* w roku 1822 pierwszy *Opis Krakowa*; *Feliks Bentkowski* daje bibliograficzny spis *literatury polskiej*; *J. U. Niemcewicz*, najdrogocenniejszy w tym kierunku *Zbiór pamiątek o dawniej Polsce*. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk ogłosiło z rękopismu pierwszy tom *Historyi narodu polskiego* Adama Naruszewicza i z niego też Bernatowicz obficie czerpie zasoby do swój *Pojaty*, jak Niemcewicz do *Jana z Tęczyna* ze zbioru własnych *Pamiątek*. Dopiero w ostatnich latach tego okresu ukazały się cztery tomy *Łukasza Gołębiowskiego*: *Lud polski*, *Dwory*, *Ubiory*, *Gry i zabawy*, które miały za przedmiot starożytności krajowe, ale żaden z powieściopisarzy historycznych korzystać z nich nie potrafił.

XII.

Przy końcu zaciętą i wrzącą z początku walki klasyków z romantykami, która blisko lat dziewięć trwała, zaczynając się od r. 1822, po otrzymaném zwycięztwie ostatnich, i zgnieceniu francuzkiego klasycyzmu, ostygła zawziętość, wróciła rozważa i stosunki przyjazne pomiędzy wrogami pierwsiastkowo obozami, lubo nienawiść do utworów klasycznych w całej się sile utrzymywała.

Poważni pracownicy, nie poeci, ale oddani badaniom dziejów krajowych i naukom ścisłym, nie mogli darować Mickiewiczowi rozprawy „O krytykach i recenzentach warszawskich,” ale godzili się z nim, bo ich umiał przeprosić *Konradem Walenrodem*, *Sonetami*, i wielu drobniejszymi poezyjami, szczególnież też wierszem „do *Joachima Lelewela*.” Nie mogli się wszelako pogodzić, na tę zuchwałość innych młodzików co z krytyką rzucali się ostrą, na pierwsze powagi naukowe.

Nie zapomnę tej chwili, kiedy w *Gazecie Polskiej* ukazał się rozbiór wydanego tomu *Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk*. Nazajutrz odbieram kartkę, od mecenasa *Tomasza Święckiego*, autora *Opisu Starożytnej Polski*, i członka tegoż

Towarzystwa, zapraszającą ażebym co rychlój mógł się z nim zobaczyć. Zaledwem drzwi otworzył, ujrzałem go chodzącego po pokoju w niezwykłym rozdrażnieniu. Gdy mnie zobaczył, uściskawszy zapytuje:

— Czytałeś krytykę na Rocznik naszego Towarzystwa?

— Czytałem.

— A to *smyk* zuchwały!

Nic nie odrzekłem: tym *smykiem* był Maurycy Mochnacki. Świątki z uniesieniem mówił dalej.

— Towarzystwo dziś odbyło nadzwyczajne posiedzenie, i zdecydowało nic nie odpowiadać; — zbyć tę zjadliwą krytykę pogardliwem milczeniem. Uchybiałoby godności Towarzystwa wdawanie się w polemikę z młokosem, który jeszcze żadnych zasług niepołożył, a zaczyna swój zawód literacki od szermierstwa krytyką.

Starałem się uspokoić głębokie wruszenie sędziwego prawnika, a jednego z najgodniejszych ludzi. I udało mi się to szczęśliwie, przechodząc z tak drażliwego przedmiotu, do pojawiających się prac historycznych.

W pośród tych drażliwych nieraz swarów literackich, dwóch pisarzy stało niedotkniętych nigdy ostrzem pióra krytyki: *Juljan Ursyn Niemcewicz*, i *Jan Woronicz*. Były to dwa ogniwa duchowe łączące wiek XVIII z naszym stuleciem. Cała szkoła romantyczna miała ich w wielkiem poszanowaniu, i uznawała ich powagę i stanowisko wyniosłe jakie w kole naszej społeczności zajmowali.

Niemą do zgody i uciszenia wrzawy obustronnej przyłożył się młody naówczas a dziś nestor naszych poetów *Antoni Edward Odyńca*, wydawnictwem Noworocznika p. n. *Melitele* (1). Przyjaciel od serca Mickiewicza i towarzyszy jego lat wiosnianych z ławy szkolnej, postanowił w tym roczniku zespolic pisarzy, z obu dotąd wrogich dla siebie obozów. Stosunki jakie miał ze wszystkimi literatami ułatwiły mu wielce to zadanie. W r. 1829 wydał pierwszy *Noworocznik* (2).

(1) W mitologii prusko-litewskiej *Melitele*, była boginią kwiatów i zieloności.

(2) *Melitele Noworocznik* . . . Wydany przez Antoniego Edwarda Odyńca. Warszawa, w drukarni A. Gałęzowskiego. 1829 (w 16-ce, str.

W przemowie swój wyjaśnia powody dla których przedsięwziął to wydawnictwo.

„Od trzydziestu przeszło lat, zaprowadzone w Europie i we wszystkich jej, oprócz naszego, krajach, coraz tłumniej pod różnemi tytułami i w rozmaitych celach zjawiające się *Almanaki*, podały mi myśl przysłużenia się lubownikom literatury ojczystej, upominkiem podobnego rodzaju.

„Przedsiębiorąc wydanie niniejszego Noworocznika, miałem na celu nie tak zwykłe przeznaczenie Almanaków, aby za wiązanie w dzień *Nowego roku* służyły, jak raczej korzystając z chlubnej dla mnie znajomości, dobroci lub przyjaźni, znakomitszych w kraju naszym pisarzy, starałem się o nadanie mu literackiej wartości, a umieszczając w nim obok siebie płody rozmaitych autorów, chciałem go uczynić niejako skazówką rozmaitego ich charakteru i dążenia.“

Ten ton umiarkowania, ten szlachetny spokój jaki z tej przemowy A. E. Odyńca odbijał, wpłynął przeważnie na przychylne przyjęcie jego Noworocznika. Widzimy obok siebie utwory tak poezji jak prozy: Brodzińskiego Kazimierza, Chodźków Aleksandra i Ignacego, dwóch Fredrów Aleksandra i J. Maksymiliana, Antoniego Góreckiego, Konstantego Gaszyńskiego, Stanisława Jachowicza, Juliana Korsaka, Józefa Korzeniowskiego, Józefa Lipińskiego, Mickiewicza, Morawskiego Franciszka, J. D. Minasowicza, J. U. Niemcewicza, samegoż A. E. Odyńca, Klementyny Tańskiej, Stefana Witwickiego, i Józefa Bogdana Zaleskiego.

W roku 1830 wydał drugi Noworocznik. W nim oprócz już wymienionych pisarzy, pojawiły się utwory Woronicza, L. Żukowskiego. (Pierwsza rozprawa po Z. D. Chodakowskim: „*O zwyczajach i obyczajach naszego ludu.*“) Seweryna Goszczyńskiego, i Krystyna Lacha Szrymy. Tu wiele najpiękniejszych poezji J. B. Zaleskiego mamy, i znakomity *Fragment*, Józefa Korzeniowskiego, który powszechną zwrócił uwagę na tego młodego poetę.

Oba te Noworoczniki, wkrótce wyczerpane zostały z obiegu księgarskiego. W żadnym śladu niemamy nowej

254). Zdobi go litografowane popiersie Józefa Lipińskiego. *Rok drugi*, w początkach 1830 roku wydany, w tymże formacie, z popiersiem *Jana Pawła Pawęża Woronicza* prymasa królestwa Polskiego, obejmuje str. 236.

pracy Ludwika Osieńskiego, który tłumacząc się zajęciami katedry swojej, już oddawna nic nie pisał, spoczywając na dawno zdobytych laurach, wierny dawnym swoim zasadom, jako *Ostatni klasyk*.

W tych dwóch właśnie latach w których Noworocznik „*Melitele*,“ ogłaszał A. E. Odyniec, Kazimierz Brodziński występuje z nowymi pracami swojemi.

W roku 1829 wydał *Elegie Jana Kochanowskiego* z łacińskiego przełożone, a w roku 1830, „*Pisma rozmaite*“ tom pierwszy: oba dzieła nakładem własnym.

Elegie poprzedza przedmowa, a w niej najwyborniej skreślony żywot wielkiego poety XVI stulecia. Służyć on mógł za wzór mistrzowski, jak się biografie pisać powinny, i stawał w rażącej sprzeczności, z owymi *pochwałami* zmarłych, ściśle wedle klasycznej formy pisanych, z których się Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk otrząsnąć do téj chwili nie zdołało. W każdej z nich piszący *pochwałę* silił się nie na to, ażeby wierny podać życiorys zgasłego męża, i odzwierciedlić jego postać i charakter, ale ażeby popisać się z własną wymową, mniej dbając o główny przedmiot.

Brodziński, wielbiciel gorący Jana Kochanowskiego, a zbliżony do śpiewaka Czarnolesia, uczuciami serca i prostotą, zabrał się z zapałem do tego tłumaczenia, pragnąc jak sam wyraża oddać: „hołd drogiej jego pamięci.“

Rzuca tu myśl potrzeby, przekładu celniejszych poetów polskich co po łacinie pisali, którą później w wiele lat podjął i urzeczywistnił Władysław Syrokomla.

„Powszechności dzisiejszej (pisze dalej Brodziński) zwróconej do smaku Anglików i Niemców, do poezji sentymentalnej, niemoże się podobać dawny naśladowca starożytnych, połączenie miłości opiewający, pełny zużywanych obrazów greckiej mitologii. Każdy jednakże wiek ma swoje zalety i wady, swoje oddzielne cechy: naszemu zaś ta jest najwłaściwsza że wszystkie płody ludzkiego rozumu i uczucia, umie oceniać według ducha narodu i czasu, który je wydał; że się chroni wady i pedantyzmu, i nie rodzaj, ale wartość poezji ocenia. Kiedy Anglicy obok czci dla Szekspirów i Byronów, dziś wydają i tłumaczą łacińskich poetów chrześcijańskich, kiedy w Niemczech, we Francji i Holandji, gdzie nowi poeci, zapomnienie dawniejszych w obcym języku piszących,

usprawiedliwiaćby mogli, poszukiwane są nowe tychże wydania i przekłady: godzien jest równie pamięci Jan Kochanowski, który pierwszy

„Wdarł się na górę pięknej Kaliopy,
Gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy.“

Pierwszy tom *pism* obejmuje rozprawy „O życiu i pismach Karpińskiego.“ „O Fabianie i Birkowskim, „O Satyrze i Elegii,“ „O Krytyce,“ w ostatku „o Egzaltacji i Entuzjazmie.“ Dwie te rozprawy wywołały ostre recenzje, które tak zraziły Brodzińskiego, że dalszego wydawnictwa zaniechał. Daremne były zachęty przyjaciół. „Niech ta burza przemienie (mówił do mnie) co tak umysłami wstrząsa, i zaślepia na prawdy wiekuiste; przyjdzie czas, że uznają, iż to com napisał, wynikało z głębi moich przekonań i serca.“

W pierwszej „o krytyce“ ustęp następujący zamykający całą rozprawę, był szczególnie napastowany.

„Ja sądzę (pisze Brodziński) że ani możnością jest krytyki, ażeby genialnych i oryginalnych poetów tworzyła; jej rzeczą jest tylko dać ich poznać i uczuć publiczności, ze względem na smak, to jest na czystą prawdę i zgodę rozumu z czuciem. Geniusze są tylko darem Opatrzności dla narodu, nie skutkiem jego woli i starań; one owszem należą do świata całego, ziomkowie niemają często prawa niemi się szczycić, ale rzeczą i chwałą całego narodu jest dążność ku szlachetnym celom, zdrowe czucie piękności: to jest własne jego dzieło, owoc oświecenia i cel krytyki.

„Geniusz nie da się wywołać, ani opinie nagle narzucić. Z pochodnią zwolna postępować należy, ażeby się ję światło w dym nie zamieniło. Myśleć i czuć głęboko nie może wszyscy, ale staraniem naszym być powinno, myśleć porządnie i czuć zdrowo: w tém powołaniu jest krytyka zawsze zbawiennym przewodnikiem, jeżeli nie talentów samych, to publiczności. Talenta same mogą zły albo dobry ję smakowi nadać kierunek, pierwszy prostować, drugi utrzymywać, jest obowiązkiem krytyka; publiczność zawsze prędkiej w smaku postąpi, niżeli geniusze na oklaskiwanie krytyków wywołać się dadzą i unieść zdołają.

„Jeżeli poetę w twórczym usposobieniu *Muza* prowadzi, niech przewodnikiem krytyka będzie *Minerwa*: nie w swojej

nadludzkiej postaci, która ęmi oczy śmiertelnych, nie z głową *Gorgony*, którąby nieprzyjaciół w kamienie obracała, ale w ludzkiej *Mentora* postaci, w której przyjaźnią z *Telemakiem* złączona, naprowadza go, ostrzega, samym pożytkiem jego zajęta, i sam tylko zastosowany rozum objawia; niech wraża razem miłość ku ojcu i synowi, niech zagrzewa starą ociężałość, i młodzieńcze uniesienia miarkuje, niech usiłuje, aby za jęj przewodnią jeden i drugi różnemi drogami zdążyli do jednego celu, do ziemi ojczyściej. Niech obadwa poskromią fałszywych Penelopy zalotników, i uwodzicieliw samej niedoświadczonej czeladki; a najwięcej niechaj obadwa, wzbogaceni światłem u obcych ludów zebraniem, ulepszą gospodarstwo, ale nie niszczą drzew dawnych dla nowych szczepów, niech szanują wspólnie bogi domowe, niech syn rzeźwiejszy wyręcza ojca, niech dalej postępuje, ale niech cnoty patryarchalne szanuje, niech dumnie nie ogłasza się panem.“

Ton ten umiarkowany, szlachetne i zdrowe myśli, nie znalazły miru u młodych krytyków. Ale ostrzej jeszcze, i z większą zaciekłością uderzyli na rozprawę „o *Egzaltacyi i entuzjazmie*.“

Jak w powyżej przytoczonym ostatnim ustępie, nie podołało się porównanie do Mentora i Telemaka, tak tu raziła ich gorąca obrona Brodzińskiego, z jaką wystąpił, za wiekami starożytną helladę; Brodzińskiego okrzyknięto za wroga *zapału i entuzjazmu*: z jakiegoż powodu? Oto z tych słów które w końcu tej pracy wypowiedział:

„Niech, jak chcą teoretycy rozprawiają o zupełnej metamorfozie człowieka po zniknięciu starożytnych, podług których miał się na wyrót przemienić; my przyznajmy, że mu tylko wyższych wyobrażeń i więcej gotowości przybyło. Są to wszystko zabytki mistycyzmu i przebujałości wschodniej, napuszystości zbytku i zepsucia Rzymian, sofistów greckich, barbarzyńców północnych, połączonych z wynaturzonym ludem starożytności, sektarzów i szkolników późniejszych, egzaltacyi samotników i szału ogłupionych rycerzy. Spaczone uczucie, krzywe wyobrażenia, sztuka sprzeczna naturze nie mogły wydać czynów ani utworów prawdziwie wzniosłych i pięknych. Całe późniejsze dążenie było tylko wydobywaniem się z tego stanu; największe więc charaktery i geniusze, nie mogły być bez znamion tych, lub owych. Staroży-

tni w ograniczeniu do najpiękniejszej swojej epoki doskonalili czysto od natury dane im siły, mogli przeto więcej mieć niedoskonałości, niżeli wad przeciw naturze; późniejsi musieli pozbywać się fałszu i razem ku wyższej dążyć doskonałości. Tamci zawsze będą doskonałym wzorem, ci wielkimi przykładami. Jak Danta Wirgiliusz, tak starożytni zawsze poetów w świat nowy poezji wprowadzać będą. Anglicy, naród najoryginalniejszy w charakterach i geniuszach, najwyższą ceną klasyków i na nich się kształcą.

„Chrześcijaństwo, które wiarę maluje i miłość, owe jedne zasady szczęścia za powinność ogłasza, wykazało przez nie najpiękniejszą zgodę rozumu i czucia i pogodę wyobrażeń. Są to, śmiałym powiedzieć, trzy chrześcijańskie *gracye*, którym poeta, jak filozof, ofiarę składać powinien. Ku prostocie nie wiedzącej o sobie, wzniosłości i uroczystej pogodzie ze wszystkich bezdrożów, kiedyś zdążymy.

„Ludy słowiańskie a w szczególności Polacy, nigdy nie dzieliły szału i obłąkań, jakie od zepsucia Rzymian, tak długo smak i uczucia moralne kaziły; obok z innemi ludy dążyły ku ukształceniu lecz wydobywały się jak starożytne ludy, z ciemnoty przecież nie z zepsucia. Dziś jeszcze mimo tylu przeważnych wpływów cudzoziemszczyzny, którym jako niższe w oświeceniu, muszą hołdować, dochowały odrębną swą cechę: miłość natury, umysł pogodny i wesołą rezygnację, jedyny entuzjazm, miłość swęj ziemi, wrodzoną skromność i obyczajność, zdolne jedynie do prawdziwego wykształcenia. Z tego własnego gruntu ciągnąc soki ożywcze ku rozkwitnieniu swojemu, niech się żywią powszechnym światłem wszystkim ludom przyświecającem, lecz niech strzegą zarazy przelotnej z stron obcych.“

Nie wiem zkąd, ale Brodzińskiego stawiono, jak bałwochwalczego stronnika sielankowości w poezji czy dlatego, że dał jedną z najpiękniejszych sielanek w naszej literaturze, jakim jest i będzie *Wiesław*? To uprzedzenie podzielał i sam Mickiewicz, gdy w usta literata warszawskiego, tę przymówkę do Brodzińskiego, w kilka lat później podał:

„Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi:
Śpiewać naprzykład, wiejskich chłopców zalecanki,
Trzody, cienie — Słowianie, my lubim sielanki.“

Wyliczyliśmy cały już poczet poetów i pisarzy, którzy w tym okresie odznaczyli się na niwie literackiej. Pozostaje nam jeszcze wspomnienie słynnego śpiewaka z téj doby, którego pieśni były wielce upowszechnione, i w każdym niemal domu powtarzane. Melodye do nich łatwe a śpiewne, popularyzowały je jeszcze więcej.

Przed pojawieniem się Mickiewicza, już te piosenki rozbiegały się jak jaskółki lotne i przylegały do strzech naszych domowych. Nigdzie nie były drukowane, znano je tylko w rękopiśmie, a melodye z posłuchu chwytało. W tymże roku 1822, gdy pierwsze wydanie wileńskie poezyi twórcy *Dziadów* ukazało się u nas: Ludwik Osiński dyrektor ówczesnego Teatru Narodowego otrzymał od autora tych pieśni *Stanisława Doliwy Starzyńskiego*, który w nich przybrał nazwę *Stacha z Zamiechowa*, rodzinnego po ojcu gniazda, przekład dramatu *Grillpartzera*: „*Matka rodu Dobratyńskich*“ i wystawił go na scenie tegoż teatru. Dramat ten wyprzedził o lat kilka pojawienie się na tychże deskach *Precyozy* Minasowicza. Główne role Osiński rozdał pierwszym ówczesnym artystom. Starego *Hrabiego na Dobratyniu* grał Szymanowski (dziad dzisiejszego artysty dramatycznego), *Klarę* jego córkę słynna *Leduchowska*, *Bolesława Anczyc* (ojciec znanego pisarza *Władysława*) a głównego bohatera *Jaromira*, *Werowski*.

Znakomity ten artysta, szczególnież zapalił się do téj roli, a zachwycony nią, przybiegł na parę dni przed wystąpieniem do mnie i z niezwykłym zapałem piękniejsze ustępy przedeklamował. Nizkie i skromne ściany mojej stancyjki na trzecim piętrze, pod urokiem téj gry *Werowskiego* zamieniły się w scenę teatru narodowego; tak porwał mnie swoim zapałem i oczarował. Ta chwila oczarowania nie zatarła się dotąd w mojej pamięci.

Przedstawienie ściągnęło tłumy widzów i głębokie wywarło wrażenie na młodem wówczas pokoleniu. Gra pełna prawdy i energii *Werowskiego*, przyłożyła się głównie do tego. Wszystkich uderzyła niezwykła miara ośmio-zgłoskowego wiersza, który jednakże goręcej mógł oddać uczucia miłości, zemsty, bólu i rzewnej tęsknoty, niż owe trzynastozgłoskowe, tak długo w tragediach klassycznych panujące wszechwładnie na scenie warszawskiej.

Teraz dopiero dowiedzieliśmy się że ów *Stach z Zamiechowa*, krórego piosenki tak nas zachwycaly, był tłumaczem *Matki rodu Dobratyńskich*.

Z kilkudziesięciu pieśni jego jakie krążyły w ustach, najulubieńszymi były: *Kowal*, *Maj*, *Słowik*, *Banialuka*, *Obaczmy*, *Do zobaczyska*, *Zostawcie mnie w mojej chatce*, *Paciorek*, *Krakowiak*, i sławna pieśń humorystyczna, *Dyabeł nieboszczyk*, której strofka każda kończy się dwuwierszem:

„Sic est, sic est, ita, ita
Zabił dyabła Jezuita!”

Każda z tych śpiewanek odznaczała się szczerem uczuciem, prawdą a prostotą myśli, oddane wierszem gładkim i potoczystym, a pięknym językiem.

Teraz pierwszy raz usłyszałem nazwisko *Tymka Padurzy* i jego *dumki* ruskie, które równie nie drukowane jak *Stacha z Zamiechowa*, również były popularne.

W Warszawie na *Miodowej* ulicy w dawnym pałacu bankiera *Teppera* a teraz *Grabowskiego*, mieściła się na pierwszym piętrze w jego uboczu kawiarnia, w której się zbierało liczne grono młodych literatów. Tu codziennie w po biednej godzinie spotykałeś *Maurycego Mochnackiego*, *Seweryna Goszczyńskiego*, *Nabielaka*, *Józefa Bohdana Zaleskiego*, *Bronikowskiego*, *Andrzeja Kpcharskiego*, który niedawno wrócił z podróży po krajach słowiańskich odbytej, i wielu innych. *Goszczyński* znał oddawna *dumki Padurzy*, dla nas była to nowość. *J. Bohdan Zaleski*, raz wbiegał z niezwykłą żywością i opowiada nam, że tylko co dostał nowy utwór *Padurzy*. Staje w środku naszego koła a dobywszy rękopism zaczyna czytać. Była to śliczna owa *duma*: „*Roman z Koszary*“, z której pierwsza strofka brzmi w tych słowach:

„Nicz była temna, witer z nyw szerokich
Z łyśtiam w dołyny kotyw czorni chmari,
A misiać czasom z pid nebes wysokich
Liczyw nad Bohom sediaszczi Tatary.”

Trzeba było widzieć i słyszeć *Bohdana*, z jakim zapałem deklamował, jak się unosił nad tym utworem.

Później dopiero miałem sposobność przekonania się, jak nad Dniestrem, Sanem i Prutem, po dworach ziemian naszych, dumki Padurri ze śpiewankami Starzyńskiego, były rozpowszechnione, i jak zgodnie brzmiały przy wtórze ulubionych melodyj (1).

Ruch któryśmy opisali, nie zwykle obudzone duchowe życie, obcemi były dla Ludwika Osińskiego. Zwolennik filozofii Woltera jak i klassyczności francuskiej, obojętnym okiem spoglądał w około siebie, nie pojmując, ani tego ruchu ani nowych idei, jakie zapanowały w świecie literackim. Dla nich miał tylko szydery uśmiech, a w ustach dowcipki nie zawsze dowcipne. Porwany jednak pomimo woli i wiedzy prądem nowych idei ten *ostatni klassyk*, jako dyrektor Teatru Narodowego, *romantyzm* wpierw wprowadził i ustalił na scenie, nim potrafił wziąć przewagę w piśmiennictwie. Nie mała to jego zasługa. Nadto, jako pisarz i poeta znakomitego talentu w pierwszych latach naszego stulecia, wzniosłe zajmując stanowisko, godny na bliższe rozpatrzenie i zbadań prac jego, którymi we właściwym sobie okresie zyskał tak chlubny a zasłużony rozgłos w narodzie.

XIII.

W małym i lichym miasteczku Podlasia *Kocku*, po nad *Wieprzem*, położonym na gościńcu pocztowym z Lublina do Radzyna, dnia 24 sierpnia 1774 roku urodził się Ludwik Osiński z ojca Jana i Barbary z Markowskich. Po ukoń-

(1) W kilkanaście lat później, bo w roku 1844, miałem sposobność poznania bliższego tego poety. Bawił on w Warszawie, gdy przyjaciel jego szkolny, a zarazem i mój kolega Gustaw Leon Glücksberg księgarz, drukował zbiór Padurri poezji, i wydał w drukarni Stanisława Strąbskiego w pięknej edycji z nutami p. n.: „*Ukrainy z nutami Tymka Padurri*” (Warszawa 1844, w 8-ce str. 195). Padurra zajmował się wtedy historią Kozaków i Ukrainy i wiele tu zebrał notat. Czy tę pracę wykończył, jak zamierzał, wedle planu o którym mi rozповідаł, nie wiem. Przekładał poezje Mickiewicza na narzecze ukraińskie, i pozostawił mi na pamiątkę tłumaczenie swoje ballady tego poety: *Albufara*, w którym obok ścisłej wierności zachował całą siłę oryginału. Pisywał i poezje polskie: wyjątki z nich drukowałem w Bibliotece Warszawskiej. Umarł 1872 roku.

czeniu nauk w szkołach księży Pijarów w Łomży, wyższe wykształcenie odbierał wtémże samém zgromadzeniu, którego sukienkę przyjął, i pełnił obowiązki nauczyciela. Nie czując wszakże powołania do tego stanu, wyrokiem dwóch instancji Sądu Duchownego uwolniony, wystąpił z tego zgromadzenia, poświęciwszy się zawodowi nauczycielskiemu.

W dwudziestym czwartym roku życia, idąc za modą literacką ówczesną, wydał *Zbiór zabawek wierszem*(1) w dwóch częściach. Nosząc sukienkę jeszcze zakonną, rozpoczyna je od wiersza p. n. *Bóg!* maluje dalej *Wschód słońca*, *Cztery porę roku*, i różne powszedniej treści przedmioty, wiersz w nich niezwykle gładki, język czysty. Część druga obejmująca *Sielanki*, słabszą jest od pierwszej, chociaż zawsze forma staranna. Osiński sielankami nazwał niewłaściwie drobne wierszyki, które żadnego charakteru tego rodzaju wiersza nie mają, podług kodeksu klassyków francuskich. Ale zasługuje wybijający kierunek ku satyrze i naśladownictwo Krasickiego, na co nie zwracano uwagi.

Nabożny powierzchownie, *Wolne zdania*, *Urodzenie*, *Modnie ukształcony*, *Pan z przemysłu*, *Dziedzic i poddani*, *Sędzia*, *Pieniacz*, *Obmowa* i *niemodna wieśniaczka*, są to wszystko utwory lubo mniejszych rozmiarów jak satyry Krasickiego, ale mogą obok nich dopełniać galeryi charakterów i postaci z końca XVIII wieku, które tak po mistrzowsku odmalował twórca *Myszeis*.

Dla poparcia naszego zdania przytoczymy tu wiersz:

„*Nabożny powierzchownie*”.

„Bernard sztucznie nabożny, sto rozańców zmówił,
I mnie o libertyństwo pobożnie obmówił.
Czemu? żem się nie krzywił, misternie nie stękał,
Czołem nie bił o ławkę, przed kruchtą nie kłękał;

(1) „*Zbiór zabawek wierszem Ludwika Osińskiego. W Warszawie roku 1799. Nakładem i drukiem wdowy Zawadzkiej*” (w 8 ce str. 79). Część pierwsza obejmuje str. 46, druga od 47 do 79. Wydanie to dziś należy do rzadkości bibliograficznych, albowiem autor jak poprzednio F. D. Kniaźnin swoje *Erotyki*, a w okresie, który opisujemy Stefan Witwicki swoje *Ballady* i *romanse*, tak Ludwik Osiński ten zbiór zabawek wierszem, wykupywał i palił, uważając druk ich za niewczesny i ujmę dla siebie.

W post z olejem nie jadłem, a kiedy zagrzmiało
 Nie zawsze zwykłem mówić: „A słowo się stało!”
 Ale nie zdarł biednego z fortunki szlachcica,
 Nie wdzieram się z kąd cudza dzieli mię granica;
 Pieniędzy nie mam w lichwie, a bliźnich w pogardzie!
 Niepomogą rożance i posty, Bernardzie,
 Kiedy serce bezwstydne, a czoło jak z miedzi!
 Nigdy z chciwym zarobkiem pobożność nie siedzi.
 Na co liczyć w tuziny i kopy pacierze,
 A zdradzać przyjaciela, żyć z ludźmi nie szczerze,
 Zdobić ołtarze Boże w pamiętniki złote,
 A gnębić starą wdowę, lub zdzierać sierotę;
 Krzyż w rękę, a ludzkości prawa w poniewierce:
 Bernardzie! świat na pozór, Bóg patrzy na serce!”

Od roku 1801 do 1807 utrzymywał Osiński razem z *Konstantym Wolskim*, znakomitym wówczas pedagogiem, wyższą pensję mężką, która najzdolniejszych uczniów dostarczała dla Liceum Warszawskiego; pisywał do *Gazety Warszawskiej* recenzje teatralne, do *Pamiętnika Warszawskiego* Franciszka Dmochowskiego tłumacza *Iljady* a swego przewodnika naukowego, w którym pomieścił większe utwory swoje, jak wiersz dydaktyczny o *Dobroczynności*, i drugi: *O sztuce aktorskiej*, napisany dla młodej a znakomitej artystki *Ledóchowskiej*, córki słynnej aktorki *Truskulawskiej* (1).

(1) Józefa z Truskulawskich *Ledóchowska*, była za dyrekcji Osińskiego jedyną najznakomitszą artystką sceny teatru narodowego. Natura obdarzyła ją przymiotami niezbędnymi dla aktorki: wzrost wysoki a smagły, noga mała i kształtna, ręce składne, oblicze przyjemne, a oczy szczególnie piękne, czarne, pałające ogniem życia; organ mowy dźwięczny i przyjemny. Do darów z urodzenia przysłała jej w pomoc rada i przestrogi matki, prawdziwie wielkiej artystki. Znałem je obiedwie: *Ledóchowską*, gdy na scenie współzawodniczki nie miała. *Truskulawska* już złamana wiekiem i pochylona; trzęsły się jej głowa i ręce. Nie zapomnę nigdy sceny, jakiej byłem świadkiem. *Ledóchowska* miała zwyczaj spoczywając w łóżku, uczyć się roli, głośno ją deklamując. Przechodząc ze szkoły już po 12 w południe, wstępując odwiedzić ich i słysząc deklamującą *Ledóchowską*. *Truskulawska* daje mi znak ażebym ocho się zachował, a sama wytężyła słuch na dochodzący głos córki z drugiego pokoju. Nagle zerwała się sędziwa matrona, a roztworzywszy drzwi do jej sypialni wchodzi i odzywa się w te słowa:

— Ustępi ten, moja Józiu, inaczej deklamować potrzeba; ja go tak pojmuję. . . .

I staje na środku pokoju, przybierając odpowiednią postać do roli.

W tej chwili zmienia się do niepoznania: głowa i ręce trząsły się przestają, zgarbiona postawa przybiera bujność topolową; na oblicze zmar-

W tym ostatnim, nie możemy pominąć ustępu, co pisze o *deklamacyi*, wskazuje bowiem jak pojmował jej znaczenie, jak wcześniej znał jej tajemnicę, zanim nią zaczął porywać i zachwycać słuchaczy, gdy przemawiał z katedry.

„Nabywaj długą pracą tej silnej wymowy,
 Co rzeczom z siebie pięknym, wdzięk nadaje nowy.
 Umiej myśłą pisarza, głosem odpowiadać,
 Każdemu wyrazowi moc właściwą nadać.
 Niech do górniejszych tonów twój język przywyknie,
 Często w złym wymówieniu cała piękność zniknie,
 Jakże się mam nad sztuką unosić z zapałem,
 Jeślim mało rozumiał, reszty nie słyszałem?
 Tu słuchacz końca rzeczy z uniesieniem czeka!
 Któż wtenczas ciężkie słowa leniwie przewleka?
 Lub skąpy; nieużyty w publicznej potrzebie,
 Zacznie wiersz, dla nas wszystkich, a skończy dla siebie.
 Synowie jednej matki, wzajemnie uczynni,
 Zawsze aktor z autorem wpierać się powinni!”

W roku 1802 został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a w roku 1804 sekretarzem tegoż zebrania. Wtedy na publicznym posiedzeniu, odczytał wyjątek z *Przemian Owidyusza* swego przekładu: „*Mowa Ajaksa i Ullisessa o zbroje Achillesa*”.

szone i blade wybiega wyraz młodości, oczy jaśnieją dawnym życiem, głos nawet ma dźwięk jakiś nieznany, metaliczny, harmonijny.

Oślupiały z podziwienia, wpatrywałem się w tę scenę z zachwyceniem. Po chwili gdy *Truskulawska* skończyła ten ustęp, nagle ręce jej opadły i trząść się zaczęły wraz z głową; postać wyniosła złamała się jak zawsze, na oblicze wróciły dawne zmarszczki i wyraz starości wybił znowu na zwiędłe policzki.

Była to chwila *odżycia*, w której potęga ducha odmładzała organizm artystki.

Ledóchowska wyborną była aktorką w rolach klasycznych tragedji z francuzkiego tłumaczonych, lub oryginalnych polskich na ich wzór pisanych; ale w dramatach nowszych a szczególnie natchnionych duchem romantycznym, wiele traciła, lubo jako *Ledy Makbet*, scenę snu, gdy ze krwi ręce obmywa, genialnie odgrywała.

W komedjach brakowało jej lekkości i ruchu właściwego. Już przy końcu swego zawodu, występowała w roli *Dziewicy Orleańskiej*, ale siły nie odpowiadały. Wtedy ją zastąpiła słynna z wielkiego talentu jak i wdzięków *Leontyna Żuczkowska*, która tak w dramacie jak w komedji przez długie lata była ozdobą i chlubą sceny warszawskiej.

Biegły w języku łacińskim, a przytem mając niepospolity talent do tłumaczeń, znakomicie ten ustęp z *Metamorfóz* przelał na ojczysty język, i liczne zebranie słuchaczy zachwycił nieporównaną swoją deklamacją.

W roku 1805 zwiedził Paryż i Francję, jako nauczyciel i przewodnik w podróży młodego Romana Sołtyka; po kilku miesiącach wróciwszy do kraju, oddał się na nowo swemu zawodowi i pracom literackim.

Z końcem roku następnego po bitwie pod *Jena* nastąpiły zmiany w kraju, w roku 1807 ogłoszono księstwo Warszawskie. Osiński wszedł do składu krajowego zarządu i został sekretarzem Dyrekcyi Sprawiedliwości, a wkrótce potem sekretarzem generalnym w Ministerjum Sprawiedliwości, ostatecznie zaś pisarzem Sądu Kassacyjnego. Miał sobie poruczone zwiedzenie sądów nowo organizowanych, ogólną redakcyę urządzeń form i wzorów do aktów stanu cywilnego, i należał do rewizyi przekładu Kodeksu Napoleona.

„Był to dla niego (jak dobrze wyraża F. S. Dmochowski, w życiorysie L. Osińskiego na czele dzieł jego) podobnie jak dla wszystkich polaków powołanych z zacisza wiejskiego, albo od prac literackich, do urzędów publicznych, nowy rodzaj czynności, w której trzeba było uczyć się kodeksu nadanego krajowi przez Cesarza francuzów, i nie znanych form administracyjnych francuzkich, a zarazem wykonywać czynności z obowiązków urzędu wynikające.

„Osobliwy to był widok! Dla sędziów, pisarzy, obrońców, pozywających i pozwanych, było przewodnikiem nowe prawo, którego sami uczyć się i niezwłocznie stosować je musieli. Zaiste, niemały to jest dowód zdolności umysłowych narodu naszego, że z tak trudnego zadania wyszli bez ciężkich i dolegliwych błędów. Proste uznanie sprawiedliwości, zdrowy rozsądek i gorliwe wypełnianie obowiązków, wsparło ich niedoświadczone kroki. W tym nowym dla siebie zawodzie Osiński odznaczył się bystrością umysłu i trafnym sądem: świadczą o tém wyroki *Sądu Kassacyjnego*, przez niego redagowane i pisane, a znajdujące się w osobnym zbiorze, i w dawnych aktach.“

Zyskał już sobie Osiński poprzednio za *czasów* tak zwanych *pruskich*, ogromny rozgłos, przekładem tragedyi Piotra Kornela *Horacyjusze*. Pierwsze przedstawienie było w poło-

wie przez artystów teatru narodowego, w połowie przez amatorów z wyższego towarzystwa polskiego odegrane. Bogusławski dyrektor teatru, najznakomitszy artysta, jakiego kiedykolwiek aż do owęj pory, scena polska posiadała, grał rolę starego Horacyjusza; Truskulawska, wielka aktorka tragiczna rolę Kamilli: młodego Horacyjusza *Pawłowicz*; Kuryjaczusza, sam tłumacz, rolę Sabiny, Stanisławowa Sołtykowa, małżonka podstolego koronnego i posła na sejmie czteroletnim. Teatr brzmiał nieustannemi oklaskami: publiczność po raz pierwszy słyszała tak piękne wiersze, tak wzniosłe myśli, i nie znany jęj dotąd szlachetny styl dramatyczny. Wywołano tłumacza, a gdy się ukazał, przejęci niepamiętnym zapalem widzowie, podnieśli go na rękach i obnosili, wśród okrzyków uwielbienia (1).

Rok 1809 wykazuje największą działalność Osińskiego na literackim polu; wtedy bowiem dał na scenę teatru narodowego tragedye Piotra Kornela „*Cynne*.“ i od stycznia

(1) Bogusławskiego już w sędziwych latach, widziałem raz w roli *Fryderyka Wielkiego*, drugi raz w starym *Horacyuszu*. Wysokiego wzrostu, twarz rzymskich rysów, ruch każdy szlachetny i właściwy; pomimo tego że już nieco szeplenił, dla braku zębów, głębokie wywarł na mnie wrażenie. O ile przypominam sobie, wystąpienie jego w *Horacyuszach* było ostatnie; a jakież zapal, jaki ogień tryskał z tęg roli! Kiedy w głośniejszej scenie, w której *Kamilla* donosi staremu Horacyuszowi, że syn jego pozostały, uchodził z pola walki: i mówi:

— Cóż miał przeciw trzem czynić?

Horacyusz odpowiada na to sławnym wyrazem, ubóstwianym przez Klasyków:

— *Umrzć!*

Trzeba było być obecnym i słyszeć jaka pobożna z początku cisza panowała na teatrze, jak po tęg odpowiedzi pioronujące oklaski i wrzawa, zatrzęsły ścianami teatru narodowego. Podobne przyjęcie i grzmoty oklasków widziałem jedynie raz jeszcze, gdy w *Wielkim Teatrze* ukazał się po raz pierwszy, najznakomitszy z dzisiejszych artystów dramatycznych *Jan Królikowski*, gdy wystąpił w scenie jednej *Zbójców* Szyllera.

Na przedstawieniu Horacyuszów, o których wspominam, siedział obok mnie Francuz, niedawno przybyły z Paryża, ale rozumiejący po polsku. Ten, gdy ujrzał takie powitanie i pożegnanie sędziwego starca, rzekł do mnie:

— U was lepiej jak u nas, bo umiecie szanować zasługi i starość. W Paryżu, gdyby nawet sam *Talina* w takim wieku się ukazał, i braki, które wiek wycisnął, tak były widoczne jak w waszym Bogusławskim, wysykanoby go niezawodnie. Wy porwani jego grą jeszcze jesteście, pomań cożem był ten wielki aktor. To pięknie! to bardzo pięknie!

zaczął wydawać *Pamiętnik Warszawski*, który był wznowieniem zasłużonej publikacji tłumacza *Iliady*, wychodzącej od roku 1801 do 1005 pod tymże tytułem. Treścią tego *Pamiętnika* były: poezya, wymowa, język polski (*synonimy*), edukacya, prawodawstwo, historia, podróże, ekonomika, teatr narodowy, medycyna, chemia, korespondencye i rozmaitości. W roku 1810 weszły i wiadomości polityczne. Pierwszy zeszyt styczniowy 1809 roku, rozpoczyna: Duma o Bolesławie Chrobrym J. U. Niemcewicza, bo redaktor poezye stawiał na czele. Po wydaniu pierwszego tomu za styczeń, luty i marzec, drugi obejmuje tylko zeszyty za kwiecień, wrzesień i październik. Przerwa ta nastąpiła z powodu napadu armii austriackiej, i zajęcia chwilowego Warszawy. Tom trzeci, zamyka seryę pomienionego roku. W następnym wyszedł tylko tom jeden za pierwszy kwartał, i Osiński wydawnictwo swoje zamknął. Jako redaktor z prac własnych pomieścił w tym *Pamiętniku* Osiński: rozprawę „O życiu i piśmach Franciszka Dmochowskiego“ do którego był zbliżony, cenił wysokie jego zasługi nie tylko położone na polu literackim, ale w zawodzie swoim wiele mu rad i pomocy zawdzięczał. Akt II z *Cynny* Piotra Kornela: „Obrona pułkownika Siemianowskiego“ i „*Wiersz na powrót wojska*“ czytany na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk d. 22 grudnia 1809 roku.

Do rozgłosu chlubnego jaki pozyskał za przekład *Horacyuszów i Cynny*, przybyły nowe listki wawrzynu. Wiersz ten wywołał powszechny zachwyt, i dał mu tytuł pierwszego poety. Tradycya zachowała w pamięci późniejszych podając jako rzecz godną uwagi, że Osiński zawezwany przez pomienione Towarzystwo do napisania wiersza, w wigilią dnia tego, ani pióra nie wziął do ręki. Szukając natchnienia poszedł na rynek *Starego miasta*.

Na środku jego stał odwieczny ratusz pełen pamiątek historycznych. Osiński obszedł go kilka razy dookoła i wtedy pierwsze strofy tego wiersza ułożył.

Tytuł *pierwszego* mówcy, pozyskał sobie sławną obroną pułkownika Siemianowskiego, obwinionego o zabicie żołnierza. Wszyscy byli pewni wyroku potępienia, gdy staje w dniu 2 stycznia 1810 r. Osiński przed sądem wojennym

jako obrońca. Świetna wymowa, głęboko wzruszyła zarówno sędziów jak i słuchaczy: oskarżony jednomyślnie został za niewinnego uznanym.

Nie należy nam się dziwić, że Osiński nie wytrwał dłużej z wydawnictwem *Pamiętnika Warszawskiego* i zamknąć go musiał w czterech tylko tomach. Pisma polityczne jak *Gazeta Warszawska*, zaledwie 500 prenumeratorów miała, a cóż powiedzieć o piśmie treści literackiej i naukowej. Niedociągały one do 200 nawet sprzedających się egzemplarzy; a lubo żaden redaktor ani szeląga nie płacił za artykuły i darmo je otrzymywał, koszt druku i papieru, pokrytym być nawet nie mógł. Czasy wreszcie wojenne nie sprzyjały ani prassie literackiej, ani wydawnictwu książek. Gdy zbadałyśmy właśnie okres księstwa Warszawskiego, ujrzymy jak mały plon z niego literatura nasza odniosła.

Sam Osiński, zajęty sprawami swego urzędu, już od roku 1810 przestał pisać. W r. 1808 poślubił Rozalię Bogusławską, córkę twórcy pierwszego teatru w Polsce, znakomitego aktora i pisarza dramatycznego: ten stosunek w kilka lat później wpłynął przeważnie, na nowy kierunek jego w zawodzie literackim. Od roku bowiem 1814, kiedy sędziwy Bogusławski opuścił scenę, Osiński po teściu swoim objął przedsiębiorstwo teatru narodowego i wtenczas opuścił obowiązki pisarza sądu kassacyjnego. Lat trzynaście prowadził tę scenę i jak wyżej wspomnieliśmy, mimowiednie na niej ustalił *romantycznego* ducha. Ale nikt w tej porze nie pojmował różnicy pomiędzy *klassycznością* a *romantycznością*. We cztery lata dopiero później (1818 roku) wystąpił Kazimierz Brodziński ze swoją rozprawą: *O klassyczności i romantyczności*.

Osiński stanąwszy na czele tak ważnej instytucji jakim był teatr narodowy, rozumiał dobrze swoje obowiązki i całe znaczenie sceny. Wróciwszy do prac literackich i zajęty jej dyrekcyą, przez lat trzynaście wytrwał na tém stanowisku, wymagającem nie mało trudu jak i poświęcenia. Wprawdzie miał już doborową trupę aktorów, ale szczerby wkrótce się w niej pokazały, gdy starsi wiekiem zaczęli zmniejszać ten piękny zastęp, a drudzy już słabli na siłach. Osiński zbierał z prowincjonalnych teatrów zdolniejszych artystów: wtedy to zajaśniali talentem *Zdanowicz* (jeden z najwyborniej-

szych komików wyższych): Ignacy Werowski, do ról pierwszych kochanków, którego zastępował później znakomity *Piasecki*, wreszcie przybyła Leontyna Żuczkowska, późniejsza Halpertowa, artystka jakiej scena nasza nie miała i nie ma dotychczas.

Lubo Szekspira już dał poznać na scenie Warszawskiej Wojciech Bogusławski, za dyrekcji Osińskiego ujrzało *Hamleta*, *Machbeta*, *Otella* i *Króla Lira*.

Z dramatów Szyllera przedstawiono: *Fieschi*, *Intryga i miłość*, *Dziwcię Orleańską* (w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego, starszego brata Kazimierza, który zginął na wyprawie 1812 roku).

Ukazały się i komedye Alexandra Fredry, a niespracowany J. U. Niemcewicz, zasilał teatr narodowy, zarówno dramata, komediami, jak i librettami do oper. Z dramatów największe wywarł wrażenie *Zbigniew*, którego znakomicie przedstawił Werowski, tak postawą, deklamacją jak wybornym zrozumieniem roli (1).

„Osiński podniósł wysoko krajową operę, i dał pierwszy związek baletowi, on pierwszy, (jak dobrze pisze najbliższy

(1) Werowski zaledwie ukazał się na scenie Teatru Narodowego w Warszawie, zyskał od razu chlubne uznanie, przyjęcie i oklaski. Jakoż do ról głównych bohaterów tragedji klasycznych potrzeba było aktora, któryby oprócz talentu i wymowy, imponował na scenie tak doniosłym wzrostem jak silnym głosem do deklamowania przez pięć długich aktów. Tak pożądane przymioty posiadał Werowski: silnej i krzepkiej budowy, wyniosłego wzrostu, twarzy w rysach wydatnych, męskich; oczy duże i mówiące; głos z szerokich piersi płynący, grzmiący zarówno potęgą namietności, jak miękł pod uczuciem miłości, lub rzewnej tęsknoty. Werowski wykształcony naukowo, był obok tego zapalonym *bibliomanem*. Miał piękną bibliotekę i zwykle gdy zamieszkał w Warszawie rok rocznie z benefisu swego, połowę oddawał księgarni Zawadzkiego i Węckiego za wybrane książki. Sumienny jako artysta, mając przedstawić jaką wydatną historyczną postać, szukał dzieł ażeby zbadać bohatera swego charakter główny i jego odcienia: śledził wszystkie szczegóły co do ubioru i jego uzbrojenia należało. Te poszukiwania i zapal bibliomana zbliżyły Werowskiego do mnie, i wtedy miałem sposobność poznać zarówno jego wykształcenie, jak szlachetny zapal dla sztuki, której się poświęcił. Oddany wyłącznie z początku rolom ścisłe tragedji klasycznych, następnie w romantycznych utworach, grał znakomicie pierwsze role bohaterów i kochanków. On w komedji Fredry: „*Pan Jowialski*” stworzył komiczną rolę *Szambelana Jowialskiego* tak wybornie, że dotąd nikt lepiej zagrać nie potrafił.

świadek F. S. Dmochowski), zwrócił uwagę na zastosowanie miary wiersza do muzyki i teorią Elsnera, Królikowskiego i Kurpińskiego, którzy nad rytmicznością języka polskiego pracowali, wprowadził do tłumaczenia oper i podkładania słów pod muzykę. On skłonił kilku naszych lepszych pisarzy, mianowicie Brodzińskiego i Kruszyńskiego, że się tą pracą zajęli, a gładkość i czystość języka połączyli z miarami i taktem muzycznym. Jako wzór takiej pracy postawić możemy „*Operę Włoską w podróży*” tłumaczenie Kruszyńskiego Jana, i *Kalmorę* Brodzińskiego, niektóre opery Osiński sam przełożył, innych przekłady troskliwie przeglądał i poprawiał. On pomimo braku funduszy, kazał zrobić kilkadziesiąt pięknych dekoracyj, i ulepszyć garderobę teatralną. Reprezentacye *Machabeuszów*, *Dziwicy Orleańskiej* i kilka oper odznaczały się pięknnością wystawy. W ogólności przyznać trzeba tę zasługę Osińskiemu, że miał zawsze na względzie smak dobry, a godności sceny ojczystej nie poświęcał dla widoków zysku” (1).

Znając dobrze, jak wykształcenia naukowego potrzebuje każdy aktor, ażeby pojmował należycie powierzoną sobie rolę, i umiał się z nią wywiązać, od roku 1814 do 1824 wykładał język polski i literaturę w *szkole dramatycznej* utrzymywanej przy teatrze. W sztuce scenicznej Osiński był wybornym przewodnikiem, a nieporównanym w nauce deklamacyi. Z téj szkoły wyszli tak znakomici artyści jak *Żuczkowska* (Halpertowa) i *Piasecki*, w sile męskiego wieku zgasły.

Przeznaczony ze skarbu Królestwa zasiłek coroczny dla Teatru Narodowego (mieszczącego się przez cały ciąg dyrekcji Osińskiego przy *placu Krasińskich*) nie pokrywał braku w dochodach. Przedsiębiorstwo to stawało się coraz przykrzejszem, i w końcu teatr zagrożonym został zupełnem rozprężeniem i upadkiem. Wówczas od dnia 12 czerwca 1827 roku, rząd wziął na siebie administracyę, od Osińskiego zakupił dekoracye i garderobę, zostawiając go przy obowiązkach pierwszego dyrektora. Obowiązki te pełnił aż do 16 grudnia 1833 roku.

(1) Dzieła Ludwika Osińskiego, Warszawa 1861 r. Tom I.

Wśród tych zajęć, zajął się tłumaczeniem *Cyda*, tragedii Piotra Kornela. Przed półtora wiekiem, też samę tragedję przełożył *Andrzej Morsztyn* podskarbi wielki koronny, i przedstawił ją w Zamku Warszawskim 1661 roku, wobec króla Jana Kazimierza i jego małżonki Maryi Ludwiki. Tłumacz poprzedził wystawę stosownym prologiem, w której uosobiona *Wisła*, po wielu klęskach doznanych i niedoli, przez oboje królestwo, składa pozdrowienie i powitanie (1).

Morsztyn trzymając się ściśle oryginalnego tekstu, w całości ten dramat przełożył; Osiński wyrzucił rolę królowej i Leonory jej ochmistrzyni, przez co ożywił działanie dramatyczne. Zachował on jednakże niektóre wiersze i zwroty pierwszego tłumacza, przez szacunek dla jego pamięci; ale dość nam tu przytoczyć mały ustęp, ażeby pokazać jaką różnicą jest między przekładem Morsztyna a Osińskiego. W scenie pierwszej piątego aktu, kiedy Rodryk, po odniesioném zwycięstwie nad Maurami, przygotowywa się do pojedynku z młodym rycerzem *Sanchez*, i żegnając się z *Xymeną*, przekonany o jej wzajemności, w zapale, czuje zdwojone męstwo a siły i nie może zataić radości, w tłumaczeniu Morsztyna, tak przemawia.

„Nastąpcieź teraz wszystkie potęgi choć z piekła,
Stańcie tu Nawarczycy, Grenado, Maurowie,
I kto się tylko mężem w Hiszpanii zowie:
Złączcie się wszyscy na mnie, nastąpcie obozem,
Tak zagrany, wszystkich was powiodę za wozem;
Zmówcie się, rozerwać mi tak piękną nadzieję:
Śmieję się z was, i jedną ręką was rozwieję.“

W przekładzie Osińskiego ten sam ustęp czytamy:

„Powstańcie teraz wszystkie potęgi choć z piekła!
Złączcie się Kastyllanie, Nawarro, Maurowie!
I kto się tylko mężem w Hiszpanii zowie,

(1) Tłumaczenie to wyszło w dziele p. n.: „Psyche z Lucjana Apulejusza Marina, Cyd albo Roderik, komedia hiszpańska z francuzkiego przetłumaczona. Hipolit i Andromacha tragedia z francuzkiego przetłumaczona JW. J. M. P. Andrzeja Morsztyna natenczas podskarbiego W. K., teraz zaś na wielu instancją przedrukowana, kosztem Stanisława Sławińskiego Bibl. J. K. M. w Lipsku. Roku MDCCLII (1752)” w 4ce, str. 360.

Jakiż nadludzki ogień w mojem sercu płonie!
Walczyć mam dla miłości, w Xymeny obronie.
Ach! tą lubą nadzieją ręka ośmielona,
Na wszystko się odważy, i wszystko pokona!“

Cyd zgromadzał licznych zawsze widzów, ściąganych mistrzowskiem tłumaczeniem, wzniosłą treścią samego dramatu i znakomitą grą Werowskiego a następnie Piaseckiego, którzy odegrywali rolę *Cyda*.

Wśród trudnych obowiązków dyrektora Teatru Narodowego, od 21 kwietnia 1818 przyjął ofiarowaną sobie w niedawno otworzonym Uniwersytecie warszawskim, katedrę *literatury porównawczej*, którą mu ofiarowano. Gruntowna znajomość literatury rzymskiej i francuzkiej, ułatwiała mu niemało to nowe stanowisko; zajmował tę katedrę do końca 1830 roku, a od 12 marca t. r. pełnił zarazem obowiązki dziekana *wydziału nauk i sztuk pięknych*.

Dwie godziny tygodniowo zajmowały mu te obowiązki: we czwartki jedna przeznaczona była na praktyczne ćwiczenia stylu uczniów *wydziału nauk pięknych*. Ci składali mu swoje prace, oryginalne lub tłumaczone; on je rozbierał i oceniał. Szczególniej zwracał uwagę na czystość języka, na unikanie cudzoziemskich zwrotów, na składnię z duchem polszczyzny nie zgodną. „Uczęszczałem (pisze F. S. Dmochowski) na te prelekcyje w roku 1819, i z wdzięcznością przyznaję, że wskazania Osińskiego naprowadziły mię na sposób, jakim w tłumaczeniach z obcych języków, trzeba unikać cudzoziemskich zwrotów i zastępować je prawdziwie polskimi (1).“

Drugą godzinę w *sobotę* od czwartej do piątej, poświęcał na wykład z katedry i odczytywanie prelekcyi. Ta dostępna była i dla publiczności. Zwolna, za coraz większym rozgłosem, do wielkiej sali w Uniwersytecie warszawskim, przybywało ciekawych słuchaczy, i wciąż zaraz pierwszych dwóch lat, doszło do tego, że wszystkie ławki zajmowane były, i to wcześniej przed nadejściem profesora.

Kiedy wchodził Osiński w toę przybrany, wszyscy powstawali: było to nieme powitanie ulubieńca. Kiedy zasiadł katedrę, zalegała cisza głęboka w pośród wielkiej sali, bo nikt nie chciał jednego słowa utracić.

(1) Dzieła L. Osińskiego. T. I.

Osiński kładł tabakierkę złotą przy sobie, z której od czasu do czasu zażywał, rozwijał rękopism, i zaczynał czytać. Każda prelekcyja obliczona była tak, że nie zajmowała nigdy więcej nad godzinę oznaczoną: każdą zaś układał w ten sposób, że przy wykładzie czy to epopei, czy poezyi dramatycznej i t. p. przytaczał obszernie z dzieł ważniejszych ustępy, czy to w wyjątkach oryginalnych pisarzy polskich, czy też w tłumaczeniach. Wtedy rozwijał najwyższy urok, i czarował słuchaczy cudną swoją deklamacją. Było w niej coś tak porywającego, tyle powabu mieściła w sobie, że najzapaleńsi romantycy spieszyli na te wykłady. Na jednej z takich prelekcyj Osińskiego po raz pierwszy poznałem się z Antonim Edwardem Odyńcem.

W wykładzie *literatury porównawczej* obejmował w najszerszych rozmiarach utwory poetyczne, w bardzo zaś szczupłych traktował *wymowę*. Ograniczenie to pozbawiało Osińskiego możności, do dania jakiegokolwiek obrazu chociaż w zarysach literatury, tych narodów, o których mówił z katedry. Ale przynajmniej, że dla ówczesnej publiczności więcej wykształconej, taki wykład miał właśnie wielką pożyteczność. Każdy co pospieszał na prelekcyje Osińskiego, był pewnym, że najprzyjemniej godzinę czasu przepędzi — „*nasłucha się słicznej deklamacyi i czegoś się z niej nauczyć*”. Takie było w owe czasy zdanie powszechne.

Wykład swój rozpoczynał od *epopei*. W dziale tym obejmował *Iljadę* i *Odyseję* Homera, *Eneję* Wirgiliusza, *Farsalję* Lukana, *Luzjadę* Kamoensa, *Jerozolimę wyzwoloną* Tassa, *Raj utracony* Milтона, *Heryadę* Woltera, i *Wojnę Chocimską* Krasickiego; po *epopei*, mówił o poezyi *heroikomicznej*, w której mieścił *Myszejdę* i *Monomachię* Krasickiego. Następnie przechodził do poezyi dramatycznej. Dział ten w wykładach Osińskiego, najszersze zajmuje ramy, bo też to był rodzaj przez niego ulubiony szczególnie, i najwięcej mu pióro swoje poświęcał.

Mówił więc o tragedyi u Greków i u nowożytnych. Następnie brał pod rozbiór i uwagę Kornela, Lopez de Vega, Kalderona, Szekspira, Rassyna. Dawał obraz teatru niemieckiego z Szyllerem, włoskiego, z Alfierim; przechodził następnie do komedyi u starożytnych. Znaleźli tu wspo-

mnienie Arystofanes, Plaut i Terencyusz. W komedyi nowożytniej stał na czele Molier i jego następcy: zwracał uwagę na komedye u Włochów, i zamykał kurs tej literatury, *Sztuką dramatyczną w Polsce*, do końca wieku XVIII. W wykładzie o *poezyi lirycznej* określał *ody i pieśni*, poezję biblijną, zamykał ten dział Jan Kochanowski. W poezyi *dydaktycznej*, na czele szło *Ziemiaństwo* Wirgiliusza, *Przemiany* Owidyusza, i *Ziemiaństwo* Delila. W ostatku mówił o poezyi *pasterskiej*, *satyrze*, *listach* i *bajkach*.

Nie uważamy ani za powabne, ani za potrzebne, zajmowanie się krytyczną oceną tego *wykładu literatury porównawczej* Osińskiego. W obec dzisiejszych pojęć i badań, a ztąd rozszerzonej wiedzy, w tej gałęzi, wykład ten nie wytrzyma krytyki. Wszelako gdy zwrócimy uwagę na czasy w których przemawiał z katedry, gdy sumiennie przepatrzymy zasoby literackie, jakie mógł mieć pod ręką, a co najważniejsza przypomnimy sobie, atmosferę duchową, w jakiej oddychaliśmy, przyznać musimy że Osiński, wiernym będąc synem swego okresu, spełniał dobrze swoje powołanie, i użytecznie dla społeczności tej właśnie doby. Niemałe on położył zasługi, że smak i zamiłowanie do literatury ojczyźnej w obojętnej dotąd *publiczności* wzniecał i rozszerzał, zarówno ze sceny Teatru Narodowego, jak i z katedry uniwersyteckiej.

Wykład literatury poprzedzał *wstępem*, w którym rzucił ogólny pogląd, na to co w sobie ma obejmować. Ten który się mieści przy wydaniu dzieł Osińskiego przez F. S. Dmochowskiego, jest ostatniej redakcyi profesora, (bo kilka razy go poprawiał, zmieniał), napisany pod wpływem gorącej walki klasyków z romantykami.

Jako dyrektor sceny narodowej, jakeśmy już wspominali, *romantyzm* z całą przewagą do Teatru Narodowego wprowadził: jako professor katedry uniwersytetu nie rozumiał co właściwie jest *romantyczność*, i jaki przewrót w literaturze polskiej wywołał.

Musimy przywieść ustęp ze *wstępu* do prelekcyi, ażeby udowodnić nasze zdanie.

„Ileż walk zapalczywych, pisze Osiński, ile przeciwnych sądów utworzyła nowa szkoła pisarzy *romantycznymi* zwanymi! jak daleko jeszcze to zjawisko różnić będzie zdania piszących? Ani mojego obowiązku, ani mojej zdolności jest

udziałem, sądzić i jednać te spory; to jedno bowiem, co mię w rozbiórce tych licznych badań, a poniekąd potwarzy i kłótni, uderzyło szczególniej.

„Mąż nader znakomity w literaturze niemieckiej, biegły starożytności badacz, który zbogacił swój język, powszechnie szanowanym przekładem pierwszych poetów greckich, hiszpańskich, angielskich, oddając cześć wysoką wzorom Homera i Sofokla, uznał w późniejszych, a mianowicie w Szekspirze i Kalderonie, niepospolitego rzędu zalety. Może jako poeta, którego przyrodzonym żywiołem, jest zapał i podziwienie, przeniknął się aż do entuzjazmu pięknościami, które do ojczystej mowy przenosił, i chcąc uczucie swoje przelać w serca innych, użył do tego wszelkich sił swego dowcipu.

„Lecz zastanawiając się nad duchem dzieła jego w ogólności, widzę tam, iż *romantyczność*, chlubę swoją, wzory i początek, prowadzi od Homerów i Sofokłów, równie jak tychże samych ojców poezya *klassyczna*, za swoich prawodawców uznaje. O cóż więc te zacięte spory powstają? oto ściśle mówiąc, *samo nazwisko* zapaliło niezgodę, bo rzecz od jednego źródła pochodząca, tak daleko się różnić nie mogła. Zawczesnym jest, tak sędzę, u nas zamiarem, wszczynać rozprawy o nowej sztuce, i wprowadzać naukę, bez wzorów, do którychby czucia i sądy nasze odnosić się mogły. Należałoby raczej, ażeby torem *Schlegla*, kto zechce nowy ten rodzaj w kraju naszym przyswoić, zaczął od bliższego obeznania nas z temi dziełami, na których on istotnie swój byt i swoją rzeczywistość zasadza. *Zdarzy się i nam zapewne* w tém zgromadzeniu, *powracać nieraz do przedmiotu*, o którym *krótką tu uczynilem wzmiankę*, bo niepodobna jest pominąć uczonych tego pisarza uwag, gdy część literatury dramatycznej rozważać nam przyjdzie. Jeżeli, jakem wspomniał, starożytni Grecy pisarze stawają na czele *romantyczności*; jeżeli jak niedawno światły krytyk osądził, dzieło Piotra Kornela, *Cyd*, mieści w sobie i tego rodzaju zalety: nie przewiduję bynajmniej, iżby rzecz sama, nazwiskiem tylko rażąca klasyków troskliwość, miała być trudną do pojęcia i należytego ocenienia”.

Dość te słowa przeczytać, ażeby przekonać się jak nie rozumiał Osiński znaczenia nowych wyobrażeń, i nie pojmo-
wał ich następstw w życiowym rozwoju; jak fałszywie ro-

mantyczność oceniał, dając jęj jak i francuzkiej klassyczności za ojców *Homerów i Sofokłów*. Ustęp ten napisał przed sławną rozprawą Mickiewicza: „*O recenzentach i krytykach Warszawskich*” po której już go z katedry więcej nie powtórzył, i nie zdarzyła mu się, jak miał nadzieję, po temu dobra sposobność.

Osiński nie pojmował tego, że właśnie forma klassyczna zabijała prawdziwe nawet talenta. Żywe tego przykłady mieliśmy na klasykach naszych jak na Kajetanie Koźmianie i Franciszku Wężyku.

Pierwszy miał nieraz rzeczywiste natchnienie poetyczne, i formę piękną językową na zawołanie, ale ściśnięty więzami klassyczności, pełzał jak niewolnik za śladami pana, a samodzielnie nigdzie stąpać nie chciał i nie umiał.

Węzyk, w równe uposażony przymioty, chciał się z więzów klassyczności nieraz wydobyć, ale tak jak mucha uwięzła w pajęczynie, chociaż się zerwał, znowu zapadał w tę matnię.

Dziwna, niepojęta ślepotą, tak światłych zkądinąd ludzi, że pojąć nie mogli, iż klassyczność brana wedle ich myśli, była wrogiem prawdziwej poezyi, bo zagrzeznąwszy sama w naśladownictwie, nie rozumiała samodzielności, potępiając każdą myśl wyższą, każdy wykrzyk serca lub gry namiętności, jeżeli w czémkolwiek wykraczała, przeciw ściśłym przepisom klassyczności.

Chociaż Osiński miał zawsze na odczyty swoje co *sobota* nacisk ciekawych słuchaczy, szczupła przecież liczba uczniów Uniwersytetu podzielała jego przekonania. Cały orszak zwolenników profesora, składał się z dwóch *Cyprysin*skich: Antoniego i brata, oraz trzech czy czterech współ-kolegów.

Zbierali się oni na *Mostowej* ulicy, w kawiarni na pierwszym piętrze, gdzie popijając wyborne *Kazimirusa* grzane piwo dubeltowe, przy miedzianym imbryku prowadzili gawędy literackie. Tutaj to po raz pierwszy usłyszałem drwinki z Mickiewicza i jego naśladowców; ztąd wyszedł jakoby dowcip Osińskiego na *Dziady*: ów dwu-wiersz:

„*Ciemno wszędzie, głupio wszędzie:
Nic nie było i nie będzie.*”

Albo inaczej przetrawerstowany:

„Cóż to było? Nic nie będzie:
Głupio było, głupio będzie.”

Miał to wypowiedzieć professor na obiedzie u hr. Wincentego Krasińskiego, przy dobrém winie i po sutym obiedzie.

Przypuszczam że to być mogło, w gronie zaufaném i przyjacielskiém, a głównie złożoném ze zwolenników klasycyzmu i wrogów, tak Mickiewicza jak i nowej szkoły romantycznej, ale nigdyby tak przenicowanych wierszy twórcy *Dziadów*, Osiński nie wygłosił z katedry, jak mu to mniej świadomi rzeczy przypisywali. Osiński zbyt wiele miał smaku tak literackiego jak poloru towarzyskiego, ażeby dostojność katedry i godność osobistą profesora Uniwersytetu, tego rodzaju żarcikami znieważał. Wreszcie rzeczą jest dobrze wiadomą, że klasycy owocześni odznacжали się grzecznością i uprzejmością niezwykłą; jednakowo dla równych sobie jako i niższych nawet w hierarchii społecznej. Nie jeden z nich miał gorycz w sercu, może i zawziętość, ale gdy się ten pokazał przeciwko któremu ony wrzały, nikt nie poznał ani z oblicza, ani z obejścia co się nadnie duszy ukrywało. Do liczby téj ludzi należał Osiński. Znał dobrze sztukę aktorską, przez długie lata ją studiując, i wybornie na drodze życia z nią korzystał.

Należy mu się ta wielka zasługa, że umiał serca społeczeństwa rozbudzić do tego co piękne, co wzniosłe. Do podniesienia, wygładzenia i oczyszczenia języka ojczystego, nie mało się przyłożył. Jakkolwiek duch z utworów literackich od czasów *Stanisława Augusta*, jeden powięwa: jakaż to ogromna różnica języka Krasickiego i Naruszewicza, od języka Osińskiego. Nietylko gładkość i potoczystość wiersza bez porównania staranniejsza, ale z troskliwością drobiazgową czuwał on, ażeby z wyrazów cudzoziemskich, których tak pełno w dwóch wymienionych pisarzach, oczyścić. W tym względzie, dla najzdolniejszych romantyków mógł Osiński służyć za wzór i naukę. Już prelekcyje jego weszły w modę i licznie były odwiedzane, kiedy we cztery lata później w ro-

ku 1822, *Kazimierz Brodziński* zaczął wykładać literaturę polską w Uniwersytecie warszawskim. Jakkolwiek prelekcyje Brodzińskiego bez porównania były wyższej wartości, prawie sami uczniowie otaczali jego katedrę, ażeby nie utracić żadnego słowa, z odczytów cichym głosem wygłoszonych. Wartość ich najlepiej wybijała w druku; Osiński swoich nie chciał drukować i raz tylko udzielił jednej prelekcyi o sztuce dramatycznej w Polsce, którą Fr. Grzymała w swojej *Astrei* wydrukował.

Dlaczego tak zazdrośnie je ukrywał? Była to jego tajemnica, ale zdaje się nie tak trudna do odgadnienia: nie drukował raz dlatego, żeby nie spowszechniały i jużby drugi raz ich odczytywać nie mógł, a tak przez ciąg lat dwunastu powtarzał się wkółko: drugi raz dlatego, że wypadało mu nieraz ogłoszone zdanie przerobić, zmienić albo całkiem wyrzucić. Ostrożność ta Osińskiego na dobre mu wyszła, bo wśród gorącej walki klasyków z romantykami, ci ostatni uderzali na niego, ale nie mając dowodów w ręku piśmiennych, na gołosłownych zarzutach przestawać musieli. A były w nich prawdziwe, których się później wypierał Osiński.

Kto był długoletnim jego słuchaczem jak F. S. Dmochowski od 1819 do 1825 roku; od téj zaś pory do 1830 roku ja sam brałem w nich udział, a potem gdyśmy wspólnie z sobą o tych prelekcyach rozmawiali i rozbięrali je nieraz, widzieliśmy w nich te uderzające zmiany.

Gdy w pierwszych latach lekcewazył Szekspira, Szyllera i Getego, a za nieomylną i najwyższą powagę krytyczną stawiał *La Harpa* i *Boëta*, gdy nie dopatrywał nic więcej jak tylko samą literaturę francuską, popieraną od czasu do czasu rzymską, powoli zmieniał swoje zdania i sądy literackie: *Szlegel* zastępywać zaczął *La Harpa*, a wielcy poeci Albionu i Niemiec znaleźli właściwe miejsce w samym wykładzie. Ustępstwa te mogą dać świadectwo, że Osiński nie był tak zapalonym jak Koźmian klasycykiem, ale z drugiej strony jako dwaj nieodstępni przyjaciele, pozostali wierni dawnym wyobrażeniom literackim. Osiński leniwy do pracy, nie miał czasu poświęcać się studjom nad pisarzami sobie nieznanymi ani badać literatury niemieckiej i angielskiej, jak tego jego stanowisko nakazywało; *Koźmian* nic nie widział w całym świecie wyższego nad *Wirgiliusza* i *Horacego*.

Do rozgłosu jaki miały Osińskiego prelekcyje, poprzednie lata utorowały drogę, jako tłumaczowi *Horacyuszów* i *Cynny*, twórcy *Wiersza na powrót wojsk 1809 roku*, i *Ody na cześć Kopernika*, oraz jednemu z najznakomitszych mówców. Liczne stosunki już przyjaźni już zażyłości powiększały grono wielbicieli Osińskiego; ale oprócz tego ściągał on słuchaczy, samym powabem i czarem swój deklamacyi i tych liczba może była największa.

W prelekcjach Osińskiego były niektóre, szczególniejsze ulubione przez ówczesną publiczność. Do takich należała ta, w której mówił o *Ziemiaństwie Delilla* i przytaczał z niego ustępy; z szczególniejszym też natężeniem i uwagą oczekiwało téj chwili, gdy deklamował *polowanie na jelenia*, w przekładzie Aloizego Felińskiego. Na kilka dni wprzód wiedziało o czém będzie czytać Osiński; to też gdy wieść obiegła że Delill przychodzi na katedrę, ścisk był zawsze większy niż w inne soboty. Liczne karety, pojazdy i doróżki zapełniały obszerny dziedziniec Uniwersytetu (1).

(1) Ustęp ten cały przywiodę tu, dla przypomnienia towarzyszom owych chwil drogich, gdy się z zachwytem młodej duszy, słuchało porywającej deklamacyi Osińskiego.

„Z mieszkańcy powietrznymi czas-li nadszedł wojny?
Strzelec orężem gromy ciskającym zbrojny
Przykłada go do oka, nawodzi, wymierza:
Leci grot, ogień błyska i piorun uderza.
Jakiż-to ptak od gradu morderczego ginie?
Ach! ty czajko co kwilisz błędąc po nizinie;
Ty skowronku! umierasz w pierwszej życia wiosnie,
Kiedy w obłoku nucić zaczynasz miłośnicie.
Ale za cóżby moje pienia wysławiała
Te tryumfy bez zysku, te walki bez chwały?
Muzo! coś tyle razy wdziękiem swego tonu
Wypraszała gajowych spiewaków od zgonu,
Skaż na śmieć zwierza, który dla naszego męstwa,
Pole do chlubniejszego otwiera zwycięstwa,
Niszczyciela obory, niszczyciela żniwa.
Lecz już donośnym głosem trąba się odzywa:
Rwie się ognisty rumak do boju ochoczy,
Kopie nogą, stal żuje, białe piany toczy.
Na te krzyki rycerzów, na ten odgłos wojny,
Drży, dziwi się, i wacha jelen niespokojny,
Czy swoim szybkim biegiem łowców ma unikać?
Czy dostać, i walecznie z nimi się spotykać?

Pomimo nastawiań ostrych na Osińskiego, a młodzi recenzenci szkoły romantycznej, nie żalowali ani słów, ani pióra na niego, nie utracił popularności do ostatniej chwili ani

Bezpieczniej-li zdać życie wśród naglającej trwogi,
Na uzbrojone czoło, lub na lekkie nogi?
Raz go zajmuje bojażń, drugi raz odwaga:
Chwieje się długo! bojażń nakoniec przemaga.
Zrywa się, rusza, spieszy i lekkim poskokiem
Przebiega w chwili przestwór nieścigniony okiem.
Las, psy i trąba za nim daleko zostały.
Wolny wreszcie wypada w pole rumak śmiały,
Rozgania się, wypręża, i piersiami swemi
Porze świszczące wiatry zniżony ku ziemi.
Na nim pędzi myśliwiec jak wichor burzliwy,
Przygięty, twarzą niemal dotyka się grzywy;
Drze się przez gęste krzaki, przelatuje łany,
A za nim czarne kurzu toczą się tumany.
Jeleń tymczasem leci, za nim psy po lesie
Biegną w ślad cząstek lekkich które wiatr im niesie,
A gdzie piętna stóp ujrzą na piasku utkwione,
Przykładają swe do nich nozdrza rozognione.
Drży jelen, i uchodząc przeklina zdumiały
Zdradną wonię i tropy które go wydały,
A gdy go nieprzyjaciół otacza gromada,
Ostatnią w przyjaciółach nadzieję pokłada.
Ów niegdyś władca borów, postrzegłszy na łące
Jelenie po nad wodą swobodnie błędzące,
Spieszy, czoło schylając, ich pomocy wzywać,
Poruczać im swe życie i wstyd swój ukrywać.
Ale każdy od zbiega natrętnego stroni
I smutnych jego losów zarazy się chroni:
Opuszczają go wszyscy; tak pochlebców tłuszcza,
Króla i najlepszego w nieszczęściu opuszcza!
Nędzny tułacz rzuca się z żalem w inne strony:
Przebiega ten las czarny, ten las ulubiony,
Gdzie niegdyś pędząc młodość bezpieczną i śmiałą,
Sto razy się napawał rozkoszą i chwałą;
Gdzie okoliczne drzewa, jaskinie i skały
Głos wojny i miłości jego powtarzały,
A on, jak pyszny sultan, w szlachetnym zapale,
Sto kochańek rozkoszą obdzielał wspaniale:
Cześć, miłość, panowanie, wszystko dzisiaj traci;
Próżno, niosąc szlachetną pomoc jeden z braci,
Młody, który śmie wszystko i na nic nie zważa
Wyskakuje, i sam się za niego naraża:
Doświadczono ogary podstępny dostrzegły,

pomiędzy uczniami, ani u ogółu, który z jednym-że upodobaniem zgromadzał się na jego prelekcye.

Wtém go uderza znowu trąby głos odległy:
 Pędzi, bieży i w biegu, zdawna świadom zdrady,
 Wbok nagle uskakując swe przerywa ślady,
 A zdaleka od ścieszek, w kącie utajony
 Czuwa i wodzi drżący wzrok na wszystkie strony;
 Wraca, krzyżuje, męsza drogę, czasem stawia,
 Rozgląda się i słucha; już myśliwych wrzawa,
 Trąby i psów okropny głos, którym brzmia gaje,
 Mooniej coraz i bliżej słyszeć mu się daje.
 Bieży jeszcze, na zdrady jeszcze się zdobywa,
 Lecz trwoga już w nim drżące żyły wskroś przeszywa;
 Każdy szmer wniesia rozpacz w sercu zaleknioném,
 Drzewo mu każde wrogiem, każdy wróg jest zgonem.
 Naówczas daremnymi zmęczony zawody
 Z ładu przeniewierczego rzuca się do wody;
 Lecz odmieniwszy żywioł nie odmienia losu,
 Napelniając las dźwiękiem wrzaskliwego głosu;
 Z iskrzącymi oczyma za nim tuż przypada
 Łaknąca barbarzyńskiej ucztę psów gromada,
 Okryta kurzem, potu ociekła strumieniem,
 Zapalona wściekłością, ziejąca pragnieniem:
 Spiekłym ich paszczom woda ledwo starczyć zdoła;
 Ale gdzieindziej zapęd okrutny ich woła:
 Krwi pragną i krwią tylko nasycić się mogą.
 Bez wsparcia, jeden zgrają otoczony srogą
 Jeleń, gdy nieuchronnej śmierci wyrok czyta,
 Słabość jego szalonej rozpacz się chwytą.
 Za cóż, próżno niestety! pierwsze jego siły
 Trwoga i niedolężne wybiegi zwatliły?
 Czemuż wprzód, jak mu radził jego umysł mężki,
 Szlachetną walką swojej nie uświetnił klęski?
 Po płonnych wreszcie skokach, podstępach i znoju
 Ożywia się . . . i staje straszliwy do boju?
 Odpiera tysiąc szturmów, a w gniewie wspaniały
 Z najmężniejszymi tylko szuka w bitwie chwały.
 Uderzają nań hurmem wszystkie przeciwniki,
 Mięszają się ich ciosy, ich wściekłość, ich krzyki;
 On dobywa ostatnich sił w ostatniej toni
 Mdlejący walczy jeszcze i jeszcze się broni
 Nadaremnie, niestety; na cóż mu się zdała
 Ta kibić tak wysmukła, ta postać wspaniała?
 Cóż pomogły te pyszne, te potężne rogi,
 I te, co po ziół wierzech migły się nogi?
 Chwieje się, pada, kona, a leż dwa strumienie
 Wzbulzają i w zabójcach samych rozrzewnienie!"

Kiedy opuścił katedrę, jako pierwszy dyrektor teatru, pełnił te obowiązki do 1833 roku, zajmował się sceną; w tym czasie mianowany referendarzem w Radzie Stanu i przeznaczony do wydziału wyznań i oświecenia publicznego: w sześćdziesiątym roku życia zmarł w Warszawie dnia 27 listopada 1838 roku. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu Powązkowskim.

Z prac Osińskiego, za jego życia w całości był przekład *Horacyuszów* drukowany, innych tragedij małe wyjątki. Z drobniejszych utworów ukazało się kilka w Pamiętniku warszawskim Fr. Dmochowskiego z 1809: prelekcye zaś pozostały w rękopismie u wdowy zgasłego pisarza. We dwadzieścia trzy lat dopiero po jego zgonie, ś. p. *Jan Kanty Wołowski*, uczeń i wielbiciel Osińskiego, pragnąc ażeby rękopisma jego jak wiele innych nie zaginęły, głównie dopomógł do wydania wszystkich prac zgasłego profesora. Zawezwał do pomocy F. S. Dmochowskiego, ucznia także tłumacza *Horacyuszów* i *Cyda*, który rękopisma zachowane u wdowy Osińskiego, ułożył, życiorysem na wstępie opatrzył, i wydrukował w czterech tomach, (w 8-ce w drukarni J. Jaworskiego) z popiersiem litografowaném, wielce podobném: p. n. „*Dzieła Ludwika Osińskiego*.” Tom pierwszy obejmuje: *Piotra Kornela* trzy tragedye wierszem po pięć aktów każda: *Cyd*, *Horacyusze*, *Cynna czyli łaskawość Augusta*; *Voltera*: *Alzyra czyli Amerykanie*, tragedia w 5 aktach wierszem: *Fenelon czyli Zakonnice w Kambre*, tragedia w 5 aktach wierszem z *Cheniera*; *Gabryela de Vergy*, tragedia w 5 aktach p. *Du Belloy*, prozą. Wydawca F. S. Dmochowski wybrał ten dramat z wielu innych jakie Osiński, kierując sceną Teatru narodowego tłumaczył (1).

W tym tomie mieszczą się poezye oryginalne i tłumaczone większych rozmiarów. Do pierwszych należą: wiersz o *Dobroczynności*, *Oda na cześć Kopernika* i o *Sztuce aktor-*

(1) Pozostały w rękopiśmie i posiada je niewątpliwie biblioteka *Teatru Wielkiego* w Warszawie, następne libretta do oper: 1) *Szewo*, czyli żony przemienione. 2) *Turek we Włoszech* z muzyką Rossiniego. 3) *Sroka* złodziej z muzyką tegoż. 4) *Dziadek*. 5) *Intryga w oknach*. 6) *Janek* i *Stefanek*. *Tragedye* przerobione z Szekspira przez *Ducissa*; 7) *Król Lear*. 8) *Otello* — i *komedye*: 9) *Pan Wilhelm*. 10) *Rywale samych siebie*.

skiej; z przekładów, z Przemian Owidyusza; „*Mowa Ajaxa i Ulissesa*.” W końcu, mamy wiersze ulotne.

Tom drugi i trzeci zajmuje: „*Wykład Literatury porównawczej*” czytanej w Uniwersytecie warszawskim.

Tom czwarty na czele mieści: *Wstęp* czytany przy rozpoczęciu powtórnego kursu literatury porównawczej, a dalej następuje wykład: o stylu, geniusz i szczytność: ogólne prawidła wymowy, jej rodzaje: wymowa u Greków i Rzymian: wymowa *naradna* i sądowa, kazuodziejska, pochwalna. Wprowadza zajmującą rzecz o *deklamacyi*, o tłumaczeniach z obcych języków, i o potrzebie, ważności i warunkach przekładów.

Następnie idą *mowy pochwalne i obrony sądowe* Osińskiego, dalej *krytyki i sprawozdania*, wyjęte z pism ówczesnych peryodycznych, zamyka ten tom ostatni, *rozprawa o pisowni*: o używaniu liter *j, y, i*, którą napisał jako członek Towarzystwa przyjaciół nauk, i przeznaczony z jego ramienia do *delegacyi*, wysadzonej dla ustalenia pisowni polskiej.

XIII.

Przeżył Osiński swoją epokę, swoją *szkołę* i swoją *sławę*. Kiedy dogorywał, już o nim nikt nie wspomniał, a gdy zakończył życie, tylko w Kuryerze Warszawskim podał jego krótką biografię F. S. Dmochowski. Starzy przyjaciele Osińskiego wymarli lub gaśli, a z wielbicieli dawnych, wszyscy bez wyjątku przeszli do przeciwników obozu.

Nie będziemy sięgali po za granice, któreśmy sobie nazaczyli, ale w zakończeniu naszego wspomnienia o *ostatnim klasyku* i jego epoce, należy nam rzucić jeszcze raz bacznie okiem, na zapadłą już w przeszłość ową epokę.

Okres ten który się rozpoczął od roku 1814, zamykają w roku 1830, *Pisma Kazimierza Brodzińskiego* i Noworocznik Antoniego Edwarda Odyńca *Melitele* (rok drugi).

Warto przypomnieć zdobycze duchowe, jakie mieliśmy z początków naszego stulecia lub pozyskaliśmy w tej dobie, gdyż one są podścieliskiem nowego okresu rozpoczętego w roku 1832, a który się rozwija po dzień dzisiejszy. Jest

on drogocennem złotem ogniem, wiążącym wiek XVIII i jego tradycje, z naszym stuleciem.

W poezji wyższy geniusz nad Mickiewicza już się nie pojawił. Plejadę poetów ówczesnych obok niego stanowią: Kazimierz Brodziński, Antoni Malczeski, Józef Bogdan Zaleski, A. Edward Odyniec, Seweryn Goszczyński, Stefan Witwicki, Chodźko, Korsak, Józef Korzeniowski, I. D. Minasowicz, Konstanty Gaszyński, i Dominik Magnuszewski; a jakżeż przy nich niewspomnieć Antoniego Goreckiego, Franciszka Morawskiego i Maurycego Gosławskiego.

Juliusz Słowacki młodzieniaszek, odbywał pielgrzymkę pobożną do *Ursynowa* pod Wilanowem, ażeby poznać i złożyć hołd sędziwemu autorowi „*Śpiewów historycznych*” i *Jana z Tęczyna*.

Oddzielnie w posagowej postaci, na granicznej między dzielącej dwa wieki, upłyniony z naszym, stoją Julian Ursyn Niemcewicz, i Jan Paweł Woronicz, obaj znakomici poeci, jedną myślą i jednym uczuciem tchnący.

W dziale *estetyki i krytyki*, po Dantisku, autorze „*Myśli o pismach polskich*” (Wilno 1801 roku) odznaczają się Kazimierz Brodziński, Maurycy Mochnacki, Michał Grabowski, i ze stanowiska swego sam Osiński.

Co do historii literatury polskiej, już zasoby mieliśmy nie małe. Rozpoczyna w tej gałęzi pracę *Tomasz Szumski*, professor przy akademii wojskowej w Berlinie, wydaniem dziełka: „*Krótki rys historii i literatury polskiej od najpóźniejszych do teraźniejszych czasów*” (Berlin 1807 r. u J. F. Unger, w 12-ce str. 204). W cztery lata niepospolity pisarz pierwszych lat naszego stulecia *Ignacy Lubicz Czerwinski*, daje nam w dwóch tomach: „*Rys dziejów kultury i oświecenia narodu polskiego, od wieku X do końca wieku XVII*” (w Przemyśle 1810).

Obraz literatury bibliograficzny dał w swoim dziele Feliks Bentkowski: *Historja literatury polskiej wystawiona w spisie dzieł drukiem ogłoszonych*. (Dwa tomy, Warszawa i Wilno 1814 r.). Praca ta, potężnie była wpływowa; zaledwie się ukazała, poruszyła mnóstwo bibliomanów i bibliografów, którzy z niezwykłym i nie znanym dotąd zapałem, zaczęli zbierać dawne książki, broszury i rękopisma. Zabiegi ich i starania lubo niekiedy były powodem żartu lub szyder-

stwa, uratowały od zatury najpiękniejsze dzieła XVI i następnych wieków. Im to zawdzięczamy, poznanie i zbadanie, zapominanej od lat tylu literatury pomienionych czasów.

Tytus hr. Działyński, sam mi we Lwowie opowiadał, jak po odczytaniu dzieła Bentkowskiego porzucił zamiłowanie do koni, a oddał się zbieraniu starych książek i rękopisów. Owocem tych starań powstała jego słynna biblioteka w *Kurniku*. Ważnym przyczynkiem do historii literatury polskiej jest: „*Dykcyonarz poetów polskich*” przez księdza M. Hieronima Juszyńskiego, w dwóch wielkich tomach: (Kraków 1820 r.) i rozprawa obszerna *Jana Sowińskiego*: „*O uczonych polkach*” (Warszawa i Krzemieniec 1821). Wzbogaca tę gałąź i zamyka wostatku Joachim Lelewel, znakomitą pracą swoją: „*Bibliograficznych ksiąg dwoje*” w dwóch tomach, 1823 r.

W dziale historii stał na czele po Tadeuszu Czackim tenże sam genialny Joachim Lelewel, obok niego J. U. Niemcewicz, Wawrzyniec Surowiecki, Łukasz Gołębiowski, Kajetan Kwiatkowski.

Reprezentantem *wymowy*, (niewspominając do dawniejszego okresu należących Stanisława Potockiego i Jana Woronicza) a do tego wymowy *pochwalnej i sądowej* był sam tylko Osiński.

Archeologia była nieznana, w *etnografii* przepomnieć nie możemy bardzo ważnego dzieła *Ignacego Lubicz Czerwińskiego* p. n. *Okolica Zadniestrzka między Stryjem i Łomnicą, czyli opis ziemi i dawnych kłesk lub odmian tej okolicy. Jaki jest lud prosty dla religii i dla pana swego? Zgoła, jaki on jest w całym sposobie życia swego, lub w swych zabobonach albo zwyczajach.* Wyprzedził on Zoryana Dołęgę Chodakowskiego, i wszystkich zbieraczy pieśni i podań ludowych. Wiele prac w tym kierunku rozpoczętych ale nie ogłoszonych: tu wspomnieć musimy *Tomasza Święckiego*, autora *Opisu Starożytności Polski*, i *Wincentego Gawareckiego*, pilnego monografistę.

Gałąź powieści tak obyczajowych jak historycznych, już bujnym okryła się kwieciami. Tu na czele spytkamy polskie niewiasty, jak *Maryę księżną Wirtemberską*, *Jaraczewską*, i *Klementynę Tańską*, a dalej J. U. Niemcewicza, *Fryderyka* hr. *Skarbka* i *Feliksa Bernatowicza*.

Wyrastający z pacholęcia *Zygmunt Krasiński*, pierwsze próbki talentu swego składa w historycznej powieści. Jak *duch romantyczny* daleko wcześniej opanował scenę, niż w piśmiennictwie wziął przewagę, już wspomniałem; teraz wychyla się groźny jego pierwiastek i w literaturze dramatycznej oryginalnej polskiej. *Józef Korzeniowski*, szkolny towarzysz *Karola Sienkiewicza* i *Tymona Zaborowskiego*, występuje z *Próbkami dramatycznymi* drukując je w *Poczajewie* 1826 r. W nich pomieścił dwa dramata, białym wierszem bezrymowym: *Klara i Aniela*, każdy w pięciu aktach. Był to początek zawodu Korzeniowskiego na polu dramatycznym, które następnie tak świetnie ubogacił, takimi utworami jak *Mnich*, *Górale Karpaccy*, *Andrzej Batory*, niewymieniając już wielu innych.

Prassa peryodyczna, (wyjąwszy usiłowań co do dzienników treści naukowych, które długiego nie miały nigdy życia), odbija wydatnie w dwóch codziennych pismach: w *Gazecie Polskiej*, i *Kuryerze Polskim* (1).

Sztuki piękne, reprezentowane przez właściwy swój wydział w Uniwersytecie Warszawskim, ściśle trzymane były w przepisach *czysto klasycznych*, tak przez profesorów jak i uczniów. *Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie*, pobite na polu literackim, formy, owej *czystej klasyczności* podtrzymywało silnie w malarstwie i rzeźbie. To też gdy powierzono słynnemu *Thorwaldsenowi* wyrobienie konnego posągu, księcia *Józefa Poniatowskiego*, zastrzeżono, ażeby się trzymał stylu klasycznego.

Kiedy już odlanego ustawiono w wozowni na *Długiej ulicy*, wszedłem właśnie w tę chwilę, kiedy przyszedł Osiński i kilku dawnych towarzyszy broni.

Posąg stał na samym środku. Starzy wasacze, pytają, a gdzie jest książę? Osiński wskazał palcem na stojący posąg konny.

(1) *Kuryer polski*, w tej dobie liczył się do najpierwszych organów prasy Warszawskiej. Wychodził w 4-ce, mając za godło pocztyliona z trąbką. Ze wszystkich jego główniejszych współ pracowników i członków redakcyi, żyje tylko *Wincenty Majewski* mecenas, współredaktor Biblioteki Warszawskiej i jeden z pierwszych założycieli tegoż pisma.

— Co? zawołał jeden z nich — ten golec z łydkami gołemi i rękoma, ze łbem ufryzowanym, i rzeźniczym nożem w ręku, to ma być nasz książę?

Splunął z oburzeniem, towarzysze się jego rozśmiali, i wyszli niesłychanie rozgniewani.

Osiński, poczekał chwilę, opuścił smutnie głowę i wyszedł za niemi zmieszany, boczul się do winy, gdyż i on głosował na styl klassyczny; ale skręcił zaraz na stronę, żeby się więcej nie spotkać ze starymi wojakami.

W malarstwie wszakże nie mogę przepomnąć ważnego wypadku. Nie pamiętam dobrze roku, ale zawsze było to pomiędzy 1823 a 1826.

Na *wystawie krajowej sztuk pięknych* w sali Uniwersytetu warszawskiego, gdzie podziwiano *klassyczne* obrazy znakomitego profesora *Brodowskiego*, i *wewnątrz* kościołów *Zaleskiego*, ukazały się dwa małe olejne obrazki: jeden przedstawiał *śmierć Warneńczyka*; drugi bitwę pod Wiedniem 1683 roku i oswobodzenie tego miasta przez króla Jana III-go; tłumy widzów stały przed niemi, a rozgłos dany przez nie na nasze miasto, zgromadzał coraz większą liczbę ciekawych.

Na pierwszym, już pieszo walczy Władysław Warneńczyk osaczony ze wszystkich stron przez zajadłych Muzułmanów, a cios ostatni, śmiertelny, przygotowywa młodemu bohaterowi ranny murzyn, który podpełza jak gadzina, ażeby po chwili w serce, krzywym jataganem uderzył. W tej kompozycji najwyższe wrażenie wywierała tu właśnie czarna postać.

W drugim, mającym za treść odsiecz Wiednia, w odległości jak we mgle ukazuje się Jan III ze zbrojnym orszakiem: całe życie zbiegało się na pierwszym planie.

Tu na wozie dwukolnym, który unoszą ręce Anatolskie bieguny, ucieka Mufty z wielką chorągwią proroka, ale hussarya skrzydlata, już go dopadła; w zaciętym boju rozbija straż jego. Mufty zaskania się wielką kiegą *Koranu*, wzywając daremnie swego proroka na pomoc!

Ten właśnie głównie obrazek, wprowadził w zachwyt wszystkich, tyle z niego tryskało poezji i życia. Odbiegano od wielkich obrazów, a wokoło niego był ścisk zawsze wielki.

„Kto to malował? kto to komponował? odzywały się ciągle głosy wśród tłumów zgromadzonych.“

Był to *January Suchodolski* znany malarz, dziś sędziwy starzec, wówczas młody amator, który z młodzieńczym zapałem oddawał się sztuce. On jak *Brodziński*, był u nas zwiastunem i twórcą, nowej szkoły historycznych malarzy polskich.

Z tego obrazu jasno widzimy, jak zamożna była literatura nasza, we wszystkich swoich gałęziach, jak bogaty skarbiec duchowy już posiadaliśmy, który mógł starczyć na długie lata następne, do pokarmu młodych pokoleń.

Poetów większych (jak już wspomniałem) następny okres nasz, nie wydał nad tych których mieliśmy. W powieści mamy zasób poważny w każdym jej kierunku; do historii literatury bogate materyały, nie mniżej jak do samych dziejów. Porównanie ówczesnego stanu z dzisiejszym, który do tak dawniej przeszłości należy, bo 42 lat już nas od tego okresu oddziela, nie może jak tylko w każdym poważnym myślicielu, obudzić wielkie współczucie dla tylu zacnych pisarzy, którzy talent swój i prace całego życia, oddawali bezinteresownie, gdyż żaden nietylko nie otrzymywał najmniejszego honorarium, ale w myśli nawet o niem nie marzył. Wprawdzie, i to dopiero w kilku przedostatnich latach tego okresu zdarzały się wyjątki, że księgarz i wydawca płacił honorarium, jak widzieliśmy za *Jana z Tenczyna*, *J. U. Niemcewiczowi*, lub autor coś zarobił ze sprzedaży swego nakładu; ale z drugiej strony *Feliks Bentskowski* brał sto dukatów za redakcyą *Pamiętnika Warszawskiego*, z warunkiem dostarczania na cztery duże tomy rocznie, darmo wszystkich artykułów; stotakże dukatów otrzymał od księgarza *Zawadzkiego i Węckiego*, za przygotowane drugie pomnożone znacznie wydanie *Historji literatury polskiej*, gdy pierwsza edycya wyczerpaną prędko została i gruby pieńdz wniosła do kieszeni pomienionych księgarzy, którzy ją swoim nakładem wydali.

Tomasz Święcki, za pierwsze wydanie „*Opisu Starożytności Polski*,“ nad którym wiele lat pracował (a wiem to od niegoż) dostał jako honorarium sto egzemplarzy swego dzieła bezpłatnie. *Joachim Lelewel* oddawał wszystkie rękopisma swoje darmo, i dopiero, jak mi sam mówił, pierwsze honorarium do 7000 ówczesnych złotych polskich wynoszące, miał

za wydane swoim nakładem: „*Dzieje Polski synowcom opowiadane*.”

Było to w roku 1829.

Postęp więc literatury był powolny ale gruntowny, rozwijał się na innych zupełnie warunkach jak w naszej dobie; nie podniecał go tak silny bodziec, jak pieniądź. Każdy z pisarzy pracował na niwie literackiej z natchnienia i powołania, wiedziony poczuciem obowiązku obywatelskiego.

Kto z tego stanowiska przypatrzy się bliżej okresowi *Ostatniego Klasyka*, potrafi ocenić ważność, zasługę, wielkie a zacne prace które zostaną chlubą tegoż okresu, na potomne czasy, chociaż obejmował w sobie tylko lat szesnaście!

W pięć lat później, na łożu boleści złożony, dogorywał *zwiastun* nowej epoki literatury naszej, a przy nim troskliwie czuwał zapalony romantyk, przyjaciel i długoletni towarzysz Mickiewicza. Ale ten romantyk był to człowiek rzadkiego serca, pełnego miłości chrześcijańskiej i najszlachetniejszych uczuć, który czuł w umierającym wielkiego poetę i pisarza, a zarazem człowieka, co zasługiwał ażeby przed skromną jego postacią, głowę pochylić.

Świadek chwil ostatnich pisze o nich (1): „W wigilią śmierci czułem się weselszym i swobodniejszym niż kiedykolwiek. Drzemiąc napół w nocy miał bardzo piękne widzenie, októrem sam z wielkiem wzruszeniem powiadał i które mu wielką radość i spokojność przyniosło: widział przed sobą Zbawiciela w białej szacie, który uśmiechając się łagodnie, rękę ku niemu wyciągnął.”

Wkrótce zamknął oczy na wieki. Zwłoki jego spoczęły wśród cmentarza katolickiego na przedmieściu Drezdeńskim Friderichstadt, a nad niemi stanął skromny pomnik, w kształcie czworogranną kolumny, w około u spodu obłożonej granitowymi kamieniami, z tym prostym napisem:

„KAZIMIERZOWI BRODZIŃSKIEMU,

Ziomkowie.

Urodzony 1791. † 1835 10 października.”

(1) W liście do Katarzyny z Lipińskich Lewockiej.

Ku czci zgasłego, ten romantyk napisał wiersz pod świeżem wrażeniem tak bolesnej straty, a przywołując na pamięć owo *widzenie*, o którym mu umierający rozpowiedział poeta, tak ostatnie chwile jego kreśli:

„I on uczuł znak Pański, i jakby anieli
Na straży mu u serca i myśli stanęli;
Taki pokój tchnął w licu, taka w oku radość,
Że nawet w onęj chwili, gdy już śmierci bladeś
Zwiastowała ję przyjście, gdy na łup ję ciało
Skazane, znać w ję rękę konwulsyjnie drgało,
A skroń jego stygnącą, jako marmur biały,
Usta już tylko moje i łyzy ogrzewały;
Że nawet w onęj chwili, którą widząc człowiek,
Drży tylko albo płacze: z pod gasnących powiek
Lśnił jakiś taki promień, taki blask weselny,
Tak się dawał czuć tryumf duszy nieśmiertelnej;
Taka pewnoś, że żyje i idzie do Boga,
Że grzechemby się zdały litość albo trwoga:
I tom jedno czuł tylko w głębi serca mego.
Jak dobry Pan! jak słodka śmierć sprawiedliwego” (1).

Obaj poeci, umierający na obcej ziemi i czuwający nad nim, zbratani duchem i uczuciem do tego co wielkie i piękne, wierni pozostali swemu powołaniu. Brodzińskiego czysta i niepokalana dusza uleciała już dawno do stóp *Przedwiecznego*, a z żyjących jeden tylko A. E. Odyniec, mógł godnie uczcić jego pamięć i zasługi.”

Warszawa, dnia 16 kwietnia 1872 r.

(1) Poezye Antoniego Edwarda Odyńca. Wilno, 1859 r. Tom I.



OMYŁKI DRUKU.

<i>stron.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast:</i>	<i>czytać:</i>
6	7	pozwól <i>mi</i> gderać	pozwól <i>im</i> gderać
25	35	Gdy Minstrel z <i>torbą w ręku</i>	Gdy Minstrel z <i>tobą w ręku</i>
95	—	Umięj <i>myślą</i> pisarza	Umięj <i>myślom</i> pisarza

1054/62 22-V 62.

30-

821.162.1

Wójcicki

Ostatni

29060